



Rys. Dariusz Romanowicz



Odgłosy

NUMER 46 (1650) ROK XXXII

12 LISTOPADA 1989 ROKU

CENA 200 ZŁ

Kto odpowie za ten skandal?

W Sokolnikach miał być Dom Pracy Twórczej...

MARIAN ZDROJEWSKI

Drożyzna drożyżna, ale żeby jedno łóżko (tak się przelicza miejsce hotelowe, czy — jak w tym przypadku — w Domu Pracy Twórczej!) miało kosztować ponad szesnaście milionów złotych, to już lekka przesada. Można by wnosić, że Dom Pracy Twórczej w Sokolnikach standardem, klasą równał się będzie najbardziej ekskluzywnym hotelom. Jednakże z obecnego stanu rzeczy należy domniemywać, że jeśli dojdzie do ukończenia remontu dotychczasowym sposobem, będzie to standard pośledniego hotelu robotniczego.

Zaczęło się po naszymu: od nieodpowiedzialnego kreślenia wizji, nieszanowania prawa, arogancji, hurraoptyzmu, bezmyślnego szastania społecznym groszem, braku nadzoru, kontroli, bylejałości i marnotrawstwa do skandalicznych następstw. Miał być zwykły remont, powstało żerowisko, z którego chapano co się dało, kto chciał.

Zaczęło się niewinnie.

Jakiś przedwojenny kapitalista — jak na krwiopięce przystało — zbudował drewniany dworek na fundamencie, w sąsiedztwie dwa budynki, a wszystko to usytuowane na pięknie zalesionej, 12-hektarowej działce w Sokolnikach pod Ozorkowem koło Łodzi. Ozorków, jak wiadomo, położony jest na stokach Pradoliny Warszawsko-Berlińskiej, ok. 145 m n.p.m., wśród rozległych, podmokłych łąk nad Bzurą. Jednakże na południe, w widoku Bzury i jej prawego dopływu Lindy, ciągnie się znaczny kompleks lasów, które już przed wojną stały się niezwykle atrakcyjnym terenem letniskowym.

Po wojnie, jak wiele tego typu obiektów ludzi zamożnych i ziemian, dworek został „upaństwowiony”. W cudzysłowie, bowiem żadne formalności nie zostały dopełnione. W księgach wieczystych nie ma ustanowionego, notarialnie prawego właściciela. A zatem, jak na beznamiętny obiekt przystało, „właściciele” zmieniali się co jakiś czas, a każdy z nich eksploatował go bezlitośnie i w coraz gorszym stanie pozostawiał następcy. Ostatnim użytkownikiem był Wojewódzki Zakład Działalności Społecznej i Bytowej Służby Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi, a dworek funkcjonował pod nazwą „Letnia kolonia Anny Marii”, bądź — „Państwowy Dom Zdrowia im. J. Korczaka”. Kiedy dworek został całkowicie zrujnowany, opuszczono go i... basta!

Długie lata musiał stać beznamiętny skoro niejedną raz milicja zwracała się do dysponentów o rozłoczenie nad nim opieki, bowiem dewastowany coraz brutalniej stał się siedliskiem elementu przestępczego. Nie odnosiło to żadnego skutku. Dopiero na początku lat osiemdziesiątych pojawili się chętni do zagospodarowania dworku. Z inicjatywą przejęcia obiektu na działalność społeczną dla załogi wystąpiły Zakłady Przemysłu Konfekcyjnego „Latona” w Ozorkowie. Wiceprezydent m. Łodzi Zbigniew Polt przyrzekł go „Latonie”, ale 7 sierpnia 1981 r. Zarząd Regionalny NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej zwrócił się do prezydenta Józefa Niewiadomskiego z wnioskiem, aby dworek przekazać Związkowi Polskich Artystów Plastyków na Dom Pracy Twórczej i Spokojnej Starości. 27.11.1981 r. prezydent Józef Niewiadomski przychylił się do tego wniosku, chociaż ciągle nie uregulowany był status prawny obiektu. Mimo to ZPAP 8 grudnia 1981 r. o'u zapowiedział prace adaptacyjne dworku.

W oarczu o decyzie prezydenta m. Łodzi, naczelnik gminy Ozorków wydał własną: 12 lutego 1982 r., gdy ZPAP formalnie był zawieszony, że „przekazuje nieodpłatnie w trwały zarząd i użytkowanie na czas nieokreślony na rzecz ZPAP obiekt pod nazwą «Państwowy Dom Zdrowia im. J. Korczaka», stanowiący teren zadrzewiony kl. IV wraz z zabudowaniami”.

Na ten dar składa się — jak wynika z protokołu zdawczo-odbiorczego, podpisanego przez kuratora zawieszonych związków: budynek mieszkalny willowy wartości 1.756.847 zł., budynek gospodarczy z werandą — 36.122, budynek mieszkalny typu wiejskiego — 43.402, razem: 1.836.371 zł. Nadto działka zalesiona (12,67 ha), a całość ogrodzona stalową siatką.

Nowi właściciele reflektują się widać, gdyż do tego dokumentu załączają aneks, że to tymczasowe przejęcie, zaś formalne nastąpi później, jako że ZPAP w Łodzi nie ma osobowości prawnej, a zgodę na przejęcie obiektu, finansowanie jego remontu i eksploatację musi wyrazić Zarząd Główny ZPAP. Do aneksu ustosunkowuje się radca prawny, który powiadamia ZPAP, że „przedmiotowa nieruchomości została ostatecznie i zgodnie pod względem formalno-prawnym z obowiązującymi przepisami przekazana nieodpłatnie na rzecz Związku Polskich Artystów Plastyków — Okręg Łódzki. Na mocy ww. dokumentów wszelkie prawa i obowiązki wyni-

5

- ◆ Jak dokonałem zamachu na ministra — str. 5
- ◆ Człowiek, który rozplynał się we mgle — str. 10
- ◆ Z Neapolu do Sokolnik i dalej w świat — str. 6
- ◆ Przedwojenne kłopoty z Magistratem str. 1 i 4
- ◆ Skończył się ogłoszeniowy monopol — str. 7



Foto: Grzegorz Galasiński

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje.

Przed wojną też były kłopoty z Magistratem

ANDRZEJ KEMPA

Obecny kryzys prezydencki i przedłużająca się anomalność w zarządzaniu miastem wywołują nastroje zniecierpliwienia wśród mieszkańców. Okazuje się jednak, że wydarzenia z ostatnich miesięcy nie są czymś niezwykłym, bo wszystko już było. I upadek prezydenta i ewentualne rozwiązanie Rady Miejskiej, i spory międzypartyjne, i brak zgody członków Rady na decyzje sterników nawy państwowej.

Jednym z pierwszych zarządzeń rządu polskiego z dziedziny ustroju samorządowego był dekret Naczelnika Państwa z 13 grudnia 1918 r. o wyborach do rad miejskich, wprowadzający na terenie b. Kongresówki tymczasową, demokratyczną ordynację wyborczą, opartą na zasadzie pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego. Podstawy nowego ustroju komunalnego w miastach zostały określone w dekreście o samorządzie miejskim z 4 lutego 1919 r. Dekret ten, nie naruszając postanowień sprzed roku wprowadził pojęcie gminy miejskiej jako samodzielnej jednostki terytorialnej. Intencją dekretów było powołanie w drodze przymusu prawnego związków komunalnych, unormowanie ich ustroju, ustalenie zakresów dzia-

łania i wyposażenie w określone uprawnienia.

Samorząd miał być wyrazem wyzwolenia się społeczeństwa z więzów przymusowej, a uciążliwej zarazem opieki i decyzyjności państwa.

Miał realizować zadania państwa w zakresie stosunków gospodarczych, społecznych i kulturalnych na terenie gminy. Konstytucja marcowa z 1921 r. w artykule 3 nadała dotychczasowym aktom prawnym moc najwyższą:

„Rzeczpospolita Polska, opierając swój ustrój na zasadzie szerokiego samorządu terytorialnego, przekazuje przedstawicielstwu tego samorządu właściwy zakres ustawodawstwa, zwłaszcza z dziedziny administracji, kultury i gospodarstwa, który zostanie bliżej określony ustawami państwowymi”.

Administracja centralna pozostawiała sobie te działy życia publicznego, które miały charakter ogólnopństwowy, przekazując samorządom zaspokajanie potrzeb ludności w wymiarze lokalnym, a w szczegó-

ności sprawy dotyczące dobrobytu materialnego, rozwoju duchowego i zdrowia mieszkańców, a więc zarząd majątkiem gminy, dochodami i wydatkami, ochroną zdrowia, aprowizacją, troską o należyty rozwój oświaty i kultury.

Miasta wydzielone, do których zaliczała się Łódź, podlegały wyłącznie nadzorowi organów państwowych; w I instancji — wojewodzie, w II — ministrowi spraw wewnętrznych. Do spraw podlegających nadzorowi należało: zatwierdzanie uchwał dotyczących kwestii majątkowych, budżetów, rozwiązywania rad miejskich, składania z urzędu prezydentów i ławników, ustanawiania komisarycznych zarządców gminy. Nadzór nad samorządem obejmował kontrolę legalności i celowości uchwał. W pierwszym przypadku chodziło o to, by samorząd nie przekraczał swych kompetencji a uchwały były zgodne z obowiązującymi przepisami, w drugim zaś, by samorząd spełniał swe zadania zgodnie z interesem publicznym i związku samorządowego. Każdą ostateczną decyzję władzy administracyjnej (wojewody lub ministra) można było zaskarżyć do Najwyższego Trybunału Administracyjnego.

Późniejsze zmiany w prawie samorządowym zmierzały do usunięcia „polityki i szkodliwych metod partyjnych z życia samorządowego”, a w istocie do zwiększenia nadzoru organów administracji państwowej nad samorządami terytorialnymi. Działacze samorządowi, wśród nich i łódzcy, protestowali przeciwko naruszaniu zasad samorządności, choć przyznawali, że ustawa o samorządach z lipca 1933 r. unifikowała system samorządowy, zakres jego kompetencji, czas urzędowania, nazewnictwo i ordynację wyborczą.

Organem uchwałodawczym i kontrolującym organa samorządu na terenie gminy była pochodząca z wyboru Rada Miejska. Decydowała ona o ogólnych zasadach gospodarki finansowej, uchwalaniu budżetu, podatków, i taks, ustalaniu regulaminu prac własnych i komisji radzieckich, a także o wyborze swego prezydium i składzie ławników. Liczba radnych nie przekraczała 75 osób. Pracami Rady kierował jej prezes.

„Prezes Rady — zdanem Bolesława Fichny, pełniący tę funkcję w latach 1923—1927 — winien

4

Adres redakcji:
90 113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36 52 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80-99,
publicyści: 36 77-70; 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.
Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka:
Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna:
Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gebarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Mirosław Kulski, Jerzy
Kwieciński Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki, Paweł
Tomaszewski,
Graficy: Dariusz
Romanowicz, Janusz
Szymański, Glanc
Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński
Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują:
Tadeusz Błażewski,
Marek Brzeziński
(Parvz - Londyn),
Grzegorz Gązda, Janusz
Janusi, Andrzej Karolczak,
Witold Konekiewicz,
Andrzej Kompa, Wasyl
Kocznow (Moskwa),
Włodzimierz Krzeminski,
Bogumił A. Makowski,
Zenon J. Michalski,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza
3/5 tel. 32 59-11.

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiński tel. 36-89-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe, RSW „Prasa
-Książka-Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa Książka-
Ruch” Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótnów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kane na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych, nadawczo-
dawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa Książka-Ruch” 3.
Prenumerata ze zleceniem wy-
syłki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 23
00 958 Warszawa konto PKO BP
XV 041414 w Warszawie nr
1658 201045 139 11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
począta zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla członków indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Termin przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego

Przegląd prasy

Najniższa płaca w sektorze
uspołecznionym wynosi obecnie
38 tysięcy złotych. Natomiast
przeciętne wynagrodzenie w
podstawowych działach gospo-
darki uspołecznionej (przemysł,
budownictwo, transport, łącz-
ność, handel) osiągnęło we
wrześniu br. 239,4 tys. złotych.
Najwięcej zarobili pracownicy
przemysłu wydobywczego
(247,4 tys. zł) i przetwórczego
(247,4 tys. zł), a następnie
osoby zatrudnione w budowni-
ctwie — 227,0 tys. zł, transpor-
cie — 220,2 tys. zł, handlu —
183,9 tys. zł, łączności — 174,6
tys. złotych. W średnich uw-
zględniono również wypłaty z
zysku.

Z tabeli zamieszczonej w do-
datku statystycznym do dzien-
nika „RZECZPOSPOLITA” (nr
248) wynika, że w ciągu roku
— od września 1988 do wrze-
śnia 1989 — najbardziej wzro-
sły zarobki w przemyśle prze-
twórczym (o 450 proc.), a
mniej w budownictwie — 411
proc., handlu — 389 proc.,
transporcie — 374 proc., prze-
mysle wydobywczym — 371
proc., łączności — 275 procent.
W tym samym czasie przecięt-
na emerytura i renta (łącznie
z wyrównaniami i wypłatami
pierwszorazowymi) wzrosła o
561 procent i osiągnęła 151,7
tys. złotych.

W poprzedniej „POLITYCE”
(nr 43) podano zarobki premie-
ra i ministrów. Obecnie nasz
premier otrzymuje 882 tys. zł,
ministrowie — 702—720 tys. zł,
zaś wiceministrowie — 612—
—630 tys. złotych. Natomiast
uposażenie prezydenta wynosi
1,2 mln złotych. Na podstawie
kursu dolara obliczono, że eki-
pa rządowa Tadeusza Mazo-
wieckiego zarabia mniej niż
ekipa Mieczysława Rakowskie-
go. Ale przyjęło nieaktualny
już kurs 10 tys. złotych. Przy
obecnym kursie (8,5 tys.) i ów-
czesnym (4 tys.) Tadeusz Ma-
zowiecki otrzymuje równoważ-
ność 104 dolarów, a Mieczys-
ław Rakowski miał 101 dola-
rów.

WYBORY W STOCZNI

W sobotę 21 października br.
odbyło się zebranie sprawozda-
wczo-wyborcze NSZZ „Solidar-
ność” Stocznia Gdańskiej. W
słynnej sali bhp posąg Włodzi-
miera Lenina zastąpił plan-
szą z napisem „Wybieram Soli-
darność”. W obradach uczestni-
czyło ponad 140 delegatów,
Przybył przewodniczący Lech
Wałęsa i ksiądz kanonik Hen-
ryk Jankowski.

W ciekawym raporcie na
lamach „TYGODNIKA GDAN-
SKIEGO” (29.X) Edmund
Szczesiak pisze o rywalizacji
wyborczej między byłym prze-
wodniczącym Komisji Zako-
dowej Alojzym Szablewskim a
preferowanymi przez Lecha
Wałęsę dwoma członkami Pre-
zydium KZ — Jerzym Borow-
czakiem i Zbigniewem Lisem.
W wyborach kandydował rów-
nież Lech Wałęsa.

Wśród delegatów krążyła
ulotka pt. „Rozwaga i Solidar-
ność” sygnowana przez Tajną
Komisję Zakładową Stocznia
Gdańskiej. Nieznani autorzy
krytykowali jawną działalność,
wskazywali na spadek prestiżu
stoczniowej „Solidarności” i
udział w jej władzach tzw.
spadochroniarzy. Delegaci po-
dejrzewali, że w ten sposób
zwolennicy A. Szablewskiego
chcą zdezawuować J. Borow-
czaka i Z. Lisę. Alojzy Szab-
lewski oświadczył jednak, że
jest uczciwy, nikogo nie podra-
bia i nie wyda tajemniczej
gazetki.

Na przedwyborczym zebraniu
delegatów postanowiono wy-
brać przewodniczącego, który
pośród członków Prezydium
dobierze pracowników eta-
towych. A tymczasem Alojzy
Szablewski zgłosił wniosek, że-
by wybrać także zastępcę
przewodniczącego. Wiadomo
bowiem, że na szefa kandyduje
Lech Wałęsa, który nie będzie
miał czasu — jeśli zostanie
wybrany — stać kierować
pracą Komisji Zakładowej.

Przyjęcie tego wniosku da-
wało A. Szablewskiemu szansę
wyboru na wiceprzewodniczą-
cego. W wyborach do KZ naj-
więcej głosów otrzymali kolej-
no: Lech Wałęsa, Edward
Szwajkiewicz i Alojzy Szab-
lewski. Przy czym wszyscy
wiedzieli, że E. Szwajkiewicz
nie przyjmie funkcji zastępcy.
Natomiast Lech Wałęsa wyraż-
nie powiedział, że w roli za-
stępcy widzi Lisę lub Borow-
czaka.

W kolejnych wyborach do
Prezydium KZ najwięcej gło-
sów znowu otrzymali Wałęsa,
Szwajkiewicz i Szablewski. Na
płatym miejscu uplasował się
Zbigniew Lis, a dopiero na ós-
mym Jerzy Borowczak. Nadal
więc miał szansę Alojzy Szab-
lewski. Ale Lech Wałęsa po-
wiedział, że jest uparty, nie
lubi przegrywać, i jego zastę-
pcą musi być Zbigniew Lis.

W wyborach na przewodni-
czącego kandydowały trzy oso-
by: Lech Wałęsa, Alojzy Szab-
lewski i Zbigniew Lis. Pierw-
szy otrzymał 83 głosy, drugi —
37, trzeci — 11. Nowy
przewodniczący oświadczył, że
będzie w stoczni chociaż raz
w miesiącu. Nie zmieni do-
tychczasowych pracowników
etatowych (Szablewski, Lis,
Borowczak), ale uparł się i na
zastępcę wybiera Lisę. W na-
bliższy poniedziałek stało się
jednak inaczej. Prezydium KZ
postanowiło, że będą dwaj wi-
ceprzewodniczący: Zbigniew
Lis i Alojzy Szablewski.

PRZECIWNICY LECHA WAŁĘSY

W łonie „Solidarności” miej-
skiej funkcjonują obecnie trzy
ugrupowania. Pierwszemu
przewodzi Lech Wałęsa, dru-
giemu — Marian Jurczyk,
trzeciemu — Andrzej Gwiazda.
Organem prasowym drugiego
odłamu jest „SOLIDARNOŚĆ
SZCZECIŃSKA” (nr 1). Na
pierwszej stronie nowego tygo-
dnika umieszczono zamiennym
rysunek Lecha Wałęsę mówią-
cego do grupy robotników: „Wychodzę
do Wojtki na brydla nie czekaj-
cie, idźcie spać!” W arty-
kułach wstępnych Marian Ju-
rzyk pokreśla, że NSZZ „Soli-
darność” zarejestrowany 17
kwietnia 1989 r. jest inną or-
ganizacją niż ta, która po-
stała w 1980 roku.

Tak jak w ciągu 45 lat
przywodzi w „teczkach” se-
kretarzy i naczelników, tak
samo stało się w „Solidarno-
ści”: pojawiła się tzw. nomen-
klatura Lecha Wałęsy. Polega
ona na eliminacji ze struktur
związku tych ludzi, którzy dla
przewodniczącego i jego grupy
stali się w jakiś sposób niewy-
godni (tak stało się w Bydgo-
szczy, w Łodzi, w Szczecinie) i
na wprowadzeniu w ich miej-
sca działaczy w pełni dyspozy-
cyjnych wobec nowego kierow-
nictwa (...)

Znaczną część świata pracy
nie widzi w związku obrońcy
swoich interesów „pracowni-
czych, jest nie” (a w stosunku
do jego działalności politycznej
i mimo zdecydowanego poparcia
„Solidarności” w 1980—81 r. za-
jmują pozycję wycofującą. Stąd
pochoźli niewielki napływ członków
do „odnowionej” „Solidarności”).
Nie stanowi to jak się zdaje
powodu do niepokoju dla kie-
rownictwa związku, lecz raczej
jest zgodne z jego założeniami
i interesami...

Marian Jurczyk wyraża
przekonanie, że w niedalekiej
przyszłości zostanie odtworzona
„Solidarność” broniąca szusz-
nych interesów ludzi pracy,
która nigdy nie zdradzi swego
rodowodu. Powstanie auten-
tyczny, niezależny, samorządny
związek zawodowy. Polityka
nie będzie celem działalności
jego aktywistów.

Z drugim oponentem Lecha
Wałęsy przeprowadził rozmowę
dla tygodnika bydgoskiego
„FAKTY” (nr 41) Bogdan Kun-
cewicz. Na pytanie o różnice
poglądów przywódcy „Solidar-
ności Wałczkiej” odpowiedział
następująco:

„Wałęsa nigdy nie przedsta-
wił swoich poglądów. W jego
wypowiedziach jedno zdanie
przeczy drugiemu. Pozostaje
opreć się na tym, co Wałęsa
robi. Popularność zdobywał
dzięki Matce Bożej w kłapie
i obietnicy, że potrafi rozwią-
zać wszystkie problemy bez
ryzyka, kosztów, strajków.
Trudno przypuścić, że sam w
to wierzył. Jego doradcy wie-
rzyli w to nie mogli!”

Andrzej Gwiazda twierdzi,
że Lech Wałęsa zawsze był
przeciwko strajkom, a karierę
swą rozpoczął od okrzyku „Po-
możemy!” Edwardowi Gierko-
wi. Po zwolnieniu z internowa-
nia obiecywał, że za miesiąc
przedstawi program, lecz do-
tąd tego nie zrobił. Jego dele-
gaci do Sejmu i Senatu mu-
sieli przynajmniej się na zebrani-
ach wyborczych, że nie mają
programu. Ludzie z otoczenia
Wałęsy nie mogą liczyć na
własną popularność, dlatego
popierają tendencję wodzow-
ską, a nie demokratyczną.

Szef OKP Bronisław Gere-
mek w rozmowie z Elżbietą
Sadowską z „TYGODNIKA
KULTURALNEGO” (nr 44)
odrzuca jednak sugestie, że po-
siowie należą do „Solidarno-
ści” realizują dyrektywy prze-

wodniczącego związku. Zna-
ną wypowiedź Lecha Wałęsy, że
sam wybrał premiera, bo po-
siom zabrakło inicjatywy, Bo-
nisław Gerekmek skomentował
jednym zdaniem:

„To są dodatkowe elementy
uroku postaci Lecha Wałęsy”.
Zapytany o to, kto dziś rzą-
dzi Polską, szef OKP odpo-
wiedział, że zaczynają rządzić
Polacy. Ale w ciągu kilku ty-
godni nie da się przekreślić
wielkiej przerwy w demokra-
tycznej tradycji władzy. Trze-
ba przebudować mentalność
społeczeństwa i system rzą-
dów.

MONOLIT CZY PLURALIZM?

Adam Michnik wystąpił nie-
dawno z twierdzeniem, że
związek zawodowy już nie wy-
starcza i trzeba przekształcić
„Solidarność” w ruch politycz-
ny. Z poglądem tym polemizuje
w tygodniku „ŁAD”
(nr 44) Michał Dro-
zdek. Uważa on, że należy
utrzymać obecny status „Soli-
darności”, która — jak słu-
żenie pisze Michnik — nie jest
prawicą ani lewicą, ani socjał-
demokracją, ani chadecją, i nie
jest partią polityczną. Adam
Michnik proponuje zaś fak-
tycznie nową partię.

„Ogólnonarodowe ruchy oby-
watelskie jako instytucje
wspierające władzę były zawa-
ża tworzone przez prześladow-
ców demokracji, zamiast niej.
Przypomnę BBWR, FJN,
PRON. Za granicą najlepszym
przykładem może być Ruch
Sandinistów w Nikaragui, któ-
ry z ogólnonarodowego ruchu
oporu przeciw nieludzkiej dyk-
taturze przerodził się w nar-
zędzie lewicowej władzy, słu-
żące do tłumienia dążeń de-
mokratycznych. Obawiam się,
że samo zapewnienie o tym, że
projektowany przez Michnika
ruch miałby budować demo-
krację nie wystarczy. Inni też
zapewniali (...)

Z „Solidarnością” utożsamia
się jeżeli nie cały naród, to na
pewno jego znacząca więk-
szość. Z poglądami zaś na
przykład Adama Michnika nie-
koniecznie. Ja chociażby jestem
im wyraźnie przeciwny, mi-
mo, że należę do „Solidarno-
ści”. A takich „Solidarności”
znam dużo więcej. Dopóki był
to jedynie związek zawodowy
i skupiony wokół niego oby-
watelski ruch oporu, orienta-
cja polityczna jego przywó-
dów niewiele mi przeszkadzała.
Ale 4 czerwca przekreślił już
duży konflikt sumienia, bo ja-
ko chadek nie chciałem no-
przeć kandydatury Jacka Ku-
ronia, a mieszkam na Żolib-
żu”.

Michał Drozdek przypomina,
że jeszcze kilka lat temu
Adam Michnik zaliczał siebie
i swoich politycznych przyja-
ciół do lewicy. A teraz prze-
stał się tak określać nie dla-
tego, że zmienił poglądy. Ist-
nieje głębsza przyczyna. W
przypadku samookreślenia poli-
tycznego trzeba zadawać sobie
rzeczywistym zaplecem, nie
mając poparcia całego ruchu.
„Każde ugrupowanie polity-
czne powinno się jednak samo-
dzielnie określić, a nie udawać,
że reprezentuje cały naród. To
już było. To się nie sprawdzi-
ło. Uczciwiej jest działać poli-
tycznie we własnym imieniu i
na własną odpowiedzialność
niż kryć się za symbolem „So-
lidarności”. Nikt nie powinien
jednak w jej imieniu upra-
wiać polityki!”

Społeczeństwo polskie jest
bardzo zróżnicowane. Występu-
ją rozmaite orientacje światop-
oglądowe i polityczne. Powin-
ny one znaleźć swój wyraz in-
stytucjonalny. Bez różnych
partii politycznych nie ma de-
mokracji. „Solidarność” nie
może w tym przeszkadzać.
O niebezpieczeństwach zwi-
żanych z ewentualnym prze-
kształceniem „Solidarności” w
ruch polityczny pisze również
w tygodniku „SOLIDARNOŚĆ”
(nr 20) Jacek Maziarz. Pyta
on, w jaki sposób uda się na-
rucić wspólny program poli-
tyczny Hallowi i Kuroniowi,
Słiszewi i Lisowi, Michnikowi
i Mazowieckiemu? Rehy to po-
czątek końca „Solidarności”.
Związek podzieliłby się na
zwalczające się grupki. Niech
więc dalej skupia socjalistów
i endeków, liberałów i chade-
ków, agrarystów i monarchi-
stów. Problem pojawia się do-
piero wtedy, gdy ktoś proo-
nuje wszystkim wspólną czap-
kę ideowo-polityczną.

E. L.

Zdarzyło się w Łodzi...

Waldemar Bohdanowicz prezydentem miasta Łodzi. W nad-
zwyczajnej sesji RNML udział wzięło 169 radnych głosowało
168, a na kandydaturę Waldemara Bohdanowicza oddano 110
głosów.

Józef Niewiadomski — były I sekretarz KŁ PZPR, a wcze-
śniej prezydent m. Łodzi — przebywa do końca roku na urlopie.
Od 1990 roku przechodzi na emeryturę.

Jarosław Pietrzyk — do 29.03.1989 prezydent m. Łodzi —
jest dyrektorem „Łódzkiego”.

Na stanowisku szefa „brigady tygrysa” — służb inżyniera
województwa — została zmiana: Andrzeja Sobierajskiego zastąpił
Mieczysław Dobronin — dotychczasowy pracownik Wydziału
Gospodarki Komunalnej UML.

Zmiana szykuje się też na stanowisku naczelnego redaktora
„Głosu Robotniczego”. Dotychczasowy naczelnik — Krzysztof Po-
gorzelec złożył rezygnację. Nominację na nowego naczelnego re-
daktora otrzymał Andrzej Hampel — dotychczasowy dyrektor i
naczelnik redakcji Łódzkiego Ośrodka TVP. Kto będzie jego na-
stępca na tym stanowisku jeszcze nie wiadomo. Rezygnację zło-
żył też zastępca redaktora naczelnego „GR” — Henryk Ciski.

Hurra! Do Zarządu RTS Widzew powrócił fachowiec —
były prezes tego klubu Ludwik Sobolewski.

Do pracy dziennikarskiej w „Odgłosach” powrócił długolet-
ni pracownik naszej redakcji Konrad Frejdlch — prezes łódz-
kiego oddziału Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich oraz wicepre-
zes zarządu łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich. Kon-
rad Frejdlch musiał odejść z „Odgłosów” na początku 1982 ro-
ku na skutek osławionej weryfikacji.

Z datą 30.10.1989 opublikowano oświadczenie Łódzkiego Po-
rozumienia Obywatelskiego, w którym czytamy:

„...tryb organizowania WKO (Wojewódzkiego Komitetu Obywa-
teckiego — przyp. B.M.), jaki został narzucony przez Regional-
ną Komisję Organizacyjną NSZZ „Solidarność” w Łodzi pozostaje
w jaskrawej sprzeczności z zasadami demokracji, a także z
uchwałą KKW NSZZ „Solidarność” z października br. dotyczącą
sposobu tworzenia się ruchu obywatelskiego. W tym stanie rzeczy
zmuszeni jesteśmy oświadczyć, że nasz udział w pracach tego
komitetu uważamy za niemożliwy”.

Oświadczenie sygnowało 19 partii, stowarzyszeń i organizacji
politycznych i związkowych.

Kierownictwo Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi mo-
że spać spokojnie. Nie zagraża mu konkurencja (a szkoda!). An-
drzej Wajda zdementował bowiem na łamach „Kuriera Polskie-
go” plotkę, jakoby miał zamiar założyć prywatną wytwórnię fil-
mową.

„Kurier Polski” zarzucił łódzkim gazetom, że blokują infor-
macje. Miał one bowiem otrzymać komunikat z Dzielnicy
Komitetu SD Łódź — Śródmieście o wystąpieniu tegoż z Rady
Dzielnicy PRON i żądania z łódzkich gazet komunikatu tego
nie opublikowała.

Mury wyłożone piaskowcem w przejściu podziemnym koło
dworca Łódź Fabryczna służą młodocianym — zapewne poli-
tykom — do wyrażania swoich politycznych opinii czy sympatii. O-
burza nas i napawa wstrętem wypisywanie hasel antysemitkich.
Ostatnio na piaskowcu tegoż przejścia pojawiło się nowe hasło:
„Żydzi wstają z Polski”. Wypisywanie takich hasel jest hańbą. Po-
kazuje, że nie dorosiliśmy do pluralizmu nie tylko politycznego.
Zresztą złączenie pluralizmem wyjął inny — a może i ten
sam autor? — pisząc czerwonym farbą na piaskowcu: „Nigdy wię-
cej pluralizmu”. Co to się młodym ludziom nie marzy?

W pierwszym numerze rozdawanym darmo (?!?) „Gazety
Reklamowej” ukazał się następujący anonis:

„Posiadam dom w nim kilka przyimienne urzędowych pokoi.
Jeśli szukasz przystani intymnej i cichej — zadzwonił telefon w
Biurze Ogłoszeń „Gazety Reklamowej”... Czyżby pierwszy dom
schodków w Łodzi? I to pod opieką gazety?”

Teraz na pluralistycznej mapie poglądów liczą się
przede wszystkim oświadczenia. Zatem i zespół „Odgłosów”
chciałby wyartykułować jakieś oświadczenie. Jesteśmy na
etapie osiągnięcia konsensusu. Jak go osiągniemy, to może
jakieś oświadczenie wydamy. Bądźcie cierpliwi!

BOGDA MADEJ

KOLEŻANCE
JOLANCIE SAWIUK
wyraży głębokiego współczucia z powodu śmierci
B R A T A
składa zespół „Odgłosów”

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— W żadnym mieście nie widziałem nigdy brudniejszego i bar-
dziej ponurego miejsca od przydworcowego placu w Komsomolsku
nad Amurem. Zapamiętałem go jednak na całe życie z innego
powodu: przylegał do niego bezpośrednio teren garażu Amurskie-
go Obozu Koncentracyjnego, gdzie miałem szczęście mieszkać
prawie dwa lata. Szczęście w zwykłym znaczeniu tego słowa:
przecież garaż to nie żona (teren ścisłego tagru). W tym czasie
mało co mogło mnie już zdziwić. Przypomnę jednak, że kiedy
głuchą nocą 1948 roku pod moją komórkę zajechał samouchód
pierwszego sekretarza komitetu partii w Komsomolsku i zdyszany
kapitan wypadł od progu: „Ułbierze się! Wyzywa was pilnie do
telefonu Stalin!” — pomyślałem, że doznaje halucynacji. Po pół-
godzinie byłem przy telefonie łączności rządowej. Obok mnie,
nie rozumiejąc, co się dzieje, stał na baczność naczelnik obozu
gen. dywizji Pietrienko i pierwszy sekretarz — początek sensa-
cyjnej relacji NIKOLAJA STAROSTINA, znanego niegdyś pil-
karsza „Spartaka” Moskwa.

— Pracownice apteki nr 01076 w Warszawie dowiedziały się
o przekazaniu ich placówki w prywatne ręce. Nikt w tej sprawie
nie pytał personelu o zdanie, choć kobiety pracują tam co naj-
mniej od 10 lat. Dlaczego tak postąpiono? Jak mają funkcjonować
prywatne apteki? — odpowiedź w reportażu MARKA KOPROW-
SKIEGO.

— Stefan Piwiński został inwalidą w stanie pokoju. Ale wtedy
jeszcze się nie poddawał. Wytoczył proces firmie prowadzącej
roboty drogowe o odszkodowanie i w sądzie w Pabianicach sprawę
wygrał. Firma jednak odwołała się, a jej adwokat sugerował,
że Piwiński był pijany w chwili wypadku, chociaż nie było na
to żadnego dowodu. A tak naprawdę to Stefan Piwiński już
wtedy był abstynentem — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIE-
GO pt. „Cywil na wojnie”.

1.

Różne dziwne rzeczy dzieją się na tym najlepszym ze światów, ale nikt nie powinien być tym zbyt zaskoczony, bowiem już przed laty Czesław Niemien śpiewał proroczo, że „dziwny jest ten świat”. Sprawda się to stale, szczególnie zresztą nad rzeką Wisłą.

Na rynku czytelników — lichej to wprowadzić rynek, nękany niedowładem, ale zawsze — pojawił się w nowej wersji „Tygodnik Solidarność”. Nowa wersja jest o wiele ciekawsza niż poprzednia, choć ją redagował sam premier.

W tym miejscu czuję się w obowiązku opowiedzieć pewien dowcip, jaki krążył w kuliach Sejmu PRL. Obowiązek mój bierze się stąd, że ostatnio jakby zanikły dowcipy polityczne, co mnie martwi. Czyżby Polacy tracili poczucie humoru? A dowcip jest taki:

Z tej ziemi.

Czy wszędzie kryją się spiskowcy?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Siedzi facet w hotelu i zastanawia się: poprzedni premier był naczelnym „Polityki”, obecny premier był naczelnym redaktorem „Tygodnika Solidarność”. — Pani Zosi — zwraca się do sekretarki — jak nazywa się naczelny redaktor „Zołnierza Wolności”?

Nowa wersja „Tygodnika Solidarność” jest więc ciekawsza, ale bywa też zaskakująca. W stopce redakcyjnej czytamy, że w składzie zespołu redakcyjnego jest Jadwiga Staniszkis, a zastępcą redaktora naczelnego jest Krzysztof Czabański. W 21 numerze „Tygodnika Solidarność” opublikowano interesujący wywiad Krzysztofa Czabańskiego z Jadwigą Staniszkis — socjologiem. Wywiad jest interesujący, a moje zdziwienie bierze się stąd, że skoro Jadwiga Staniszkis jest członkiem zespołu redakcyjnego, to — zakładam — potrafi też sama pisać. Dlaczego musiał za nią robić to zastępca naczelnego redaktora, który jest jakby powołany do czegoś przeciwnego. Nie moje to zmartwienie, ale dziwić się mogę.

2.

Nie tak dawno zwróciłem się do jednego z działaczy Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego za pomocą, aby przy okazji spotkania LPO zapropomował przedstawicielom różnych sił politycznych, aby zechcieli przysłać do redakcji „Odgłosów” swoje wydane poza oficjalnym obiegiem pisma, gdyż chcemy cytować i przedrukowywać co ciekawsze fragmenty z tych publikacji.

— Oni się na pana pogniwiali — usłyszałem w odpowiedzi, co mnie mocno zainteresowało.

— Za co? — zapytałem, szukając w myślach, co ja takiego mogłem zrobić?

— A tak ogólnie, już nie wiem nawet, za co — powiedział mój rozmówca i tym mnie uspokoił, bo „tak w ogóle” to się na mnie poobrażali różni ludzie z różnych zresztą stron. Oni też często nie wiedzą, za co?

W polityce — co już wielokrotnie pisałem i mówiłem przy różnych okazjach — powinny liczyć się nie uczucia, a rozum. Politykowi nie wolno się obrażać, jeśli to czyni jest złym politykiem. Polityk musi przelecieć zakładkę z góry, że tego działania, jego program, jego poglądy muszą spotkać się z innymi, z przeciwnymi, gdyż nie wszyscy tak jak on myślą i czynią. Polityk musi osiągać swoje cele poprzez sprzeciw, w walce idei i poglądów. Jeśli więc polityk założy, że obrazi się na wszystkich innych, którzy mają inne niż on poglądy, którzy mają odwagę przyznać się do tych poglądów, głosić je publicznie, to cóż on za polityk?

W „Tygodniku Solidarność” przeczytałem — również ze zdziwieniem — anons, że redakcja „ponawia prośbę o przesyłanie pism regionalnych, zokładowych, środowiskowych i innych ukazujących się poza oficjalnym obiegiem”. Redakcja „TS” zapewnia, że „najciekawsze artykuły lub ich fragmen-

ty” będzie drukować. Otóż zadziwiło mnie to ponawianiem prośby, bo sądziłem, że redakcje tych pism same wpadły na ten pomysł i kto, jak kto, ale „Tygodnik Solidarność” ma tych pism zatrzęsienie. Dziwny zaiste jest ten świat.

Z „Expressu Ilustrowanego” dowiedziałem się, że w Zduńskiej Woli wychodzi „Cieplownik”, a w Łodzi — domyślam się, że między innymi — „Robotnik” Łódzkiej PPS i gazeta Federacji Młodzieży Walczącej. Jeśli więc w tych ugrupowaniach są politycy — w co nie śmiem wątpić — to chyba pojmą aluzję. Mam taką nadzieję!

3.

Miałem już okazję zadeklarować, że jestem przeciwnikiem spiskowej teorii rozwoju społecznego. Nie neguję przez to różnych działań politycznych, różnych wpływów i nacisków, różnych manipulacji i podległości. Uważam tylko, że albo

je pełna bierność, że działa jeszcze aparat i różne grupy ludzi, nastawionych lewicowo, którzy rozumieją potrzebę istnienia w Polsce partii socjalistycznej. Ku temu bowiem skłania się większość.

Józef Stalin usilnie manipulował różnymi agentami NKWD w celu zniszczenia „socjalizmu” i to się mu jakoś nie udało. Partie socjalistyczne i socjaldemokratyczne istnieją i mają się dobrze, podczas gdy partie stworzone na wzór i podobieństwo WKP(b) przeżywały permanentny kryzys. Ten spisek jakoś się nie udał. Pozostawił za sobą jednak negatywne uwrażliwienie na słowo: „socjaldemokracja”. Do niedawna był to niemal wyrok w szeregach PZPR. Posądzenie, że ktoś jest w istocie swoich poglądów „socjaldemokrata” równało się poważnemu oskarżeniu i przy sprzyjających okolicznościach można było wyliczyć z szeregów PZPR. Dziś czasy się zmieniły. Mieczysław

F. Rakowski — przecież i sekretarz KC PZPR — pisze list do Międzynarodówki Socjalistycznej, a w Łodzi powstała grupa dyskusyjna „Frakcja Socjaldemokratyczna”. Śmiem jednak zarzykować pogląd, że — poza specjalistami — o socjaldemokracji w Polsce wemyli bardzo mało, żeby nie powiedzieć nie. Publikacja sprzed lat oskarżająca socjaldemokrację o najgorsze. Nowych — obiektywnie rzecz traktujących — jakoś jeszcze nie widać.

5.

Co nam proponują przedstawiciele organizacji PZPR z UL, Politechniki Łódzkiej, Akademii Medycznej i Łódzkiego oddziału PAN, którzy 27.10.1989 r. zebrał się w UL i powołał forum dyskusyjne „Frakcja Socjalistyczna”? Proponują nam: — rozwiązanie PZPR a nie przekształcenie jej w nową partię,

— powstanie w miejsce PZPR kilku nowych partii,

— powrót do tradycji PPS,

— przyjęcie nazwy dla jednej z partii: Polska Partia Socjalistyczna lub Socjalistyczna Partia Polski,

— powinna to być partia dająca do wprowadzenia w Polskę demokratycznego socjalizmu, a odrzucająca marksizm-leninizm,

— podejmującą współpracę z wszystkimi siłami demokratycznymi.

„Frakcja Socjalistyczna” zaprasza wszystkich zainteresowanych jej propozycjami 8 listopada 1989 roku (środa) o godzinie 13.30 do UL, ul. Gabriela Narutowicza 65, sala 112.

6.

Wielu ludzi — nie tylko zajmujących się polityką — uważa, że istotnie przyszłość reform w Polsce zależy od tego, jak się potoczą losy „pierestrojki” w ZSRR. Chodzi głównie o rozwiązanie tam problemu narodowościowego. Trudno to problem, bo korzeniami tkwi w epoce carów. Zresztą w ogóle byłoby warto się zastanowić, jakie spuścizna carów rosyjskich wpłynęła na kształt i losy stalinizmu, bo wpływ ten niewątpliwie był. Józef Stalin — można powiedzieć — udoskonalił niektóre mechanizmy działania caratu a między innymi sposób rozprawiania się z nieformalnymi narodami i narodowościami. Skutki tego doświadcza dziś na sobie ekipa Michaiła Gorbaczowa. I rozwój sytuacji narodowościowej w ZSRR, sposób jej rozwiązywania — to klucz do przyszłości. Przy czym — przynajmniej w moim przekonaniu — najtrudniejszy będzie do zeryzywania „ukraiński orzech”.

W ciekawej dyskusji, której część pierwsza właśnie ukazała się w „Ladzie” Andrzej Chodkiewicz przypomniał, że „u nas obłogowe kursuje przekonanie, że nacjonalizm ukraiński został wytworzony przez Niemców i Austriaków, bo był im potrzebny do gry politycznej przeciw Polakom”. A tymczasem ukraińska świadomość narodowa zaczyna się budzić

już w XVI i XVII wieku, co można odnieść do ukraińskich dumach i pieśniach. Otóż ukraińcy wówczas uważali, że są trzecim narodem Rzeczypospolitej i do XIX wieku byli zwolennikami federacji z Polską. Myśl o „samostniej Ukrainie” narodziła się dopiero na początku XX wieku. Wtedy też narodził się nacjonalizm ukraiński, podsyćany umiejętnie przez rosyjskich polityków. Inny uczestnik tej dyskusji Ryszard Tonecki uważa, że „nie wyrósł jedynie w gruncie polskim w Galicji Wschodniej, a w swych pryncypiach trafił z Ukrainy Naddnieprzańskiej, a nawet z ziemi charkowskiej”.

Tak więc Józef Piłsudski spóźnił się z ideą federacji. Nie trafił na podatny grunt i jego pomysły spalił na panewce. Dowodzi to tylko tej prawdy, że wszelkie — nawet najbardziej pozytywne — zamierzenia można zrealizować tylko i tylko wtedy, gdy powstają ku temu odpowiednie warunki.

7.

W czerwcu 1905 roku w Łodzi doszło do starć ludności z żandarmerią, wojskiem i kozakami. Uznano, że było to „powstanie czerwcowe”. W tym czasie obowiązki szefa żandarmerii w Łodzi i powiecie łódzkim pełnił podpułkownik W.N. Szeviakow. Do jego obowiązków należało pisanie raportów do zwierzchności o tym, co się zdarzyło w Łodzi i powiecie łódzkim. Po wydarzeniach czerwcowych napisał raport, w którym podał liczby zabitych. I tak: osób wyznania chrześcijańskiego zginęło — 56, ewangelickiego — 17, mojżeszowego — 78. Pomiędzy fakt, że te dane zostały celowo zaniżone. Chodzi mi o co innego. Otóż z tych danych wynika pewna sugestia. Skoro największe zginęło Żydów, to oni byli pewnie wszystkim winni, bo o nich zaczęli całą tę „awanturę”. Tę sugestię podpułkownik W.N. Szeviakow poparł wieloma różnymi przykładami wywoławców działalności Żydów. Na skutek tego długo nie trzeba było czekać. Już pod koniec czerwca 1905 roku „Rozwój” donosił, że do Piotrkowa Trybunalskiego przyjechało przeszło tysiąc rodzin żydowskich. Do Łodzi natomiast przyjechała stłyna „czarna sotnia”.

Pogromy Żydów w carskiej Rosji były metodą rozwiązywania problemów politycznych, społecznych i narodowościowych. Odrzyski tego można spotkać i dziś. Celuje w tym zwłaszcza „Pamięć”, „Sowietskaja Kultura” cytując wypowiedź jednego z ulicznych mówców, który w Moskwie na Tverskim Bulwarze tak oto przekonywał przechodniów:

— Rewolucji dokonali Żydzi zgodnie ze wskazaniami masońsko-syjonistycznego ośrodka. Symbolem zrobili swoją gwiazdę syjonistyczną, której dla niepoznaki odcieśli jedno ramie. Żeby skierować w potrzebnym kierunku działalność rosyjskich rewolucjonistów podsuwali im żony Żydówki. Molotowowi i Rykowowi, a Bucharinowi nawet dwle z trzech jego małżonek. Obecnie porównuje się nasza „Pamięć” z czarną sotnią i mówi się, że czarna sotnia urządziła w czasach carskich pogromy. W rzeczywistości pogromy urządzali sami Żydzi. Finansował je przechrzta-milioner Ginzburg. Dziś! także rządzą nami masońsko-syjonistyczna mafia.

W 1905 roku — tak uważają niektórzy historycy — wszystko wskazywało na to, że „czarna sotnia” urządził pogrom 13 grudnia. Ale nie z tego nie wyszło. Robotnicy łódzcy uzbroili się w zdecydowany sposób stanęli w obronie Żydów. Gdy 13 grudnia 1905 roku w godzinach południowych czarnosotnicy zaczęli grasować na ulicy Głównej, Zarzewskiej i Górnym Rynku, robotnicy z Widzewa (tłumnie stawili się uzbrojeni w łaski, łomy a także pistolety i rozprędzili „czarną sotnię”. Kilku — jak się okazało — łódzkich bandytów, kryminalistów i agentów policji zdemaskowano i zlincebowano. Innych przepędzono z Łodzi. Spisek „czarnej sotni” nie udał się. Nie było ku temu warunków. Probowano jeszcze kilka razy, ale z podobnym skutkiem. A później już nie było takiej potrzeby, bo w Łodzi zaczęły się walki bratobójcze.

Tę opowieść dedykuję tym wszystkim, którzy wypisują antysemitkie hasła na murach i gotowi są o wszystko obwiniać żydowskich spiskowców.

Konfrontacja

Kto kupi mieszkanie?

Wszystko, co działo się od dłuższego czasu w Radzie Narodowej Miasta Łodzi i wokół rady wiąże się w jakiś sposób z wyborami prezydenta m. Łodzi. Wprawdzie tematem XVII sesji RNML (30.10.1989) były sprawy budownictwa mieszkaniowego — dla Łodzi bardzo ważne — ale w kuluarach dyskutowano przede wszystkim o czekających nas 6 listopada prezydenckich wyborach. Na sesję przybył obserwator prezydenta Wojciecha Jarużelskiego, którego pewnie nie wszyscy radni dostrzegli, bo sala zbyt często straszyla pustymi fotelami. Radni plotkowali w kuluarach, a wysłannik prezydenta PRL mógł sobie na tej podstawie wyrobić złe mniemanie o RNML. Zapytany przeze mnie, czy jego przyjazd do Łodzi wiąże się z pamiętną sesją z 11 października, odpowiedział uprzejmie, że nie podobnego, że to rutynowy wyjazd związany z dziedziną, którą się zajmuje, czyli samorządem terytorialnym. Udałam, że uwierzyłam...

Przewodniczący prezydium RNML — prof. Andrzej Feliks Grabowski w szalenie oszczędny, przypominający dyplomatyczne komunikaty, sposób próbował zapoznać radnych z przebiegiem obrad łódzkiego „okrągłego stołu”, powołując się zresztą na doniesienia prasowe, które były równie oszczędne. Dziennikarzy przeciętnie na te obrady nie wpuszczono. Dalej radni dyskutowali o nowym regulaminie wyborów prezydenta m. Łodzi. Regulamin ten zakłada, że kandydat na prezydenta musi uzyskać ponad połowę ważnych głosów, a jeśli nie uzyska, to powtarza się głosowanie, z tymi samymi wymaganiami co do ilości głosów, aż do skutku. Jak długo to będzie trwało — zobaczymy. Gdy ten numer „Odgłosów” dotrze do czytelników będziemy już wcześniej znali wyniki wyborów.

Zgodnie z tym, co niedługo postuluje radny Jerzy Jalczak XVII sesja RNML miała charakter monotematyczny i poświęconą była sprawom, które interesują wielu łódzian. Przebieg sesji pokazał wszystkim, jak można zmarnować tak ważny temat.

Wiceprezydent Kazimierz Jujka przedstawił wyniki, jakie osiągnęło budownictwo w trzech kwartałach 1989 roku. Plan przewiduje wybudowanie w Łodzi 4000 mieszkań, a wybudowano ich tylko 1645, co stanowi 41,12 procent planu. A powinno być 73 procent. W Łodzi czeka na mieszkanie 45700 osób, do tego trzeba dodać wnioski złożone w urzędach dzielnicowych, których jest 19500. Razem czeka na mieszkanie 65200 wniosków. Jedni mówią, że liczbę tę trzeba pomnożyć przez 2 (130400), drudzy, że przez 3 (195600), aby mieć obraz liczby ludzi oczekujących na mieszkania. Jakkolwiekby na to patrzeć — problem ogromny i można by go oczekiwać, że radni podesąd do niego poważnie, z troską i przedstawia właściwe wnioski. A jak było?

Na początku było sennie, niemrawo i nudno. Najpierw radnych usypiał o powodzeniu przewodniczący Komisji Budownictwa i Gospodarki Komunalnej — Grzegorz Pagowski. Radna Irena Adamiec przygotowała na piśmie obszerny referat, który z uporem i mimo dzwonek przewodniczącego A.F. Grabskiego doczekała do końca. Przy minimalnym zainteresowaniu radnych Gość Rady Narodowej m. Łodzi — inż. Ludwik Andrzejewski przekonywał o wyższości budownictwa monolitycznego nad wielką płytą, ale były to wywody przeznaczone dla fachowców. Zresztą dyrektor Łódzkiego Kombinatoru Budowlanego „Północ” — Ryszard Hofmokl ocenił ten pomysł jako nierealny i trudno mu jako fachowcowi nie wierzyć, brakuje bowiem po prostu materiałów budowlanych. I jak długo ich będzie brakowało, przedsiębiorstwa budowlane będą posługiwały się wielką płytą.

Dyrektor Ryszard Hofmokl — też gość RNML — krytycznie ocenił sprawozdanie Komisji Budownictwa i Gospodarki Komunalnej, gdyż nie wzięło ono pod uwagę tego, co się dzieje na budach. I podał przykład LKB „Północ”. Kombinat wykonał plan trzech kwartałów, popłacił wszelkie podatki i... nie ma pieniędzy na płace dla ludzi. Bank nie ma z czego udzielić kredytów. Trudno się więc dziwić, że ludzie porzucają pracę w budownictwie i idą pracować do rzemieślników, gdzie i płace są wyższe i pieniędzy nie brakuje. W 1989 roku, w Łodzi pracę porzuciło 717 budowlanych.

Stan łódzkiego budownictwa można scharakteryzować następująco: rozregulowany system finansowo-ekonomiczny, wzrastająca dysproporcja między wykonanymi zadaniami rzeczowymi i ich finansowym wyrazem, stale pogarszający się stan technicznego wyposażenia przedsiębiorstw budowlanych, brak materiałów, brak terenów pod budownictwo, niskie płace. W pierwszym półroczu 1989 roku osiągnęły one 95,1 procent płac w przemyśle.

Taki obraz łódzkiego budownictwa powinien być poruszyć radnych. I rzeczywiście powoli dyskusja zaczęła ożywiać się. Radny Jerzy Jalczak ostro zaprotestował przeciw traktowaniu mieszkania jako towaru, co proponuje min. Aleksander Paszyński. Zdaniem radnego, jeśli metr kwadratowy wybudowanego mieszkania kosztuje około 40 dolarów, a średni zarobek w Łodzi — gdzie zawsze zarobki są niższe niż w innych rejonach Polski — wynosi około 20 dolarów, to nie można traktować mieszkania jako towaru. Bo dla kogo on jest przeznaczony? Nie dla łódzkich robotników, którzy przy takich zarobkach nie mają żadnej szansy na kupno mieszkania.

Dyrektor Ryszard Hofmokl z podobnych powodów poddał krytyce inną tezę min. Aleksandra Paszyńskiego głoszącą, że przyszłość budownictwa leży w rozwijaniu budownictwa jednorodzinnego. Kogo dziś na to stać? — zapytał Ryszard Hofmokl. Zapełnił łódzkich robotników.

Sporo niepokoju wzbudził fakt, że 36000 pełnoletnich łódzian, którzy mają pełne wkłady mieszkaniowe pozbawionych zostało szansy na własne mieszkanie na skutek likwidacji Spółdzielczego Biura Mieszkaniowego. Podobna sytuacja spotka 40 tysięcy tych, którzy zgromadzili wkłady, a jeszcze nie uzyskali pełnoletniości. Przez lata obracano ich pieniędzmi i zostawiono ich na lodzie. Problem ten powinien rozstrzygnąć kongres spółdzielczości, ale czy uczyni to zgodnie z ustaleniami „okrągłego stołu”? Jan Nosko zgłosił nawet wniosek, aby skierować apel do prezydenta Senatu, Sejmu i premiera o poszanowanie ustaleń „okrągłego stołu”. Mam nadzieję, że radni o tym wniosku nie zapomną.

Zgłoszono bowiem propozycję, aby RNML nie podjęła na XVII sesji stosownej uchwały, co wywołało sprzeciw przewodniczącego Komisji Uchwał i Wniosków, która przygotowała projekt uchwały i domagała się dyskusji nad nim. Ponieważ sprawa jest poważna a niektóre wnioski wykraczały poza dotychczasowe możliwości ich realizacji przez UML, postanowiono projekt uchwały uściślić i dookreślić w komisji radnego Jerzego Jalczaka.

Odniosłam wrażenie, że termin sesji był ustalony niefortunnie, bo przed powtórными wyborami prezydenta. Można było z tym tematem poczekać z 2 tygodnie i przystąpić do niego już po opanięciu wyborczych emocji.

Jak zawsze były interpelacje radnych. Pisałam już o tym, że niektórzy radni występują przed Wysoką Radą ze sprawami, które powinni od ręki załatwiać im urzędnicy różnych instytucji, urzędów dzielnicowych, a nawet ROM. Zwrócił na to uwagę radny Marian Zdrojewski, który postuluje aby zająć się problemem biedy i przynajmniej na początek ustalić ilu łódzian żyje na skrajnej nędzy. Radny Grzegorz Musiał przypomniał, że już przed rokiem proponował założenie na pl. Niepodległości strzeżonego parkingu, z którego opłaty zasilałyby miejską kasę. I nie do tej pory nie zrobiono.

Mam nadzieję, że za tydzień przedstawi przebieg wyborów na prezydenta m. Łodzi.

BOGDA MADEJ

posiadać walory reprezentacyjne, umiejętność w kierowaniu pracami tak skomplikowanego i trudnego do prowadzenia ciała, jakim jest różnolita w składzie i temperamentach Rada Miejska, znajomością rzeczy i smysłem orientacyjnym, musi mieć dużo taktu, należyty posłuch i szacunek, a w razie konfliktów — zawsze stawiać się mediatorem".

Organem wykonawczym i zarządzającym był Magistrat i prezydent, jego zastępcy oraz ławnicy w liczbie 1/10 składu Rady Miejskiej. Na czele Magistratu stał prezydent i dwóch, od 1936 r. trzech wiceprezydentów. Magistrat wykonywał uchwały Rady, zarządzał majątkiem gminy, przyjmował i zwalniał pracowników miejskich oraz wykonywał czynności „poruczone” przez władze miejskie.

„Prezydent — powtarzam za

Bolesław Fichna. PPS poniosła porażkę nie tylko ze względu na pogarszający się stan gospodarki miejskiej, ale również ze względu na znaczną ilość list wyborczych, im większe bowiem konsolidacja i skupienie sił, tym pewniejsze zwycięstwo. W wyborach tych uczestniczyli też komuniści, którzy w 1919 r. zbytkotowali wybory. Zgodnie z zaleceniami Moskwy powołali Komitet Wyborczy Związku Proletariatu Miast i Wsi, zgłaszając listę nr 5, unieważniając wkrótce decyzję Głównego Komitetu Wyborczego z 11 maja 1923 r. Frakcja radziecka PPS zaskarżyła prawomocność tej decyzji do Trybunału Administracyjnego.

W wyborach przeprowadzonych 8 X 1927 r. zgłoszono 31 list, 6 wycofano przed wyborami, komunistyczną unieważniono. Frekwencja wyniosła 76,9 proc. PPS ponownie odniosła sukces: 48,7 proc. głosów. Blok partii socjalistycznych (PPS, NSPP i Bund) uzyskał 38 man-

atem w b. Kongresówce, które zrealizowały postulat powszechnego, bezpłatnego nauczania. Postulat ten został ogłoszony już na pierwszym, inauguracyjnym zebraniu Rady Miejskiej 27 marca 1919 r. przez Adama Zakrzewskiego w deklaracji programowej PPS:

„Domagamy się jednolitej, przymusowej, powszechnej i bezpłatnej szkoły świeckiej, zamykamy, by miasto organizowało i wspierało kursy dla dorosłych, uniwersytety ludowe, biblioteki i teatry”.

Wdrożenie obowiązku szkolnego odbiło się głośnym echem w całym kraju.

Samorząd łódzki rozbudował sieć szkół powszechnych i średnich, tworząc zarazem warunki dla powstania szkół wyższych. Dla zapewnienia dostępności do dóbr kultury szerokim warstwom społeczeństwa rozwijał sieć bibliotek i czytelników miejskich, wpływał na inicjatywę łódzkich przemysłowców, zmierzającą do budowy gmachu

Przerwywam długoletnie milczenie i czynię to publicznie...

Nagrody czy celebra?

KONRAD FREJDLICH

Od kilkudziesięciu już lat późną jesienią pojawia się w łódzkiej prasie komunikat o warunkach zgłaszania kandydatów do nagród miejskich. Zredagowany typowy urzędowym językiem, uchodzi za zwykłą uwagę czytelnika gazet, który za swoje pieniądze wolałby się dowiedzieć, czy Zbigniew Boniek celnie kopie piłkę, kogo wczoraj napadł i co zdrożeje w najbliższym czasie. Komunikat ten ma jednak także świadomych i wyczekujących odbiorców, wkrótce po jego ogłoszeniu zbierają się rozmaite gremia od związku wedkarskiego, przez organizacje twórcze, po Ligę Kobiet Polskich, aby lansować swoich ludzi. Do wyścigu po laury włączają się także wyższe uczelnie i instytucje naukowo-badawcze, prestiżowe zakłady pracy, a jak sądzić, mają w nim swój udział także partie polityczne (czytaj: partia polityczna).

Wkrótce do Biura Rady Narodowej, która jest depozytariuszem wniosków, wpływają ankiety kandydatów wraz ze standardowymi uzasadnieniami — postawa moralno-polityczna zajmowała w nich przynajmniej do niedawna, spory akapit — a później zapada cisza. Aż do 19 stycznia, to znaczy do rocznicy wyzwolenia Łodzi przez Armię Czerwoną, kiedy to w sali „pod pawiem” Muzeum Historii Miasta odbywa się celebra wręczenia nagród. Z tej okazji lokalna prasa zamieszcza dziesięć niemal identycznych w treści fotobiogramów, telewizja pokazuje zdawkowe migawki, a dzień później o laureatach wszyscy zapomnieli, chyba że... przyjdzie zredagować nekrolog, jak się to dosyć często zdarzało w przeszłości. Ojcowi miasta, którzy formalnie firmują te nagrody, cechuje bowiem tak wielka ostrażność, że przyznawali je dopiero prapradziadkom i czasem zmieniali się one w odprawę przedśmiertną.

Nie zawsze tak, rzecz jasna, bywało, bo łódzkie laury mają ponad sześćdziesięcioletnią tradycję. Dość przypomnieć parę choćby nazwisk wyróżnionych w okresie międzywojnia. Z wyjątkiem sędziwego Aleksandra Świętochowskiego, który otwiera tę honorową listę, znajdujemy na niej młodzieńczego (w owym czasie) Juliana Tuwima, dopiero zapowiadającego się na wielką pisarkę Zofię Nalkowską, zasłużonego dla kultury polskiej, lecz wcale wówczas nie sędziwego Aleksandra Brücknera, utalentowanego, lecz mało wtedy znanego rysownika Tadeusza Kulskiego i awangardowego, a więc jak się ógni uważało bolszewizującego malarza Władysława Strzemińskiego. Temu ostatniemu miasto wypłaciło się w okresie stalinowskich czystek wyrzuceniem z pracy w uczelni plastycznej, której był współzałożycielem, zakazem organizowania wystaw i uniemożliwieniem zarabkowania — umarł z wycieńczenia.

Właśnie los Władysława Strzemińskiego jest wykładnikiem przemian, jakim poddane zostały nagrody miejskie w Łodzi stając się bardziej narzędziem lojalności (rzeczywiście czy domniemywanej) wobec kolejnych ekip kierowniczych w tzw. Białym Domu niż dostrzeżeniem zasług czy dokonania. Dlatego też nie było możliwe przyznanie w r. 1974 łódzkich laurów Andrzejowi Wajdzie za „Ziemię obiecaną”, należący w historii film o tym mieście i wiele znaczący w całokształcie dorobku reżysera, choć wyróżniono ten obraz Złotym Medalem w Moskwie, przyznano mu Grand Prix w Gdańsku i „Złote Grono” w Łagowie „Złotego Hugo” w Chicago, dostał także nominację do „Oskara” i inne liczne nagrody w Valladolid, Cartagenie i Avellino. Stało się to wszystko na długo przed powstaniem „Człowieka z żelaza”, czy nawet „Człowieka z marmuru”, który spowodował protesty stalinowców, co mogłoby rzucić pewne światło na to wstydlive przemilenie „Ziemi, obiecaną”. W oczach tzw. grupy partyzanckiej, która miała silny wpływ w Łodzi od czasów wypadków marcowych, Andrzej Wajda uchodził za przesłannika, rzekomo wyszydzającego narodowe tradycje. I to wystarczyło.

Stosowanie kryteriów podmiotowych, lekceważenie dorobku i autorytetu społecznego kandydatów pozwoliło doprowadzić do takich paradoksów, że nestor dziennikarstwa łódzkiego Mieczysław Jagoszewski otrzymał te nagrody tuż przed śmiercią, o kilkadziesiąt lat za późno. Z drugiej strony nagrodę tę niejako na kredyt otrzymał publicysta „Głosu Robotniczego” zasłużony w zwalczaniu Ronalda Reagana, którego, do czasu słynnego spotkania z Michaiłem Gorbaczowem, z upodobaniem nazywał głupim kowbojem, a potem bronił uczciwości intencji Niny Andriejewy. Tym razem jury nie przeszkodził w podjęciu decyzji stosunkowo młody wiek laureata.

Oczywiście na długie listy osób wyróżnionych przez miasto po wojnie znajdują się także ludzie godni, a nawet ludzie sławni, choć rzadko ta nagroda stawała się ich tytułem do rozgłosu, bowiem nieudolność przyznających sprawiła, że łódzkie laury nie dzisiaj nie znaczą, rzadko zostają odnotowane poza granicami administracyjnymi województwa. Pogodzili się z tym wszyscy, łącznie z obdarowywanymi uczestniczącymi w kolejnej celebry. Nieśmiało próby zmiany tego stanu rzeczy nie znajdowały u nikogo zrozumienia.

Kiedy w 1987 r. jako prezes Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich w Łodzi wspólnie z przewo-

dniczącymi Związku Literatów i Stowarzyszenia Autorów podpisałem w imieniu trzech związków twórczych oświadczenie w sprawie zmiany praktyk przyznawania nagród miejskich, nie doczekałem się odpowiedzi ani od Rady Narodowej M. Łodzi ani od prezydenta, prywatnie tylko dowiedziałem się, że dokument ten nie został dobrze przyjęty przez decydentów, którzy widocznie uznali go za zamach na swoje kompetencje.

Związek Literatów Polskich nie poprzestął na wyrażeniu swego stanowiska i w bieżącym roku wystąpił z tzw. konstruktywną propozycją, opracowując projekt nowego regulaminu nagród artystycznych miasta (wzorem Warszawy), a nawet wstępnie redagując uchwały Rady Narodowej M. Łodzi w tej sprawie. Tym razem reakcja urzędu miejskiego była także konstruktywna: projekt wzbudził zainteresowanie. Niestety, na zainteresowaniu się skończyło. Nagrody Miasta Łodzi wręczone w r. 1990 przyznawane więc będą według dotychczasowych zasad Kalendarz w magistracie zatrzymał się na roku...

No właśnie, którym? Przekonamy się już niedługo po owocach, gdy ogłoszona zostanie kolejna lista laureatów. A zdarzyć się tu może niemal wszystko, gdyż procedura wyłaniania kandydatów jest z pozoru bardzo demokratyczna: zgłaszać ich mogą niemal wszyscy i niemal każdy może zostać nagrodzony.

Tyle tylko, że decyzję podejmuje anonimowe jury nie podając do publicznej wiadomości uzasadnienia swojego werdyktu. Taktownie zatem przelicza kandydatów pominiętych i mieszkańcy miasta, właściwi fundatorzy nagród, nie mają możliwości ocenić prawidłowości tego wyboru. W podobnej sytuacji są również radni, którzy o nagrodach dowiadują się najczęściej z prasy i nie mają żadnego wpływu na dobór laureatów. Machina działa od lat niezakłócenie i bez hałasu: to przecież tylko formalność.

I właśnie ta procedura budzi mój najgłębszy protest. Kto miał okazję zapoznać się z protokołami obrad przedwojennej rady miejskiej, ten wie, że sesje poświęcone wyborowi laureatów należały do najbardziej wzruszających i wzbudzały najwięcej emocji: ożywienie panowało nie tylko na sali, wśród uprawnionych do głosowania, ale także na galerii, reagującej gwizdami i oklaskami, a ich echo przenosiło się na łamy prasy, rozpalając emocje ulicy. Tak działo się w r. 1928, kiedy radni zdecydowali o przyznaniu nagrody Julianowi Tuwimowi. Kontrkandydatem był Kazimierz Przerwa-Tetmajer. W równie gorącej atmosferze przyznano laur miejski Władysławowi Strzemińskiemu. Jego konkurentem był Leon Wyczółkowski. Każde z tych nazwisk, zarówno nagrodzeni jak i pominięci, zapisało się trwale w dziejach kultury polskiej. Decyzje łódzkiej rady były wzorem i natchnieniem dla innych polskich miast.

Usłyszałem opinie, że nagrody przyznawane dzisiaj nie mogą już tyle znaczyć, gdyż jest ich za wiele. W poglądzie tym znajduję racjonalne jądro, ale nie podzielam go do końca. We Francji przyznaje się na przykład blisko 1500 nagród literackich rocznie, są to przede wszystkim nagrody miejskie, ale mają ogromne znaczenie i wprowadzają autora na kapryśny rynek wydawniczy. Publiczność nad Sekwaną ma zaufanie do jurorów, ale też juror to niemal zawód. W Łodzi nawet nagrody za działalność literacką dewaluują się coraz bardziej: świadczą o tym żalonne próby serii międzywydawniczej pod nazwą Biblioteka Łódzka, którym patronował PRON. Ale też nigdy nie słyszałem, aby któryś z nagrodzonych odmówił przyjęcia wyróżnienia: laury rozdziela się wśród swoich, bez ryzyka narażenia się na skandal. Nie jest tajemnicą, że funkcjonuje swoiste porozumienie: dziś ten, jutro tamten. Wystarczy wytrwale czekać i byle nie narażać się decydem, lojalność zostanie nagrodzona.

Obeenie, gdy rewindykujemy wartości, którym odebrano ich rzeczywistą treść i sens, czas najwyższy upomnieć się również o nagrody miejskie zamienione w biurokratyczną celebrę. Przywrócenie im niegdyśszego blasku uważam za jedno z najpilniejszych zadań Rady Narodowej M. Łodzi. Jest to sprawa możliwa do załatwienia i to stosunkowo szybko, o wiele łatwiejsza do rozstrzygnięcia niż ślimacząca się grupowa oczyszczalnia ścieków czy podupadające z roku na rok budownictwo mieszkaniowe. Niech to właśnie z Łodzi, która nie ma ostatnio najlepszej prasy, rozlegnie się sygnał, że coś się zmieniło.

Z upodobaniem czytuję sprawozdania z obrad rady miejskiej, zwłaszcza omówienia interpelacji wnoszonych także w moim imieniu jako wyborcy O poziomie wielu z nich świadczy jedno z ostatnich wystąpień Mariana Zdrojewskiego w sprawie niewystępowania z podobnymi interpelacjami. Na sesjach tych było już wszystko: od kotów paskudzących na trawnikach po dziury w jezdniach. Nie słyszałem jednak, aby któryś z radnych zainteresował się sprawą miejskich nagród.

Przerwywam więc długoletnie milczenie w tej sprawie i czynię ją publiczną.

Przed wojną też były kłopoty z Magistratem

Bolesław Fichną — to gospodarz miasta. Umysł żywy i czynny, o szerokiej horyzontach. Znać musi doskonale psychikę ludności i potrzeby miasta. Jest nie tylko wykonawcą uchwał Rady, ale inicjatorem i kierownikiem polityki samorządowej. Wielka ambicja twórczej pracy — to najistotniejszy walor prezydenta”.

Sam Magistrat winien mieć jednolity i spójny program działania, za którego realizację odpowiada solidarnie: I znów Bolesław Fichna:

„Magistrat musi mieć mocną wolę przeprowadzania swoich na Radzie Miejskiej postulatów. Musi być odpowiedzialny za gospodarkę miejską i musi mieć zdecydowane kierownictwo w osobie prezydenta”.

W Magistracie były wydziały, na których czele początkowo stał przewodniczący, będący równocześnie ławnikiem Magistratu i członkiem Rady, oraz współkierujący pracami wydziału naczelnik. Ustawą z 1933 r. zniosła funkcję przewodniczącego. W 1919 r. Magistrat liczył 13 wydziałów, zaś w 1939 — 15 oraz Gazownię, Komunalną Kasę Oszczędnościową i Przedsiębiorstwo Miejskie „Kanalizacja i Wodociągi” na prawach wydziałów.

W wyborach samorządowych w 1919 r. (23.II.) uczestniczyło 136 384 wyborców, frekwencja wyniosła 70,4 proc.

Największą liczbę mandatów (23) zdobyli w nowo utworzonej Radzie socjaliści, 16 uzyskał Narodowy Związek Robotniczy. Prezydentem został Aleksy Rzewski, wiceprezydentem Izidor Faterson, obaj z PPS; drugim wiceprezydentem Wacław Wojewódzki (NZR). Prezesem Rady Miejskiej został Antoni Remiszewski (PPS). Sukces PPS był zbyt wielki, by mogła się uchylić od współzrządzenia miastem, zbyt mały, by całkowicie przejąć ster gospodarki miejskiej, stąd koalicja z NZR, krótkotrwała, bo już 16 lipca 1921 roku dotychczasowi sojusznicy wycofali się z rządzącej większości, odwołując swych przedstawicieli z Rady Miejskiej i z Magistratu. Socjaliści zażegnali kryzys dopuszczając do udziału w Magistracie przedstawicieli prawnicy z wiceprezydentem Józefem Pogonowskim. Socjaliści doszli do przekonania, że nie doktryna i teoria są wskaźnikami postępowania w sprawach administracji, lecz cyfry, rachuba i rachunek ekonomiczny.

Okazało się jednak, że sprawowanie rządów w warunkach biedy, szalejącej inflacji i rozchwiania gospodarki miejskiej było dla Rady Miejskiej zbyt trudne. 13 lutego 1923 r. została ona rozwiązana przez wojewodę Rembowskiemu na mocy reskryptu ministra spraw wewnętrznych, zaś jej czynności powierzono tymczasem Magistratowi na mocy art. 66 dekretu o samorządzie.

Kolejne wybory odbyły się 13 maja 1923 r., frekwencja obniżyła się do 66,4 proc. PPS utraciła większość, stronnictwa centrowe uzyskały przewagę w składzie Rady. Funkcję prezydenta powierzono Marianowi Cynarskiemu, zamordowanemu 14 kwietnia 1927 r. Prezesurę Rady Miejskiej objął dr Bole-

śław Fichna. PPS obsadziła stanowiska prezydenta (Bronisław Ziemiński) i wiceprezydentów (Stanisław Rapalski i Edmund Wielński). Tymczasem początkowe ożywienie ekonomiczne a następnie powszechny kryzys gospodarczy, a co za tym idzie ogromne zadłużenie gminy, niewłaściwe dysponowanie funduszami oraz utrata autorytetu wśród wyborców przyczyniły się do wprowadzenia w Łodzi rządów komisarycznych. Komisarzem rządowym został Wacław Wojewódzki, zaś stan tymczasowości trwał aż do 20 grudnia 1934 r., mimo przeprowadzonych 27 maja 1934 r. wyborów do samorządu IV kadencji. W wyborach, w których frekwencja spadła do 65,4 proc., zwyciężył Obóz Narodowy, który przejął władzę w mieście. Prezydentem został Stanisław Ryman, wiceprezydentami: Kazimierz Kowalski i Zygmunt Podgórski. Liczba radnych zmniejszona do 12, z czego 6 obywateli.

Niedowład organizacyjny, gorszące opinie publiczną, ekscesy na posiedzeniach Rady, niedbałe wykonywanie obowiązków, wysoka absencja na posiedzeniach oraz nieodpowiedzialna gospodarka finansowa, doprowadziły do kolejnego rozwiązania Rady Miejskiej 1 lipca 1935 r. Minister wprowadził rządy komisaryczne, tymczasowym prezydentem został Wacław Głazek, któremu przydano do pomocy tzw. Radę Przyboczną.

Następne wybory odbyły się 27 IX 1936 r., frekwencja wyniosła 74,4 proc. Zwyciężyła PPS i klasowe związki zawodowe, obejmując w Radzie 40 mandatów. Na posiedzeniu Rady Miejskiej 7 stycznia 1937 r. wybrano na prezydenta Norberta Barlickiego, wybitnego socjalistę, byłego ministra robót publicznych w rządzie Aleksandra Skrzyńskiego. Na stanowiska wiceprezydentów wybrano: Bolesława Drajewicza, Artura Szewczyka i Adama Walczaka. Norbert Barlicki, który otrzymał w głosowaniu 43 głosy na 70 głosujących, oświadczył, że „będzie starał się pracować w myśl interesów ołbrzymiej większości miasta”. Minister Spraw Wewnętrznych nie zaakceptował wyboru i odmówił zatwierdzenia Norberta Barlickiego na stanowisko prezydenta. Klub radnych socjalistycznych 25 lutego 1937 r. ponownie zgłosił kandydaturę Norberta Barlickiego dowodząc, że ma on nie tylko kwalifikacje niezbędne przy pełnieniu tej funkcji, ale również poparcie 120 tysięcy wyborców. Minister po raz kolejny odmówił zatwierdzenia decyzji Rady Miejskiej i w rezultacie rozwiązał ją 31 marca 1937 r.

Kolejne rządy komisaryczne trwały do 18 grudnia 1938 r., to jest do kolejnych wyborów samorządowych.

Frekwencja wyniosła 68 proc., wybory znów wygrała PPS, która wraz z żydowskimi partiami robotniczymi uzyskała 44 mandaty. Prezydentem VI kadencji został Jan Kwapiński, wiceprezydentami: Adam Szewczyk, Adam Walczak i Antoni Purlal. Były to już ostatnie w międzywojennej Łodzi wybory komunalne.

Łódź była pierwszym mia-

Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego przy ul. Gdańskiej.

W 1928 r. Zarząd Miejski w Łodzi przystąpił do budowy wielkiego osiedla robotniczego na Polesiu Konstantynowskim, które miało zapewnić dach nad głową 1534 rodzinom. Samorząd uznał też zasadność poglądów prof. Edwarda Strassburgera, który dowodził, że „mieszkaniec wielkiego miasta pozbawiony pięknych wrażeń przyrody, może choć w części znaleźć je w sztucznie założonych ogrodach miejskich, stanowiących przypomnienie tej przyrody”.

Park Ludowy im. Marszałka Józefa Piłsudskiego na Zdrowiu, według projektu Stefana Rogowicza (1891—1946), miał być największym tego typu parkiem miejskim w Europie i składać się z całego kompleksu parków i ogrodów o różnym przeznaczeniu o powierzchni 300 hektarów, włączając w to 115-hektarowy las.

W latach 1925—1937 dokonano regulacji i przesklepienia rzek: Łódki, Bałutki, Karolewki i Jasieni, o łącznej długości prawie 18,5 km, przeprowadzono też przez cały czas międzywojnia budowę urządzeń kanalizacyjnych według projektu Lindleya.

Samorząd doprowadził do największej na owe czasy inkorporacji do miasta sąsiadujących terenów wiejskich i osad.

Tu warto dodać, że dopiero 18 sierpnia 1915 r., na mocy rozporządzenia prezydenta polacji Mateusza von Oppena przyłączono do Łodzi — wsie: Bałuty Nowe, Bałuty Stare, Bałuty-Kolonie, Widzew, Zarzew, Rokicie Stare, Zabieniec, Radogoszcz i Antoniew Stokowski. Po odzyskaniu niepodległości właściciele gruntów i nieruchomości na tamtych terenach wytoczyli gminie miejskiej proces o bezprawną inkorporację. Najwyższy Trybunał Administracyjny orzekł odcłonicie wspomnianych wsi i osad od Łodzi i dopiero Rada Ministrów na wniosek Magistratu m. Łodzi zatwierdziła ostatecznie przyłączenie spornych terenów do miasta.

Instytucje samorządowe miasta dopóty realizowały z powodzeniem własną politykę w sferze zarządzania miastem, dopóki nie krepowały ich gorsze „opiekunkich” decyzji administracji państwowej. Ekonomia wywierała znaczny wpływ na jakość decyzji administracyjnych, zaś nieporozumienia partyjne anarchizowały tok prac zespołowych, przyczyniając się do kryzysów prezydenckich i ingerencji państwa. Wojewodowie, w zasadzie odpowiedzialni za całość powierzchni ich opiece terenu, nie wtrącali się w sprawy municypalne, ponieważ udaremniały im to przepisy o samorządzie. Im większe prerogatywy w zarządzie lokalnym zyskiwało centrum polityczne, tym mniejsze było znaczenie samorządu miejskiego. Przetargi wewnętrzne partyjne i brak spójności w ramach rządzącej koalicji wpływały ujemnie na jakość decyzji administracyjnych i gospodarczych. Z tej prawidłowości i dzisiaj warto wyciągać wnioski.

ANDRZEJ KEMPA

kające z zarządu i użytkownika nieruchomości przeszły na tenże Związek. Podpisywanie zatem obecnie aneksu do protokołu zdawczo-odbiorczego nie jest uzasadnione z punktu widzenia prawnego i faktycznego.

W październiku 1982 r. zainteresowani sprawą spotykają się w Wojewódzkiej Komisji Planowania.

Przedstawiciele tej Komisji, Zarządu Inwestycji i Dyrekcji Inwestycji Miejskich, Wydziału Kultury i Sztuki UML, ZPAP i „BEDETE”, który będzie przeprojektowywał dokumentację w oparciu o... gotowy projekt. Tyle że po przeprojektowaniu pierwszy... zniknie. Szacowne gremium, które zebrano się „w sprawie uściślenia programu remontu obiektu w Sokolnikach” przeznaczonych

bót zasadniczych oraz wykonanie do końca roku 1982 robót na około 500 tys. zł, w tym OGRÓDZENIE OBIEKTU SIATKA — około 350 m i remont dachówki.

Zgierskie przedsiębiorstwo potwierdza wstępnie przyjęcie zleconych robót, lecz natychmiast przewiduje, że wartość kosztorysowa robót wyniesie około 32 mln zł. W listopadzie Wydział Kultury i Sztuki UML powiadamia DIM, że 500 tys. zł, przeznaczone na roboty w Sokolnikach w 1982 r. są do dyspozycji w Łódzkim Domu Kultury i — że sposób finansowania należy uzgodnić z ŁDK. W dwa miesiące później tenże Wydział Kultury i Sztuki UML, nie mający — podkreślają — osobowości prawnej, powiadamia naczelnika gminy Ozorków, że zgodnie z decyzją prezydenta Miasta Łodzi przejmują od Zarządu Okręgowego Związku Polskich Artystów Plastyków obiekt w

ezony. W trzy miesiące później, że roboty prowadzi pięciu pracowników, zaś budynki nie są zabezpieczone przed zimą; że materiały z rozbiórki oraz sprowadzone dużo wcześniej drewno leży i niszczeje. Według oświadczenia dozorczy (mieszkającego na miejscu i opłacanego przez Wydział Kultury i Sztuki UML), około dwie tony sprowadzonego i nie wykorzystanego cementu zostało zniszczone...

Na takie dictum inwestor zastępczy, czyli DIM, odpowiada, że... podziela pogląd, ale interwencje u wykonawcy nie odnoszą skutku. Nadzór inwestorski nie stwierdza jednak niegospodarności przedsiębiorstwa wykonawczego w zakresie wykorzystania materiałów budowlanych, zaś kierownik budowy zatrudniony jest przez wykonawcę, więc DIM nie ma podstaw do jakiegokolwiek interwencji.

Tak więc inwestor zastępczy

Sokolnickim obiektem zainteresowała się także Komisja Kultury Rady Narodowej m. Łodzi, której przedstawiciel wraz z wyznaczonymi inspektorami dokonuje oględzin terenu.

Stwierdzono stan, który każdego właściciela przyprawiałby o palpitację serca, jeśli nie zawał. Teren przez nikogo nie dozorowany, pomieszczenia potawiane, każdy z zewnątrz może brać, co mu się żywnie podoba, ogólny bałagan, szuby powybijane, porzucane materiały, stolarka. Nikt nie robi — wszystko w każdej chwili może być zniszczone lub skradzione. Do nowo wybudowanej kotłowni-hydroforni każdy może mieć dostęp, przed budynkiem skorodowany wymiennik. W dachu głównego budynku, pokrytego blachą widoczne dziury, malowanie da-

Ze wspomnień: fatalne lata pięćdziesiąte.

Jak dokonałem zamachu na ministra

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Nastal nam nowy minister kultury i sztuki. Właściwie nie był całkiem nowy, dotąd piastował stanowisko — wiceministra. Inna rzecz, że i wtedy jako zasłużony działacz partyjny był ważniejszy od swego szefa, też wybitnie zasłużonego przed wojną i w okupacji, ale w Stronnictwie Ludowym. Kto był wtedy ważniejszy, nie trudno było poznać po kolejkach interesantów czekających na wiceministra i braku takiegó kolejkę przed gabinetem szefa resortu. Mówili bywalcy ich wspólnego sekretariatu, że nudzący się w wielkim swym gabinecie minister wychodził do sekretariatu na pogaduszki z kolejkowiczami do jego zastępcy, a ci ani myśleli skorzystać z faktu, że akurat sam minister jest ich rozmówcą: wiodli z nim nadal wesołe rozmówki, nie czując potrzeby przedłożenia sprawy, z którą przybyli do jego, formalnie rzecz biorąc, pomocnika. Zmiana na stanowisku szefa resortu podobno zapowiadała — mówili wtajemniczeni — pewną liberalizację polityki kulturalnej. Nie chcą nikomu sugerować, jakoby odwołany minister Stefan Dybowski był twardzielem. Był człowiekiem uroczym, niezwykle kulturalnym, był świetnym mówcą i być może miałby jakieś samodzielne koncepcje, gdyby posiadał większy wpływ na swój resort.

Szeptano, że nowy minister to liberali wprawdzie tylko umiarkowani, ale i to dobrze, i że jest wypoczął w jakimś minimum samodzielnosci. Nowy minister rozpoczął urzędowanie od szeregu spotkań w Pałacu Prymasowskim ze związkami twórczymi, znaczącymi grupami środowiskowymi i instytucjami. Jedno z tych spotkań poświęcił szkołom artystycznym, cieszącym się i dotąd stosunkowo znaczną swobodą. Zaproszeni zostali wizytatorzy ministerialni i terenowi, senaty szkół akademickich, co wybitniejsi dyrektorzy oraz kierownicy ośrodków metodyczno-programowych.

Masywnista delegacyjnego pociągu porannego Łódź—Warszawa stanowczo nie był przodownikiem pracy. Masywniści — przodownicy, nie tylko, jak się stało, nie spóźniają się nigdy, a ponadto praktykują... stalinowsko-stachanowski zrywając zażądania do stacji docelowej grubo przed czasem. Ten, który wioził mnie na pierwsze spotkanie z ministrem, wiodł się jak „slugus imperializmu”, stał przed każdym semaforem. Przed jednym dokładnie trzydzieści pięć minut! Co chwila z rosnącym przerażeniem patrzyłem na zegarek: spóźniłem się!... Już się spóźniłem! Jeszcze mnie może uratować samochód, gdyby się akurat nawinął przed dworcem i brał na lebek! Ale nie, już i samochódziarz nie pomoże! Co robić? Od razu na początku działalności nowego ministra wystawił sobie opinię wizytatora, który zaniedbuje się w obowiązku.

Wsiadłem się na salę konferencyjną. Nabita była po brzegi. Dużo kolegów. Jest i wizytator ze Szczecina, i wizytorka z Rzeszowa, matka znanej śpiewaczki. Jest zaprzyjaźniony wizytator z Poznania. Machnął mi kumpelowsko ręką i wyrażał twarz wyrazem zdziwienia, że tak późno się zjawiam. A może i z ulgą, że się w ogóle zjawiam, bo ostatnio panuje duży ruch kadrowy na naszych stanowiskach. W głębi sali, widzę, pod oknem siedzi w otoczeniu licznych adherentów rektor Łódzkiej Wyższej Szkoły Muzycznej, profesor Kazimierz Sikorski, największy w Polsce autorytet z dziedziny teorii muzyki. Żeby mnie tylko łodzinie nie zobaczyli, jak się skradam wzdłuż rzędów notabli do jedynego wolnego na sali krzesła!

Jeszcze jedno nieszczeście: jedyne wolne krzesło znajduje się w samym środku pierwszego rzędu, tuż przed stółkiem, za którym stoi sam minister i referując macha oratorsko rękami. Choc bym miał, jak najmniejszy! Taki jak Podziomek z „O krasnodachach”! Taki jak Nils z „Cudownej podróży”! Lagerlof! Posuwam się w kierunku zbawczego krzesła tak głęboko zgłębi, jakbym siedział na czterech nogach. Minister wygłasza rzeczy liberalne i pewnie dlatego, wygłaszając je macha zadzierzżąc rękami. Na pewno przy tak wielkim ferworze oratorskim mnie nie dojrzał. Sposzczenie to tak podniosło mnie na duchu, że zacząłem nawet odbierać to, co nowy minister mówi.

Mówi, iż dotychczas błędnie uważano, jakoby sceny poculunkowe były niegodne literatury i sztuk przedstawiających, oddających hold naszej dumnej epoce. To nieprawda — jak najbardziej są godne! Uczulowiczają postacie pozytywnych bohaterów naszych powieści, poematów, oleów, grafik... a może i muzyki!

— Czyż może być coś piękniejszego, rozkoszniejszego dla prawdziwego socjalisty, dla przodownika, niż najwyższa nagroda w chwilach wytchnienia, jaka jest poculunek kochanki? To jest... nieścisłe się wyrażam — żony lub narzeczonej, która dobrze, jeśli jest również przodownicą, ale nie musi nią nawet być! Czy jest coś szlachetniejszego niż miłość ideowa kobieta, która leży... Niestety, nie dosłyszałem, gdzie i po co leży taka ideowa kobieta. Szczęśliwy, że tak genialnie udało mi się w sposób niezauważalny przedostać i w dodatku na tak eksploatowane miejsce tuż przed stółkiem tak ważnego prelegenta, poculunek gwałtowną chęć zapalenia papierosa. Na tamtym etapie demokracji wolno było palić i w tramwajach, i na salach konferencyjnych. Tylko gdzie jest popielniczka? Znowu jak na złość najbliższa stoi tuż przed drzwiami, o piętnaście krzesel ode mnie, więc korzystanie z niej odpada. Zapaliłem sporta... a wypaloną zapalniczkę... Nie ma rady — wsadzę ją z powrotem do pudełka. Niestety, nie wiem, kto to wsadził, ale wiem, że nie całkiem gaszę. Na dobitkę wkładam nie od razu, lecz od góry pudełka.

Minister po zacerpieniu oddechu kończył pouczający przykład: — „młoda, ideowa kobieta znalazła się w ramionach mężczyzny powinna nawet o...”

Pudełko zapalniczek nagle staje się ognistą gwiazdą, meteorem, racą, granatem, płonącą piłką od siatkówki. Co robi człowiek trzymający w rękach taki płonący przedmiot? Bez zastanowienia odrzuca najdalej od siebie i wprost... „Piłka” trafia w ostro otwartą na „o” usta ministra. Minister przytomnie. Jako wysoki oficer spod Lenina, a więc człowiek z wojskowym refleksem, odbija ją do dyrektora Centralnego Zarządu Kazimierza Dąbrowskiego, który siedzi hieratycznie obok. Dyrektor płośnie... Wszyscy zrywają się z miejsc. Patrzy z przerażeniem, jakby nigdy nie widzieli, jakby nigdy nie ciskali w wojnę granatów! Jakby nigdy nie odrzucali palących się w ręku zapalek. Boczne drzwi otwierają się szybko, jakby pękły: wpadają cywile o obliczach nadzwyczaj niewesołych. Rzucają się w moim kierunku, chcą mnie obezwładnić, sądząc może, że Kordian, który z braku cara...

— Obnażył piersi — kończy Włodzimierz Sokorski, jakby nie się nie stało. Po czym zmieniając adresatów skierowania dodaje: — Zostawcie, towarzysze, w spokoju prowadzić wizytatora, który wida... w grę tu weszła kobieta i... spóźnił się. Ja bym potakiem wysiłku też na jego miejscu zapalił, tylko że już nie palę. Moja nowa żona...

Tę scenkę, którą zapewne w ciągu tak intensywnego i arcybogatego życia musiałem, Włodu, od dawna zapomnieć, przypominam Ci z imponującą okazją osiemdziesięciolecia Twego Wigoru. Nie jest to przecież wazelinarstwo, bo od iluż lat nie wiąża nas żadne bezpośrednie ani pośrednie stosunki służbowe. Drukuję wprawdzie od lat w Twoim „Miesięczniku Literackim”, ale to już sprawa Twoich redaktorów i tylko ich wyłącznie szlachetna wola.

chu i ścian zewnętrznych — niestaranie, obróbka oścharska nie wykonana. Słowem: ma nowawstwo i niegospodarnosc widoczne gołym okiem i na każdym kroku.

Po tej wizji, do bardziej już szczegółowej kontroli zabrał się rzeczoznawca Najwyższej Izby Kontroli, inż. Mieczysław Kowalczyk. Protokół pokontrolny liczy sobie 94 strony i 33 załączniki. Jak więc wnioskowi nasuwają się? Pierwszy to ten, że wydano dziesiątki milionów złotych bez efektów. Co więcej, wybudowano nowy obiekt (kotłowni-hydroforni) zdolnej obsłużyć, jak to ktoś powiedział, małe osiedle, który niszczeje. Wybudowano, dodajmy, choć ustalono wstępnie, że z pracami nie powinno się wycofać poza budynek główny i istniejący obiekt gospodarczy (po którym nie ma śladu, tak jak po ogrodzeniu, podłogach itp.). Wybudowano go za pieniądze przeznaczone na kapitalny remont, wielokrotnie przekraczając dopuszczalne nakłady na taki cel. Wydawano pieniądze bez stosownej uchwały Rady Narodowej m. Łodzi.

Jakkolwiek dawne DIM, a obecne WPU nie miało obowiązku dochodzenia stanu prawnego uregulowania, jednakże miało obowiązek zwrócenia uwagi na to, że zakwalifikowanie wydatków w tej wysokości przekracza uprawnień w tym względzie. A już największe zastrzeżenia musi budzić to, że na tak rozbudowane liczne agendy Urzędu Miasta Łodzi, żadna z nich przez siedem lat nie przeprowadziła kontroli tej nieformalnej prowadzonej inwestycji.

A kontrolować byłoby co, tak jak byłoby się nad czym zastanowić. Oto pierwsze z brzegu fakty: Roboty prowadzone od 1983 r., a pozwolenie wydano w czerwcu 1988 r. Dokonywano rozbiórki budynków, ogrodzenia, a po materiałach nie pozostało śladu. A wzrastające nieustannie koszty robót? I to bez podawania przyczyn, bez wyceniania co, ile, na co? A ustalone terminy, których nikt nie dochodził i nie przestrzegał, nie mówiąc o karach za nieterminowe wykonawstwo? Tak jak nie przywiązywano wagi do zawieranych umów, do podpisywanych aneksów, którymi zmieniano terminy i wartości. Nie słono się nawet na określanie — nie mówiąc już o wycenianiu — na jaki cel — wydaje się pieniądze? Ba, zawierane umowy — nie parafowane przez radcę prawnego — z rzemieślnikami nie były poprzedzane przetargami, negocjacjami, co do wartości robót, jakie miały ten czy ów rzemieślnik wykonać. Jedną z umów np. zakładała roboty instalacyjne wartości 23.331.000 zł, a kosztorys powykonawczy (bez aneksu!) opiewał już na 27.784.849 zł, choć pozostało do zrobienia jeszcze bardzo, bardzo wiele. Inna umowa, na stolarkę okienną, zleca wykonanie 24 sztuk podwójnych okien za 1.760.000, a jej wykonawcą jest człowiek o takim samym nazwisku jak... inspektor nadzoru tej budowy!

Zastanawiające i zdumiewające przykłady można mnożyć w nieskończoność, tak jak w nieskończoność można snuć refleksje, co do stanu naszej gospodarności w ogóle, nie mówiąc o stosowanych praktykach i zwyczajach.

MARIAN
ZDROJEWSKI

W Sokolnikach miał być Dom Pracy Twórczej...



dla potrzeb ZPAP”, ustala: ogólny koszt remontu oraz doprowadzenia dróg dojazdowych wyniesie 20 mln zł. Kwota ta określa jednocześnie podstawowy standard wykończenia wnętrza. Ustalono, że budynek będzie pełnił funkcję mieszkalno-rekreacyjną, a jego część zostanie przeznaczona na małe pomieszczenie kuchenne z możliwością przygotowywania śniadań, kolacji i ewentualnego podgrzewania obiadów z termosów, zaś hol spełniać będzie funkcję stołówki i miejsc ogólnych spotkań. Postanowiono również, że projektant dokona zmiany funkcji pokoju zborowego, że kotłownia, hydroforna, stacja trafo oraz pomieszczenia gospodarcze zostaną zlokalizowane w pawilonie wolno stojącym, obok budynku głównego. Ustalono nadto, że dokumentacja zostanie przygotowana najpóźniej do końca pierwszego kwartału 1983 r., a Wydział Kultury i Sztuki UML przekaze Dyrekcji Inwestycji Miejskich informacje, jakimi środkami dysponuje.

Już bodaj w trzech punktach ustalenia muszą wzbudzić, nawet w laiku, zdziwienie. ZPAP, nie mając osobowości prawnej (w stanie wojennym, zawieszony!), staje się użytkownikiem obiektu; specjalistyczna w końcu Dyrekcja Inwestycji Miejskich, będąca agendą Urzędu Miasta Łodzi, ma nad sobą zleciodawcę (także nie posiadającego osobowości prawnej), w postaci Wydziału Kultury i Sztuki UML zatrudniającego, owszem, specjalistów, lecz z innych zgół dziedzin i wreszcie: Biuro Projektów Przemysłu Lekkiego opracowuje dokumentację, choć wcześniej (I.X. 1982 r.) ZPAP przekazał — jedną tęczką koncepcji projektowo-kosztorysowej, jedną tęczką orientacyjnego — zbiorowego zestawienia kosztów, sześć tęczek dokumentów Zespołu Usług Projektowych, jedną tęczką program badań geodezyjnych, jedną tęczką prototypu technicznego z kosztorysem.

DIM zwraca się do Zgierskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego i — nawiązując do decyzji władz wojewódzkich — zleca temu przedsiębiorstwu generalne wykonawstwo remontu ośrodka w Sokolnikach, ustala termin na lata 1983—1984, ogólny koszt na 20 mln zł, z czego 10 mln na rok 1983 i zapowiada dostarczenie dokumentacji w pierwszym kwartale 1983 r. Zaleca przy tym zabezpieczenie obiektu przed rozpoczęciem ro-

Sokolnikach na czas trwania remontu. W kwietniu 1983 r. w Sokolnikach pojawia się Terenowa Grupa Operacyjna.

Stwierdza ona: na ogrodzonym siatką terenie znajduje się „pałacyk z drewna modrzewiowego”, budynek gospodarczy i stróżówka, że budynki są w złym stanie (porywane, połamane okna, drzwi, część podłóg i balustrad, zdewastowana instalacja elektryczna i ogrzewcza). Stwierdza drobne prace remontowe podłóg w budynku przeznaczonym dla dozorczy, lecz przy robocie nie zastano żywej duszy. Członkowie grupy konstatują na koniec, że jeśli remont będzie prowadzony w takim tempie i tak, nie ma nadziei na „przywrocie dawnego wyglądu wspaniałego zabytku” (!?) Wniosek: powołanie komisji i wyciągnięcie wniosków dyscyplinarnych w stosunku do osób winnych zaniedbań służbowych i podejmowanych decyzji, które „spowodowały olbrzymie straty materialne”...

Można zaryzykować i twierdzić, że od tej chwili sokolnickiemu obiektowi przypada los „nie chłanego dziecka”.

W lipcu 1983 r. dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UML — „wmontowany” w rolę dysponenta — powiadamia prezydenta m. Łodzi, że wykonawca, który przyjął zakres robót warunkowo nie rozpoczął robót i, że, być może, rozpoczął je we wrześniu 1983 r. W tej sytuacji zachodzą poważne wątpliwości, czy robota w ogóle zostanie w planowanym czasie rozpoczęta...

Kolejne dwa lata mijają w marazmie i na przepychankach — a to, że rozwiązaniem ZPAP — „wygasto prawo użytkowania obiektu” to znów — i słusznie — Urząd Gminy w Ozorkowie wskazuje, iż Wydział Kultury i Sztuki UML nie jest jednostką gospodarki społecznej i dlatego nieruchomość w Sokolnikach nie może mu być przekazana, a pozostać może w gestii naczelnika gminy (chyba że zostanie wskazany konkretny administrator). Jest jeszcze notatka z 1985 r., w której wyrażono wątpliwości, czy termin zakończenia remontu (1987 r.) zostanie dochowany. W sierpniu 1986 r. zwraca się uwagę DIM, że w Sokolnikach nie prowadzi się żadnych prac, które zmierzalby do zakończenia remontu, a istniejący stan budowlany, czy w ogóle do 1990 roku zostanie zakoń-

nie ma nic do powiedzenia, lecz za to w pół roku później stawia nowe warunki. W pierwszym półroczu 1987 roku wykonano 16,0 mln zł, a do końca roku pozostały do wykonania: roboty zgierskiego przedsiębiorstwa na sumę 12,0 mln; roboty (rzemiosła) elektryczne — 4,5 mln, instalacyjne — 9,0 mln zł. Razem potrzeba 25,5 mln zł. Wykonanie więc robót na 1987 r. wynoszące sumę 41,5 mln, a Wydział Kultury tymczasem zapewnił środki w wysokości 13,1 mln zł. Żądają więc dodatkowo 28,4 mln zł!

W rok później DIM stwierdza: „Wobec faktu, że do końca 1987 r. wykonano roboty wartości 37,7 mln zł (planowano 41,5 mln) wartość robót na 1988 r. wzrosła do 56,8 mln. W tej kwocie mieszczą się również roboty wykonawcze. W okresie od 1.I.1988 r. do 31.III.1988 r. wykonano roboty wartości 5,2 mln zł.” Podano także wycenienie poniesionych nakładów na 1988 r.: 56,8 — planowane nakłady, minus wykonane w pierwszym kwartale 5,2 mln, stanowi to 51,6 mln potrzebnych do zakończenia inwestycji. Oczywiście, plus: 26,1 mln zł na wykonanie dróg, 4,0 mln na OGRÓDZENIE (co się z dawnym ogrodzeniem stało — licho wie!) oraz 1,5 mln zł — koszt zieleni i ukształtowania terenu. Razem 83,2 mln zł!

W sierpniu 1988 r. Dyrekcja Inwestycji Miejskich przemienia się w samodzielną przedsiębiorstwo: Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Usług Inwestycyjnych. Jak na nowe przedsiębiorstwo przystało, musi powstać nowa umowa — powiernicza, o zastępstwo inwestycyjne — z Wydziałem Kultury i Sztuki UML. A to, co było, i że w nowym przedsiębiorstwie są ci sami w większości ludzie „nie ma większego znaczenia. Już po miesiącu „nowe przedsiębiorstwo” zabiera się do dzieła. Informuje Wydział Kultury i Sztuki UML, że od początku wydano na Sokolniki: w 1983 r. — 1.187.846 zł, 1984 r. — 1.682.677 — 1985 — 3.573.392, 1986 — 8.610.040, 1987 — 37.680.302 zł, natomiast do 31.10.1988 r. — 35.355.166, — zł! i stwierdza, że do zakończenia zadania niezbędne będą nakłady w wysokości... 230 mln zł!

W maju 1988 r. wiceprezydent Janusz Urbaniak, na kolegium prezydenta wyraża w sprawie Sokolnik pogląd, że remont prowadzony jest wysoce niegospodarnie. Wnosi więc o przeprowadzenie kontroli finansowo-rzeczowej.

Z Neapolu do Sokolnik i dalej w świat

Rozmowa z JOLANTĄ SIRY-OSMOLIŃSKĄ — skrzypaczką, która wraz z mężem tworzy Polskie Duo Skrzypcowe.

— Gdyby w obliczu zbliżającego się jubileuszu miała pani dokonać bilansu swoich osiągnięć artystycznych, jakby pani oceniła swoją pracę?

— Od samego początku, to jest od momentu powstania duetu staramy się prowadzić żywiołową działalność artystyczną zarówno w kraju, jak i za granicą. Duet nasz założyliśmy w 1980 roku we Włoszech, gdzie przebywaliśmy na kontrakcie. Grałismy tam w Orkiestrze Kameralnej Włoskiego Radia i Telewizji im. Aleksandra Skarlettiego. Tam otrzymaliśmy nagrodę „Premio Guaraccino” za aktywną działalność koncertową w Neapolu i jego okolicach. Jako ciekawostkę chciałabym podać, że „Guaraccino” to nazwa ryby, która żyje wyłącznie w Zatoce Neapolitańskiej. Ryba ta jest symbolem płodności, a tej nagrody przyznawana jest osobom wyjątkowo płodnym artystycznie. Tak więc zachęcenia ta nagroda otebrała nas na Międzynarodowy Konkurs Młodych Muzyków w Strassie, gdzie zajęliśmy pierwsze miejsce w kategorii duetów. W 1981 roku dojechaliśmy na Międzynarodowy Konkurs Muzyki Kameralnej do Trapani (Sycylia). Było to dla mnie bardzo interesujące przeżycie, gdyż jak się dowiedziałam w Trapani krecony był serial „Osmiornica”. Na konkursie tym zajęliśmy trzecie miejsce i od tej pory można powiedzieć, zaczęła się nasza kariera artystyczna.

— Cały czas mówię pani o swoich osiągnięciach zagranicznych, a co z krajem?

— Do Polski wróciłam w 1983 roku i prawie natychmiast nawiązałam kontakt z Krowym Biurem Koncertowym, rozpoczęliśmy też współpracę z „Pazartem”. W 1988 roku miałam postawioną organizację festiwalu w Sokolnikach, gdzie rozgrywał się budowę domu. Napisałam wstęp do programu, a mąż starał się o wsparcie finansowe dla naszego przedsięwzięcia. Prosił o pomoc Rade Sołecka Gminy Sokolniki, Radę Narodową w Ożorkowie, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, Instytut Włoski w Warszawie, firmę „Morfeo” w Ożorkowie. Dopiero dzięki pomocy ich wszystkich udało nam się zorganizować festiwal.

— Czytałam recenzje z festiwalu. Wszystkie były bardzo pochlebne. A jakie są pani indywidualne odczucia z tamtego okresu?

— Publiczność była wspaniała. Mąż jako kierownik artystyczny siał się na medal. Oboje uważamy, że powinna to być impreza cykliczna. W Sokolnikach nie się nie dzieje, a latem jest tam mnóstwo wczasowiczów. Tym ludziom brakuje imprez kulturalnych. Proszę sobie wyobrazić, że jeszcze dwa tygodnie po zakończeniu festiwalu przechodzili do nas ludzie z prośbą o dalsze koncerty. To było bardzo wzruszające. Na inauguracji festiwalu grała Orkiestra Kameralna Liceum Muzycznego „Łódzkie Smyczki”. Grałam razem z nimi i miałam potworną treść, bo przecież w końcu grałam z dziećmi (młodsza dziewczyna miała niespełna 18 lat). Uczniowie jednak siali się bardzo dobrze i mąż, który jest ich nauczycielem, był z nich bardzo dumny.

— Pani również jest nauczycielką?

— Tak. Zdecydowałam się na pracę w Akademii Muzycznej, żeby być na miejscu i móc zająć się dziećmi.

— Jakie plany ma pani na najbliższą przyszłość?

— Obecnie przygotowujemy się do uroczystych obchodów naszego dziesięciolecia. Chcemy z tej okazji zorganizować koncert w Filharmonii Łódzkiej. Planujemy również koncert w Lublinie. Będzie to koncert złożony. W jego pierwszej części będziemy grali sami, w drugiej wraz z orkiestrą Bogusława Schaeffera. Muszę zaznaczyć, że będzie to koncert napisany specjalnie dla nas. Ponadto na wiosnę 1990 roku planujemy odbyć tournée po Hiszpanii. Będziemy tam wykonywać polską muzykę XX wieku. W lipcu natomiast spodziewamy się wyjazdu do Hawan. Powiem pani w zaufaniu, że w Hawanie mieliśmy być w lipcu 1989 roku, ale podczas robienia kotletów przetrzasnęłam sobie palec tłuczkiem do mięsa i w tej sytuacji wyjechać nie było już po co.

Rozmawiała:
MAGDALENA GROCHOWAŁSKA

9.

Spółki, w których udział mają Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex”, różnią się od siebie nie tylko wielkością, kapitałem, liczbą udziałowców, rodzajem i zakresem działalności, ale również celem, jaki dzięki nim spodziewa się „Uniontex” osiągnąć. Falszywe jest bowiem mniemanie, że w każdym przypadku celem tym są jedynie dywidendy z wypracowanych przez nie zysków, choć w zasadzie tak być powinno. Sytuacja gospodarcza, jaką mamy dziś w kraju, sprawia, że celów tych jest znacznie więcej, i nikt tego nawet specjalnie nie ukrywa.

Polsko-kanadyjska „Lomonta” powstała na przykład między innymi po to, aby „Uniontex” mógł mieć więcej dolarów na modernizację swego parku maszynowego. Bo inne są przepisy dewizowe w odniesieniu do spółek, a inne do przedsiębiorstw państwowych, co zmusza te ostatnie, by zamiast wprost, szukały twardej waluty okólnymi drogami — właśnie poprzez spółki.

Wejście z 50 mln złotych do Łódzkiego Banku Rozwoju SA podyktowane było znów możliwością uzyskania mniej oprocentowanych kredytów; do „Textilimpexu” — łatwiejszym dostępem do surowców a udział w spółkach budowlanych — nadziejami na szybsze otrzymanie mieszkań dla pracowników oraz usprawnienie remontów prowadzonych w starych fabrycznych budynkach. I nie były to pienne nadzieje, gdyż remonty w wykonaniu państwowych przed-

siębiorstw w kieszeni te wypracowane pieniądze. Liczymy, że zmobilizuje nas to do jeszcze wydajniejszej pracy.

13.

W „Uniontexie” obowiązuje zasada, iż decyzję o przystąpieniu przedsiębiorstwa do jakiejś spółki, zatwierdza najpierw parlament załogi, czyli rada pracownicza. Dyrekcja przedstawia radzie pisemny wniosek, a ta po zbadaniu sprawy mówi: tak albo nie.

Przewodniczący rady, Stanisław Zarychta informuje, że gdy chodzi o spółki z kapitałem zagranicznym, w zasadzie wszyscy są z góry za. Chcieliby widzieć takich jak najwięcej. W innych przypadkach nie ma już takiej jednoznaczności w radzie choć panuje zgoda na przykład co do tego, że spółki nie mogą zajmować się tylko pośrednictwem i że pierwszeństwo zatrudnienia w nich powinni mieć pracownicy „Uniontexu”. Takie były uchwały rady.

A jak wygląda to w praktyce? Dla przykładu przewodniczący Stanisław Zarychta pokazuje pismo dyrektora naczelnego Józefa Grzegorzczaka z 19 sierpnia 1989 r.: „Zwracam się do Rady Pracowniczej o podjęcie uchwały wyrażającej zgodę na przystąpienie Przedsiębiorstwa do spółki z ograniczoną odpowiedzialnością UNION-PROCUM.

Przedmiotem działania przyszłej spółki będzie prowadzenie działalności produkcyjnej, usługowej i handlowej w zakresie:

— produkcja artykułów przemysłowych m.in.

ROZBIÓR MOLOCHA: Co się kryje za spółkami w „Uniontexie” (2)

Formalnie — wszystko w porządku

ANDRZEJ GĘBAROWSKI PAWEŁ TOMASZEWSKI

Spółki, to temat delikatny i drażliwy. Związane z kapitałem mieszanym — prywatno-państwowym. Bo tam, gdzie w grę wchodzi część państwa, zawsze rodzą się emocje. Dlatego ci, którzy wiedzą wszystko, wolą być o pewnych rzeczach nie mówić, a ci, co nie wiedzą, nie chcą wiedzieć. Jedni z zwykłej ludzkiej ciekawości, inni — jak twierdzą — z obowiązku, ponieważ ktoś na straży sprawiedliwości społecznej musi przecież stać.

10.

Spółki, to temat delikatny i drażliwy. Związane z kapitałem mieszanym — prywatno-państwowym. Bo tam, gdzie w grę wchodzi część państwa, zawsze rodzą się emocje. Dlatego ci, którzy wiedzą wszystko, wolą być o pewnych rzeczach nie mówić, a ci, co nie wiedzą, nie chcą wiedzieć. Jedni z zwykłej ludzkiej ciekawości, inni — jak twierdzą — z obowiązku, ponieważ ktoś na straży sprawiedliwości społecznej musi przecież stać.

11.

Spółkę „Unofpo” ŁZPB im. Obrońców Pokoju utworzyli wraz z 20 osobami prywatnymi. Jej główne zadanie, to „zagospodarować” powstające w zakładach odpady i wyroby niepełnowartościowe. Plany są ambitne i zakrojone na szeroką skalę, gdyż w grę wchodzi tysiące ton różnych odpadów, które można wykorzystać, dobrze na tym zarabiając. Najpierw trzeba jednak zainwestować w urządzenia, pomieszczenia, składowiska... Tylko jak tego dokonać skoro zaczyna się z kapitałem 3280 tys. złotych, a przewidywany zysk w pierwszym roku zamknie się na sumę około 30 mln?

Dyrektor spółki, Zdzisław Lis — były pracownik państwowych Zakładów Tkanin Technicznych — nie chce na razie mówić o szczegółach przewidywanych zamierzeń. Nie widzi też potrzeby ujawniania, kim są udziałowcy i dlaczego żaden z nich w spółce nie pracuje. Nie czuje się do tego upoważniony. Może jedynie zdradzić, że z wyjątkiem trzech osób są to pracownicy „Uniontexu”.

W październiku 1989 r. „Unofpo” zatrudniała 5 osób w dwóch prowadzonych sklepach, a trzy i pół etatu przypadało na biuro. Poza jednym, nikt z pracowników spółki nie był i nie jest zatrudniony w „Uniontexie”.

12.

„Intexpol” (kapitał założycielski półtora miliona złotych, z czego 53 proc. należy do ŁZPB im. Obrońców Pokoju, reszta zaś do osób prywatnych) robi mniej więcej to, co dawniej fabryczny dział inwestycji i zespół projektowy, tyle że szybciej, taniej i z większym zaangażowaniem. Ludzie ci sami, problemy te same, ale inny sztyt, inna organizacja pracy i inne wynagrodzenie.

Gdy byliśmy na etatach w „Uniontexie” — wyjaśnia Jerzy Paluszewicz, były kierownik działu inwestycji, a teraz prezes spółki — nie zależało nam, by pracować naprawdę wydajnie. Dlatego nieraz tylko udawaliśmy, że jesteśmy zajęci. Dziś świadczymy usługi dla „Uniontexu”, z którym dzielimy się zyskiem, dla innych inwestorów, prowadzimy sklep, organizujemy produkcję odzieży dla służby zdrowia i myślimy jeszcze o dalszym rozszerzeniu naszej działalności. Przejęcie do spółki wywołowało w nas inicjatywę, gdyż mamy świadomość, że pracujemy dla siebie, mamy na coś wpływ. W tak dużym przedsiębiorstwie, jak „Uniontex” nie było to możliwe.

Już w ciągu pierwszych czterech miesięcy istnienia „Intexpol” powiększył swój kapitał dziesięciokrotnie, a planowany na bieżący rok dochód — ok. 80 mln zł. — zostanie prawdopodobnie przekroczony. Połowę wypracowanego zysku spółka przeznaczycie chce na inwestycje, 40 proc. — na dywidendy zaś resztę — na nagrody dla pracowników oraz inne cele.

Zdajemy sobie sprawę — mówi prezes, będący też jednym z udziałowców — że nie jest to podział dobry, ponieważ na inwestycje powinniśmy przeznaczyć dużo, dużo więcej, ale chcemy, aby każdy z pracowników poczuł jak

w branżach: chemicznej, metalowej, drzewnej, szklarskiej,

— produkcja artykułów rolnospożywczych, — produkcja wyrobów dziewiarsko-konfekcyjnych...

Dalej następują liczby: kapitał spółki — 385 mln złotych, w tym udział „Uniontexu” — 88 mln, przewidywany roczny poziom produkcji — 1,5 mld złotych, co przy 40 proc. zysku (z czego połowa na podatki) powinno zagwarantować przedsiębiorstwu ok. 75 mln złotych rocznie. I to właściwie wszystko. Ani słowa, z kim „Uniontex” wchodzi w tę spółkę, czy jest to partner wiarygodny, jakie daje gwarancje i co ze swej strony konkretnie wnosi.

Czy to pana nie dziwi? — Nie — odpowiada Stanisław Zarychta. — I nie wiecie, z kim będziecie robić interesy?

Aż tak głęboko, to my w to nie wnikaemy. Tu przedsiębiorstwo daje tylko budynek, w dodatku taki, z którego nie ma żadnego pożytku, a zarobić może dużo, więc chyba się opłaca, prawda?

14.

W Zakładowej Komisji NSZZ „Solidarność” i związkach OPZZ-owskich o spółce „Union-Procum” nie wiedzą nic. Nie słyszeli nawet, że taka istnieje.

Zbigniew Zalewski, pełnomocnik dyrektora ds. spółek, również — jak twierdzi — nie ma zbyt wiele na jej temat do powiedzenia. Budynek przekazany spółce znajduje się przy ulicy Zakładowej, został zakupiony przez „Uniontex” kilka lat temu. Po remoncie miał się tam znaleźć hotel robotniczy, jednak okazało się, iż koszty remontu przekraczały możliwości finansowe przedsiębiorstwa. I to chyba tyle. Odnosnie samej spółki zaś najlepiej zapytać pana Nawrockiego, choć nie ma pewności, czy będzie chciał z prasą rozmawiać.

Kto to jest pan Nawrocki? Jak można się z nim skontaktować? Czy oprócz niego są jeszcze jacyś inni udziałowcy?

Pytania te Zbigniew Zalewski pozostawia bez odpowiedzi.

15.

Budynek przy ulicy Zakładowej 145 na dalekim Olechowie, to czterokondygnacyjny biurowiec — i z zewnątrz i od wewnątrz w opłakanym stanie. Zbigniew Pieczyński, pełnomocnik prezesa Nawrockiego, chętnie pokazuje odrapane ściany, powyrwane drzwi, wykrecone grzejniki i gniazda elektryczne.

Do takiego stanu doprowadził go poprzedni użytkownik — mówi. Planowaliśmy ruszyć z produkcją od listopada, ale wobec takiej dewastacji wątpliwe, by to było możliwe.

Ta produkcja, to na razie życie konfekcji m.in. z tkanin wytwarzanych w „Uniontexie”. Później, gdy spółka się rozwinie, rozszerzy zapewne swą działalność. Wtedy też zajmie dalsze pomieszczenia, cały budynek. Nie nastąpi to jednak zbyt szybko, ponieważ na dalszy remont potrzebne są ogromne środki. No, i najpierw wprowadzić się muszą sublokatorzy. Tylko — kiedy i dokąd? Dziś jeszcze nie wiadomo.

Tyle Zbigniew Pieczyński może powiedzieć, bo tyle wie. Ze spółką łączy go jedynie etat. O inne sprawy należy pytać prezesa. Podaje jego adres i numer telefonu, gdyż nie sądzi, aby prezes bał się rozmawiać z prasą.

16.

Dyrektor naczelny „Uniontexu”, Józef Grzegorzczak spokojnie i rzeczowo tłumaczy, że biurowiec przy ulicy Zakładowej zakupiony został od Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolnego za 57 mln złotych. Pertraktacje trwały długo, bo od 1984 do 1987 roku, kiedy to transakcję sfinalizowano. Od projektu adaptacji go na hotel pracownicy odstąpiono, gdy sanepid postawił takie warunki, iż koszty przebudowy przekroczyłyby wartość budynku. Poza tym jest tam

przecież ciągle Przedsiębiorstwo Robót Instalacyjno-Montażowych Budownictwa Rolnego, którego nie dało się dotąd usunąć, a które nie płaci „Uniontexowi” za korzystanie z pomieszczeń, niszcząc je coraz bardziej. Zawiazanie spółki „Union-Procum” było więc dla „Uniontexu” wybawieniem go z opresji (bo przecież teraz to nie jego dyrekcja musi się już martwić, co dalej), a poza wszystkim — świetnym interesem, jako że spółka zasilać będzie kasę przedsiębiorstwa i to sumami nie do pogardzenia.

Dyrektor nie wyjaśnia jednak, jak to się stało, że przed zakupem budynku nikt nie zważał sobie w pełni sprawy, ile kosztować może jego adaptacja na hotel. Kiedy zaś pada pytanie o pozostałych współudziałowców spółki, dopiero po dłuższej chwili przyznaje, że jest ich trzech: ŁZPB im. Obrońców Pokoju, Tadeusz Nawrocki oraz... Urszula Maria Grzegorzczak, czyli jego żona.

A nie obawia się pan, że będzie to źle komentowane?

Nie, nie obawiam się. Jako dyrektora interesuje mnie wyłącznie, ile spółka przyniesie może dochodu i co „Uniontex” będzie z tego miał.

17.

Tadeusz Nawrocki jest rzemieślnikiem. W swojej fabryczce przy ulicy Janosika produkuje sprzęt oświetleniowy z mosiądzu, naczynia z polimeru i emaliowanego szkła, ozdoby choinkowe. Od lat jest stałym wystawcą na Targach Poznańskich, ma koncesję na handel zagraniczny i większość swoich naprawdę ładnych, ale i drogiej wyrobów sprzedaje bezpośrednio na Zachód. — Cieszą się tam — mówi — dużym wzięciem i osiągają dobre ceny. — Jest z tego dumny, tym bardziej jeszcze, że wszystko, co osiągnął zawdzięcza uporowi i pracy bez wytchnienia.

Rzecz jasna, nie zawsze było tak dobrze, jak teraz. W przeszłości prywatnym wytwórcą zapalano na przemian raz światło zielone, a raz czerwone. Niszczono tzw. domiarami. Ale Tadeusz Nawrocki przetrwał, dorobił się i dziś chciałby skorzystać z możliwości pomnożenia fortuny. Przy tym nie tyle już dla siebie, co raczej dla synów, a w każdym razie — by nie „wypaść z gry”, bo — wiadomo — kto stoi w miejscu, ten się cofa.

I tak mając kapitał do zainwestowania szukał Tadeusz Nawrocki wspólnika z dużym losem. Z kilku ofert wybrał tę złożoną przez „Uniontex”, gdyż wydawała mu się najkorzystniejsza. Ale pozory często mylą. I dlatego twierdzi, że gdyby o budynku przy Zakładowej wiedział latem wszystko to, co w tej chwili, nie wszedłby w tę spółkę. Skoro jednak już w niej jest, zostanie.

Prezes Tadeusz Nawrocki przewiduje, że po dwóch-trzech latach „Union-Procum” może osiągnąć obrotu rzędu do 2 mld złotych rocznie. Ponad połowa trafi na jego konto, ponieważ ma w spółce ponad 50 procent udziałów. Nietrudno z tego wyciągnąć wniosek, że włożenie jeszcze dwustu milionów złotych w interes, a tyle mniej więcej trzeba na dalsze prace remontowe, jest dla niego mimo wszystko opłacalne. Mimo wszystko, bo mógł przecież znaleźć obiekt w lepszym stanie, a także — bogatszego i hojniejszego wspólnika niż „Uniontex”, który prawdopodobnie nie wniesie już do spółki ani złotówki. Tak przynajmniej twierdzi dyrektor Józef Grzegorzczak.

A pani Grzegorzczakowa? Tadeusz Nawrocki mówi, że zna ją znacznie dłużej i lepiej, niż męża, i ceni jako dobrego fachowca-wiókniennika. Potrzebował kogoś takiego, zgadali się... Wszystko! Choć nie wyłania to jeszcze dlaczego pani dyrektorowa została udziałowcem spółki, a nie — tylko dobrze opłacaną jej pracownicą. Szczególnie, że wniosła aport w gotówkę, którą dopiero Tadeusz Nawrocki, na brak gotówki przecież nie cierpiący, zamienił na nowoczesne urządzenia zakupione w RFN: maszyny szwalnicze „Pfaff”, fafciarzkę „Marko”, overlock „Dürkopp” oraz inne. I one też zostały od razu wpisane w akcie notarialnym, jako jej wkład.

Co zaś do ewentualnych reakcji załogi „Uniontexu” na sposób utworzenia spółki „Union-Procum”, to niewiele one Tadeusza Nawrockiego obchodzą. Podobnie jak uchwała rady pracowniczej o pierwszeństwie zatrudnienia pracowników przedsiębiorstwa. Liczą się umiejętności, nie zaś — skąd kto przychodzi. Dlatego spółka zatrudnia dwadzieścia szwaczek „z ogłoszenia”, a i w przyszłości nie zamierza robić inaczej.

18.

Spółki, to temat delikatny i drażliwy. Związane z kapitałem mieszanym — prywatno-państwowym. — Bo — pytają ludzie — kto za nimi stoi? Kto czerpie większe korzyści? I dzięki czemu — uczciwej pracy czy zajmowanemu stanowisku? Ale jak to zmierzyć, zważyć, obliczyć? Jakie przyjąć kryteria? Jaki punkt odniesienia?

W prasie od pewnego czasu toczy się burzliwa dyskusja na temat spółek i tzw. uwłaszczenia nomenklatury. Dyskusja, w której padają różne przykłady, różne zdania, argumenty. Bywa, że krótko i odmiennie.

Pisze Ryszard Czerniawski w „Prawie i Życiu”.

„Wprowadzenie kodeksu handlowego nie zna pojęcia spółek nomenklatury, bo tak się ten rodzaj działalności potocznie nazywa, ale nie oznacza to, że ich działalność jest sprzeczna z prawem. Są one powoływane legalnie jako spółki z ograniczoną odpowiedzialnością oraz akcyjne, prowadzą księgi handlowe, mają władze statutowe i od tej strony nic nie można im zarzucić, o ile te obowiązki wykonują rzetelnie. Nie ulega natomiast wątpliwości, że jest to proceder daleko nieuczciwy, uprawiany przez ludzi, którzy chociażby z racji swej pozycji zawodowej czy społecznej winni być wzorem postępowania, bez względu na to czyją legitymację mają w kieszeni”.

Podobnie myślą inni. Nie brak jednak i takich, którzy otwarcie głoszą: nie powinno się przeszkadzać w uwłaszczaniu nomenklatury, bo jest to z korzyścią dla wszystkich. Nie powinno się ludziom utrudniać robienia dobrych interesów. Jedynym miernikiem działalności spółek musi być ich operatywność i wypracowywany zysk. Reszta jest bez znaczenia.

Komu życie przynosi rację?

Od kilkudziesięciu lat ukazują się w Łodzi ciągle te same tytuły prasowe, publikujące również ogłoszenia. Dopiero jednak od kilku lat publikowanie ich ratuje łódzkie gazety przed deficytem. Ogłoszenia zajmują więc stopniowo coraz więcej miejsca na łamach, wdzierając się nawet na kolumny, zastrzeżone przedtem dla informacji. Ponieważ zaś, w związku z rozwojem przedsiębiorczości, przybywa chętnych do korzystania z usług prasy (a gazety, mimo wszystko, nie są z gumy) — wydłużają się monstrualnie terminy publikacji, które dla „zwykłych” (tj. najtańszych) anonsów sięgają już pięciu ty-

godni! Jak dotąd, taki stan rzeczy bułwersował jedynie klientów biur ogłoszeń. Ale — do czasu.

Z utrudnionego dostępu na łamy korzystały nie tylko gazety-monopolistki (wymyślając coraz to nowe rodzaje „ekstra” ogłoszeń, za coraz to wyższą opłatą), ale i pośrednicy, czyli tzw. biura, ustawiający się przed słupem ogłoszeń przy ul. Piotrkowskiej 96 (do niedawna — jedynym w Łodzi) o czwartek, piątek nad ranem. Inni, zwyczajni klienci, wypychani byli (i są) przez „stacze” na dalsze miejsca w kolejce. Aby „zatapać” się na przyzwolony, trzy-czterodniowy termin, także muszą odstąpić co najmniej półtorej godziny. Słowem: jest normalnie.

Gazeta na weekend

Jaskółka „nowego” w łódzkiej prasie okazał się dwutygodnik „TO I OWO”, wydawany przez Agencję Promocy-

ję „TEGO I OWEGO” — ważna jest pytanie, jaki należy zgromadzić kapitał (lub zagwarantować sobie kredyty), aby porwać się na własne czasopismo? Zdaniem W. Krawczyka, w grę wchodzi co najmniej 10 mln zł na „starcie”, nie licząc pieniędzy na pierwszą wypłatę dla pracowników. Oczywiście — przy aktualnych cenach, zakładając również, że korzysta się z usług cudzej drukarni (a więc — przy minimum własnych inwestycji).

Kalkulacja finansowa dla każdego numeru opiera się na założeniu, iż dochód z czterech kolumn ogłoszeniowych pokryć musi koszty przygotowania (fotokładu) i druku. Zysk wyprowadza wtedy piątą i następne kolumny ogłoszeń. Przy

dzie wyłącznie z ogłoszeń. Ich ceny będą wyższe niż w przypadku „TO I OWO”, za to sporo niższe od ogłoszeń w „prasie”. Uwzględniając przy tym dość krótkie terminy publikacji (porównywalne w praktyce z tzw. ogłoszeniami przyspieszonymi w tytułach RSW), a także różnego rodzaju zniżki (a częściowo — nawet ogłoszenia za darmo!) — rysuje się wreszcie perspektywa konkurencji. Oby!

Słabym punktem „GAZETY REKLAMOWEJ” jest niepewność, w jaki sposób zostanie ona potraktowana przez kioskarzy i czytelników, zważywszy na wieloletnie przyzwyczajenia, że to, co dostaje się za darmo, nie jest warte. Zdaniem szefów „Gazety”, uda się tę barierę w mentalności szybko pokonać. Ich zdaniem, rozdawnictwo za darmo nie tylko się opłaca, ale jest bardziej sprawiedliwe.

— Zdrowsze jest, gdy płaci ci, którzy mają w tym większy interes. Jest on z reguły po stronie osób, dających do prasy ogłoszenie. Ci, którzy jedynie są czytelnikami, nie mają w tym często żadnego interesu. Dlaczego więc mieli by płacić? — zapytuje redaktor naczelny „GR”, Lucjan Blachowski.

Ciekawe są finansowe konsekwencje rozdawnictwa: zysk nie zależy od wielkości nakładu! Zależy wyłącznie od ceny ogłoszeń oraz od objętości numeru. Nakład musi być jednak w takiej wysokości, aby dotarł do kręgu zainteresowanych.

Na żelazne pytanie: skąd papier, redaktorzy uchylają tylko rąbka tajemnicy. Papier jest ponoć produkowany w polskiej papierni, w zamian za celulozę, dostarczaną (przez pośredników) z... Finlandii. I jeszcze jeden szczegół finansowy: środki na „rozruch” pochodzą z Łódzkiego Banku Rozwoju. W razie kłopotów ze spłatą pożyczki, bank przejmie „Gazetę” na własność.

„Kupiec” nie lubi ekstremy

Jeśli na jednym biegunie wydawniczym ustawie gazetę za darmo, z płatnymi ogłoszeniami, a na drugim biegunie: darmowe ogłoszenia w płatnej gazecie — wówczas „KUPIEC”, nowy tygodnik ogłoszeniowy wydawany przez wydawnictwo techniczne „Sigma” przy redakcji „WIADOMOŚCI PRODUKCYJNYCH”, uplasuje się w centrum, pomiędzy skrajnościami.

Nie lubimy ekstremy — deklaruje szef „Kupca”, Zdzisław Marzec.

Zgodnie z powyższą doktryną, „KUPIEC” jest tani, a ogłoszenia w nim zamieszczane — w dużej części bezpłatne. Na dodatni bilans pracują anonsy płatne oraz sprzedaż — z większym jednak naciskiem na ogłoszenia. „KUPIEC” posiada — podobnie jak „GAZETA REKLAMOWA” i „TO I OWO” — własne biuro ogłoszeń, utworzone jako spółka z „Sigma”. Zorganizowanie wydawania „KUPCA” było stosunkowo łatwe, gdyż powstał on niejako u boku istniejącego już tytułu, wykorzystując dotychczasowy cykl produkcyjny „TO I OWO”. „GAZETA REKLAMOWA” i „KUPIEC” są zwiastunami zupełnie nowego rynku prasowego w Łodzi. Ich łączny nakład, w wysokości około 80 tysięcy egzemplarzy, zburzyć może dotychczasowy „ład”, który utrzymywał się kosztem klientów. Jeśli nie stanie się to od razu, to na pewno w przyszłości, gdy dojdą następne tytuły, a te, które obecnie powstają, rozwiną szerzej swoją działalność. Każda z nowych redakcji ma ambitne plany: zakupu własnych urządzeń do fotokładu, przejścia (w przypadku „Gazety”) z techniki typograficznej na offsetową, przez co osiągnie się lepszą jakość druku i zdjęć, zwiększenia częstotliwości ukazowania się, nakładu i objętości. Słowem — szykuje się prawdziwa ekspansja.

O ile — rzecz jasna — nie zawiedzie podstawowy czynnik „napędzający” ogłoszenia — rozwój prywatnej przedsiębiorczości. Wszystko wskazuje na to, że ten czynnik jednak nie zawiedzie.

Dla dotychczasowych tytułów, które ratowały się ogłoszeniami, nadchodzą ciężkie czasy. Zaś dla klientów prasy i czytelników — lepsze i ciekawsze.

**GRZEGORZ
GAŁASIŃSKI
PREZENTUJE:**



Cyrk



Foto: Grzegorz Gałasiński

UWAGA! OSTRZEGAMY! — Skończył się w Łodzi ogłoszeniowy monopol.

Dla jednych będzie trudniej — dla innych ciekawiej

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

godni! Jak dotąd, taki stan rzeczy bułwersował jedynie klientów biur ogłoszeń. Ale — do czasu.

Z utrudnionego dostępu na łamy korzystały nie tylko gazety-monopolistki (wymyślając coraz to nowe rodzaje „ekstra” ogłoszeń, za coraz to wyższą opłatą), ale i pośrednicy, czyli tzw. biura, ustawiający się przed słupem ogłoszeń przy ul. Piotrkowskiej 96 (do niedawna — jedynym w Łodzi) o czwartek, piątek nad ranem. Inni, zwyczajni klienci, wypychani byli (i są) przez „stacze” na dalsze miejsca w kolejce. Aby „zatapać” się na przyzwolony, trzy-czterodniowy termin, także muszą odstąpić co najmniej półtorej godziny. Słowem: jest normalnie.

A teraz uwaga: może być zupełnie inaczej! Ludziska podróżują na Zachód, dowiadując się zatem, iż tam, w krajach o zwyczajnej gospodarce, nawet w niedużych miastach ukazują się dziesiątki pism ogłoszeniowych, najwyraźniej utrzymujących się na rynku, pomimo ogromnej konkurencji. Dlaczego więc w Łodzi, mieście w końcu nie najmniejszym, nie można by wydawać kilku, a nawet kilkunastu takich pism?

I oto znaleźli się w Łodzi tacy, co na kwestię ogłoszeń spojrzeli inaczej — nie od strony za małych przydziałów papieru, niedostatecznych mocy poligraficznych itp. niemożności, ale od strony rynku, który aż się prosi o zaistnienie! Skoro jest tak ogromny

na „Midas”, numer „zerowy” rozdawano za darmo na Targach Poznańskich, zaś pierwsze dwa numery, w interesującej szacie graficznej, z doskonałej jakości zdjęciami, wyszły za jedno 50 złotych. Na ośmiu kolumnach, połowę miejsca zajęły ogłoszenia, a po dwie strony — programy telewizyjnej satelitarnych i „lekkie” artykuły, przeważnie o gwiazdach sportu i ekranu.

— Chcemy być gazetą na weekend — ujawnia swe credo Włodzisław Krawczyk, do niedawna pracownik „Expressu Ilustrowanego”, a obecnie redaktor naczelny „To i Owo”. — Nasza recepta, to jak najtańsze ogłoszenia, przyprowadzone szczytą sensacji, rozrywki i sportu.

Rzeczywiście, ogłoszenia w „TO I OWO” (zarówno drobne, jak i ramkowe) są ponad dwukrotnie tańsze niż ceny anonsów, publikowanych w trzech łódzkich gazetach codziennych. Jeśli porównać je z ogłoszeniami przyspieszonymi i expressowymi (np. w „Głosie Robotniczym”) przebiecie jest więcej niż pięciokrotnie! Inna sprawa, że cykl wydawniczy dwutygodnika działa wtedy zdecydowanie na jego niekorzyść. Gdyby było inaczej, mógłby on stanowić groźną konkurencję. A tak — spiesząc się wybierać będą zapewne tradycyjne tytuły, choć drożej... Sytuacja może się jednak zmienić, gdy „TO I OWO” stanie się tygodnikiem, do czego redakcja usilnie zmierza. Dla ewentualnych naśladow-

cenie 800 zł za cm kw. należy się spodziewać około miliona złotych dochodu z kolumny. Dodatkowe wpływy pochodzą ze sprzedaży, odliczając z tego procenty dla „Ruchu”. Im wyższy nakład i większa objętość, tym korzystniejszy interes. Dlatego tak ważny jest papier, a raczej — zapewnienie sobie jego ciągłych dostaw, co w obecnej sytuacji zaopatrzeniowej graniczy z cudem. Tak przynajmniej wyobrażają sobie dziennikarze z RSW, słysząc o kłopotach z przydziałem papieru. A jednak „TO I OWO” (oraz inne redakcje — o czym za chwilę) jakoś sobie radzi, choć także narzeka.

Jak? Zamiast odpowiedzi — dyskretną uśmiechy. Najważniejsze, że zeromadżony jest pewien zapas. Co będzie dalej — zobaczymy...

W kiosku — za darmo

„TO I OWO” żyje z ogłoszeń, dorabiając sobie ceną od egzemplarza. Całkowitą nowością na polskim rynku prasowym będzie natomiast „GAZETA REKLAMOWA”. W chwili, gdy czytacie ten artykuł, trafi już zapewne do kiosków. Aby ją dostać nie będziecie musieli sięgać do portfela. Otrzymacie ją za darmo!

„GAZETA REKLAMOWA”, 4-kolumnowy tygodnik wydawany przez Agencję Promocyjno-Reklamową Dziennikarzy „Kreator”, utrzymywać się be-





RAFAL
ORLEWSKI



„Woyzeck” w Studyjnym.

Brak motywacji

PESTKI DYNIA

Przypomnienie

Ojczyzna wasza, wy sami jesteście.

WITOLD GOMBROWICZ

Moja ojczyzna?
Gaworzenie o nien
liryzujących — od świątyni po knajpy.
Moja ojczyzna?
Moje garstka ziemi
Ściśnięta w płaszcze wyrostka przed chatą,
Skąd pod łufami i z pięścią na karku
(bo gest był nazbyt — jak toast — wymowny)
Brał swój początek znak znany tutejszym.
Ta noc bezgwiezdnie szła nad Przybyłowem
Choć kwiecień mógł latu gniazdo plowe.

Moja ojczyzna:
Trójkąt na Bermudach.
Zachłanne w mrocznym uścisku ramiona.
Krwia podiewana szradka.
I ooluta.
Ras w łecy pawia.
Kiedy indziej w sponad.

Pragnienie: słowa tej chciałem przesiewać
Przez postrzępiony przetak pamiętania —
Za szybą jeszcze mgła nadziei ziewa.
Smuga błędna nieznaną się kłania.

Moja ojczyzna?
Sav w Grabie rzuczone...
To w niej jest pewne.
Co bólem znaczone.

Łask, w szpitalu 13 lipca 1989 r.

Jubileusz poety

Aż nie chce się wierzyć, że Rafał Orlewski już trzydziści lat pisze i publikuje swoje wiersze. Ja, który byłem świadkiem jego debiutu, nie mogę pozbyć się przygniatającego uczucia bezpowrotnie mijającego nas czasu. Niedawno Rafał Orlewski wydał wybór wierszy powstałych w ciągu trzech dziesięcioleci. Jest to znacząca publikacja w dotychczasowym dorobku autora „Krzestwa”. Jest ona świadectwem faktu, że poeta ciągle pozostaje „w drodze”, zmierzając do najpełniejszego i najciekawszego wypowiedzenia siebie i świata, który jego poetyckie „ja” determinuje. Tadeusz Głogier we wstępie do omawianego tomu nazywa Rafała Orlewskiego „poetą kilku żywiołów”. Jest to celne stwierdzenie, choć dla autora „Tęczysego ogniska” zawsze było za mało tradycyjnych żywiołów wypełniających sobą wszechświat. Rafał Orlewski wprowadził przeto do swojej poetyki dodatkową potęgę, której na imię „Miłość”, mającą moc uzdrawiania, ale i niszczenia (ta miłość ma różne imiona: miłość do ziemi, do ojczyzny, do matki, do kobiety). I na dobrą sprawę poeta widzie z tym żywiołem nie kończący się spór, czerpiąc z niego natchnienie, ale — jakże często — mu ulegając, oddając się w niewolę, stając się jego wasalem i bałwochwałą. Nie jest ważne, czy będa to wiersze do matki („Tęcza dla matki”) — bardzo przejmujący i bardzo piękny, czy strofy poświęcone ukochanej Grażynie, czy też słowa skierowane do miejsca swojego urodzenia. W każdym z tych wierszy, nieraz przenikliwych, nieraz tylko lirycznych, poeta, zdaje się wyrażać żal, że drugiemu człowiekowi dał tak mało, choć dał całego siebie, że nie obdarzył go uczuciem na miarę kosmiczną.

EUGENIUSZ IWANICKI

Rafał Orlewski: Zakole. Piotrków Tryb. 1989. Str. 100. Cena 1000 zł.

Zdarza mi się, niestety coraz częściej, wychodzić z teatru z elementarnym pytaniem na ustach. Sztuk, jak wiadomo napisano wiele i można oczywiście wszystkie je po kolei wystawić, lecz mam niejasne poczucie, że nie o to w teatrze powinno chodzić. Dramat można zrealizować na scenie z zadaniem krytyka jest motywy ten odgadnąć i pod jego kątem rozpatrzeć przedstawienie. Czasem jednak krytyk nie potrafi odnaleźć odpowiedzi na owo sakramentalne pytanie: „po co?” i zaczynaą dreczyć go wątpliwości. Sytuacja taka wynikać może będa z inercji i marazmu intelektualnego krytyka, będa przysłowiowy sek tkwi w zaproponowanym przez twórców spektaklu. Obejrzałem w Teatrze Studyjnym „Woyzecka” Georga Büchnera w reżyserii Jacka Zembrzuskiego i znalazłem się w opisanym martwym punkcie.

„Woyzeck” należy do dramatów sprawujących kłopoty historiom literatury, wymyka się etykietce z napisem „romantyczny”, nazywano go tragedią realistyczną, doszukiwano się w nim zapowiedzi naturalizmu albo ekspresjonizmu. Georg Büchner był nie tylko dramaturgiem, ale także, co ważne, działaczem politycznym i społecznym, założycielem tajnej partii rewolucyjnej — Towarzystwa Praw Człowieka — dążącej do przewrotu społecznego, a za hasło mającej równość wszystkich ludzi. W „Woyzecku” do rodziców (1834 rok) pisał: „nie jest w niczyjej mocy nie być głupcem czy zbrodniarzem... żyjąc w takich samych warunkach byłbyśmy wszyscy tacy sami... warunki są niezależne od naszej wo-

li...”. I w niedokończonym dramacie „Woyzeck” z pasją romantycznego społecznika wystąpił Büchner w obronie człowieka, człowieka, który z natury swej nie jest zły, lecz otaczający go, wrogą, okrutną, niemoralną, świat moźnych doprowadza go do ostateczności, jaką jest zbrodnia. W innym z listów do rodziny autor pisał: „Jeżeli cokolwiek w naszych czasach może w ogóle dać rezultaty, to tylko przemoc... Młodemu ludziom wypomina się, że chcą użyć przemocy. Czyż jednak nie żyjemy w ciągłym stanie przemocy?” Woyzeck właśnie używa przemocy, jest to jego tragiczny bunt, jedynym, jaki może podjąć.

Co z tej pasji pozostaje w spektaklu Jacka Zembrzuskiego? Niestety niewiele. Przedstawienie zaczyna Doktor, który niczym złośliwy demagog wprowadza w ruch Marię i Woyzecka, wykorzystując ich jako narzędzia i obiekty eksperymentu. Takie przekonstruowanie tekstu (w oryginalnej kwestii Doktora nie rozpoznać dramat) zapowiada paraboliczną opowieść o niesprawiedliwości świata i krzywdzie ludzkiej. Spektakl nie wytrzymuje jednak ciśnienia tej ambicji i na scenie oglądamy historię biednego fryzjera, który zabija swoją kobietę w zemście za zdradę.

Przyczyna niepowodzenia tkwi w przedstawieniu świata, w którym Woyzeck żyje, i którego pada ofiarą. Ten świat jest po prostu zbyt słaby, nie osacza Woyzecka, nie atakuje go z dostateczną mocą i w rezultacie nie daje szans aktorowi grającemu tytułową rolę. Mariusz Sanikier próbuje nadać swej postaci nieco wewnętrznej przestrzeni, lecz trudno mu wyłamać się z dwuwymiarowości

spektaklu. Broni się jako aktor, nie broni natomiast przedstawienia. Pozostałe postacie są płaskie, marionetkowe, ubogie.

Scenografia (autorstwa Doroty Morawetz), przesuwane ni to wrota, ni to ściany zrobione z folii i ogrodowej siatki, mają zapewne podkreślać obojętne i wrogie światło, lecz nie spełniają tej funkcji. Brak w spektaklu atmosfery osaczenia, która determinowałaby bohaterem, brak napięcia między bohaterem a światem niszczącym go, dzięki któremu konflikt zarysowałby się wyraźnie i silnie.

Wszystko toczy się powolnym rytmem, i mimo, że reżyser zredukował tekst wykreślając kilka scen, a przedstawienie trwa niewiele ponad godzinę duży się i wydaje „wyciągnięte” bez umiaru.

Büchner swoją sztuką pragnął jeździć nie podjąć walkę, to przynajmniej wyrazić bunt przeciwko niesprawiedliwemu urządzeniu świata, zdemaskować faszyzm moralności lepiej urodzonych i bogatszych i na pewno trudno przełożyć tę dzieła na scenę teatralną. Ale przecież, pomijając społeczniowskie zamierzenia, jest to dramat pełen niezwykłej urody i nastroju, o czym nie można przekonać się oglądając w Teatrze Studyjnym spektakl Jacka Zembrzuskiego.

JOANNA
OLCZAK

Teatr Studyjny w Łodzi: „Woyzeck” Georga Büchnera. Reż. Jacek Zembrzuski, scen. Dorota Morawetz. Premiera prasowa 24.X. 1989 r.

Szwedzka Akademia Sztuki i Literatury zdążyła nas już oświecić z zaskakującymi i niekiedy wręcz szokującymi werdyktami. I tym razem, nieoczekiwanie, tegorocznym laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie literatury został mało dotąd znany poza granicami własnego kraju hiszpański pisarz — Camilo José Cela. Podobno kontrakt wydawcy z tym autorem do noblisty z literatury Olimpu był wybitny nasz poeta — Zbigniew Herbert.

Urodził się Cela w 1916 r. w Padron (północno-zachodniej Hiszpanii). Pochodził z zamożnej mieszczańskiej rodziny, z arystokratycznymi koneksjami. Studiował medycynę, a później prawo. Studiów jednak

Nobel '89

żadnych nie ukończył, ale posiada 6 doktoratów honoris causa, przyznanych mu przez renomowane uczelnie.

W uzasadnieniu swojego wyboru szwedzcy akademicy bardzo lapidarnie i ogólnikowo obwieszcili światu, że literacki Nobel przypadł Celi w udziale „za bogatą i intensywną (sic!) prozę, która z powściągliwą wizją ludzkich słabości”

Nie więc dziwnie, iż niektórzy literaturoznawcy i krytycy literatury, mało pociągani obywateli z twórczością Celi, wprawieni zostali w stan ekscytacji. Masele Krassowski w „Odrodzeniu” (nr 43 z br.) uznał nawet decyzję jurorów „za wielkie nieporozumienie”. Według niego „Cela jest dobrym, dorogim pisarzem europejskim, któremu należała się niejedna nagroda literacka, ale nie Nobel”.

Camilo José Cela zaliczany jest przez hiszpańskich krytyków do „pokolenia 36”. W 1936 roku młody wówczas pisarz wziął bowiem udział w wojnie domowej po stronie frankistowskiej. Niebawem zerwał jednak z faszystowską prawicą i całą jego twórczość stała się mniej lub bardziej zakamufłowaną krytyką poczyną krwawego re-

żimu generała Franco.

Zadebiutował Cela w 1933 roku powieścią „Rodzina Pascuala tuarte”, z miejsca skontestowaną którą zapoczątkował w literaturze hiszpańskiej nowy kierunek literacki, określany mianem tremendyzmu (rodzima odmiana egzystencjalizmu). Opisywał w swojej pierwszej książce od najczarniejszej strony manowce ludzkiej egzystencji, posługując się niezwykle dosadnym językiem Wspomnijmy w tym miejscu, iż „popelniał” nawet „Tajny słownik” poświęcony wulgaryzmom, którymi z ekstrawagancją posługiwał się występując przed kamerami hiszpańskiej telewizji. Zaczął Cela nawiązywać w swojej twórczości do wiecznie żywego w tradycji Iberyskiego Półwyspu, XVI-wiecznego bardzo płodnego nurtu — tzw. „powieści lotrzykowskiej” (np. słynny „Lazik z Torremesu”).

Do kanonu literatury hiszpańskiej i światowej weszła też jego powieść pt. „Ul” („La somena”), wydana w 1951 roku — w obawie przed konfliktami — aż w dalekim Buenos Aires. W odczytaniu pisarza mogła się dopiero okazać w latach osiemdziesiątych. Uznawana jest ona przez część krytyki za najlepszy utwór Camilo José Celi. Jak napisał jeden z recenzentów — „oznaczała włączenie powieści hiszpańskiej w nurt światowej beletrystyki nowoczesnej”. Zaprezentował w niej pisarz całą galerię świetnie sportretowanych mieszkańców Madrytu z okresu II wojny światowej, pozbawionych chleba oraz, seksu. Przewija się na kartach tej książki prawdziwy „ul” różnorodnych ludzkich typów, madrycieńczyków żyjących bez perspektyw i nadziei.

Obie wspomniane powieści — w doskonałych przekładach Zofii Szalejny i Kaliny Wojciechowskiej — udostępnione zostały polskiemu czytelnikowi.

Camilo José Cela — autor dziesięciu powieściowych utworów, licznych opowiadań oraz esejów, członek hiszpańskiej Akademii Królewskiej, bierze aktywny udział w życiu kulturalnym swego kraju, w którym cieszy się ogromną popularnością.

JANUSZ KOZŁOWSKI



Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



JAK NAKRECONO „POKUTE”

W „Gazecie Wyborczej” Adam Michnik w rozmowie z Edwardem Szewardnadze zapytał swego rozmówcę o wsparcie, jakiego udzielił w nakręceniu słownego filmu „Pokuta” Tengiza Abuladze. — Niech Pan opowie, jak to było?

— Zwykle — odpowiada Edward Szewardnadze. — Byliśmy i jesteśmy przyjaciółmi. Kiedy obejrzałem materiał, od razu wiedziałem, że zrobił ten film człowiek, który pojął tragedię lat trzydziestych. Trwała praca nad filmem, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że film może nigdy nie wejść na ekrany. Uważałem jednak, że nie wolno było nie nakręcić tego filmu. Te tragiczne karty naszej historii koniecznie należało zapisać. Sądziłem wtedy, że może nadejdzie czas, w którym ten film będzie potrzebny. Potrzebny choćby po to, żeby to, o czym opowiada, nie mogło się już wydarzyć. Wiedząc,

że z Moskwy nie dostaniemy pieniędzy, finansowaliśmy go przez związek filmowców Gruzji i inne organizacje społeczne. Kiedy zobaczyliśmy pierwszą wersję, zrozumieliśmy dwie rzeczy — że film naprawdę się udał, ale wadził, czy wejście do rozpowszechniania. Potem przyszła przebudowa. Tengiz przypomniał o „Pokucie”. Obejrzał ją moi koledzy — politycy, twórcy, obejrzał ją również Michail Gorbaczow. Wszyscy zgodzili się, że ten film jest bardzo potrzebny. To nie tylko wielkie dzieło sztuki, ale i dokument naszego tragicznego historii...

...ZABRALI ZIEMIE W WORECZKACH

— Wyjechaliśmy z dokładnym planem, co chcemy sfilmować — mówi Andrzej Adamczak, operator filmu Andrzeja Wajdy i Marcela Łozińskiego o Katyniu („Film”). — Najważniejszą częścią filmu stanowiły nie tyle rejestracje miejsc, ile zapis rozmów z uczestnikami naszej podróży. Z Polski wyjechała bowiem specjalnym wagonem, który otrzymaliśmy od Rosjan, grupa 25 osób, których krewni zginęli w Katyniu. Większą część filmu ma się rozgrywać w tym właśnie pociągu i wagonie, gdzie dzień i noc nagrywaliśmy rozmowy i wspomnienia. Byli to różni lu-

dzi, od generała po historyka, panią Krystynę Kerstenową... Tym wagonem dojeżdżaliśmy do Smoleńska, a potem do stacji Gniezdowo, dokładnie tą trasą, jaką przebyli polscy oficerowie. Stamtąd specjalnym autobusem przyjeżdżaliśmy do Katynia. Przebyliśmy piechotą krótki odcinek drogi i dotarliśmy do mogiły...

— Jakie były reakcje? — Wstrząsające, niezwykle, nie do opisanego. Wyzwoliły się nieoczekiwane emocje. Jedni odchodzili od grupy, spacerowali samotnie po lesie, zaglądali przez płot, za którym znajduje się — niewidoczna — willa NKWD, w pobliżu której dokonano mordu. Obelisk znajduje się w miejscu symbolicznym. Jedną z kobiet zaczęła w pewnym momencie zdzierać uśmiechniętą na nim napis w języku rosyjskim i polskim „Ofiarom faszyzmu — oficerom polskim rozstrzelanym przez hitlerowców w 1941 roku”. Niektórzy mierzili średnicę drzew, sprawdzając w ten sposób, czy mogły one być świadkami zbrodni. Wędrowali po drodze prowadzącej do willi NKWD, drodze, którą dzisiaj przegradza płot.

Czułem bezsilność tych ludzi, na którą nakłada się jakby bezsilność ich krewnych zamordowanych pół wieku temu. Przywieźli ze sobą zdjęcia, dokumenty, ostatnie listy, jakie otrzymali od mężów i ojców. Zostawili w Katyniu kwiaty, a zabrali ziemię w woreczkach. Jak rozmawiali o tych sprawach? Jedni mówili o przebaczeniu — inni — przeciwnie...

AMBASADOROWIE
„Od lata czyta się i słyszy o „ambasadorach kultury polskiej”, „rozstawianiu imienia Polski w świecie”, „posiadceniu twórców w dziele wzajemnego zbliżenia się...” itp. — pisze Piotr Sarzyński w „Polityce”. — Zastanawiam się wówczas, jak to wygląda naprawdę. Czy bardziej typowy dla polskiej kultury za granicą jest widok Krzysztofa Kieślowskiego odbierającego w światłach reflektorów i pod okiem dziesiątków kamer prestiżową międzynarodową nagrodę? Czy też raczej widok niewyspanych studentów konserwatorium wygrywających na dektopie w Cannes divertimento Mozarta. O tych pierwszych piszemy chętnie i dużo, wszak poprawiają nam samopoczucie, podtrzymują w przekonaniu, że „Polak potrafi”. O drugich milczymy wstydlwie a często w ogóle nie nie wiemy. Oczywiście, przywołałem sytuację niejako krańcową. Codziennie miesiąc się gdzieś po drodze i wszystkich tam po trochu: sukcesów i klęsk, laurów i porażek, dobrej roboty i zwykłej fuzzerki, oczarowania publiczności i gwizdów wraz z krytycznymi recenzjami. Niestety, już wkrótce

„Słowik wyfrunął z kraju”

Grzegorz Nowaka poznałam w Szwecji, w Göteborgskiej Filharmonii, w czasie jednej z prób orkiestry symfonicznej, która przygotowywała na koncertowy wieczór, m.in. Czwartą Symfonię Piotra Czajkowskiego. Zauważyłam w noty biograficzne postanowiłam poznać młodego dyrygenta, który w czasie stosunkowo krótkiej drogi zawodowej zdążył zdobyć ogromną ilość nagród uznawanych w świecie za bardzo cenne.

Do Filharmonii bardzo licznie przybyła publiczność raczej zaawansowana wiekowo. Zrazu rzucała się w oczy oścześnieść szwedzkich kobiet, które w kawiarni z wytwornymi terminami nalewały kawę do filiżanek swoim współtowarzyszom. Początkowo wydawało mi się, że jest to forma poddawania kawy wszystkim gościom. Okazało się jednak, że to dość powszechna metoda na zaoszczędzenie kilku koron. W Polsce coś takiego nikomu nie przyszłoby do głowy, chociaż wszystko jeszcze przed nami. Ale to tylko przedświadek, do sali koncertowej, na której w październikowy wieczór za pulpitem dyrygentem miał stać Grzegorz Nowak. Wzruszenie i ciepło ogarnęło mnie, gdy na scenie pojawił się Grzegorz Nowak. Wzruszenie i ciepło ogarnęło mnie, gdy na scenie pojawił się Grzegorz Nowak. Wzruszenie i ciepło ogarnęło mnie, gdy na scenie pojawił się Grzegorz Nowak.

Grzegorz Nowak urodził się w Poznaniu, w rodzinie o muzycznych tradycjach. Dziadek i ojciec byli organistami. Rodzice już w wieku przedszkolnym wkładali mu do rąk skrzypce i wychowali w miłości do muzyki. To przesądziło o późniejszych zainteresowaniach. Dodatkowo stylizującym przeżyciem do pozostania w świecie muzyki było śpiewanie w chórze chłopięcym „Poznańskie Słowiki”. Grzegorz Nowak wierzył mi się, że z tamtego okresu na silnie utrwalił mu się w pamięci koncert w świecie, zwłaszcza że w Stanach Zjednoczonych w 1963 r. w Białym Domu, gdy urząd prezydenta sprawował John Kennedy. Dla wszystkich chłopców z chóru było to ogromne przeżycie. Prezydent przyjechał specjalnie z Florydy po to tylko, by powitać „Poznańskie Słowiki”. Chłopcy ustawieni w chóralnej formacji, na tyłach Białego Domu oczekiwali jego przybycia. Nagle usłyszeli narastający hałas. Nadleciały dwa helikoptery. Wkrótce pojawił się John Kennedy. Pogoda była bystrzka, ale prezydent powitał chór słowami: „Wprawdzie pogoda jest chłodna, ale wszyscy mamy serca gorące”. Potem wniósł do rąk chłopców, każdemu uścił dłoń i podarował aparat fotograficzny i radio tranzystorowe. Trudno więc było zapomnieć o takim spotkaniu, zwłaszcza że w parę miesięcy później zabił Johna Kennedy’ego. Większość chłopców jego śmierć odczuła jako osobistą stratę.

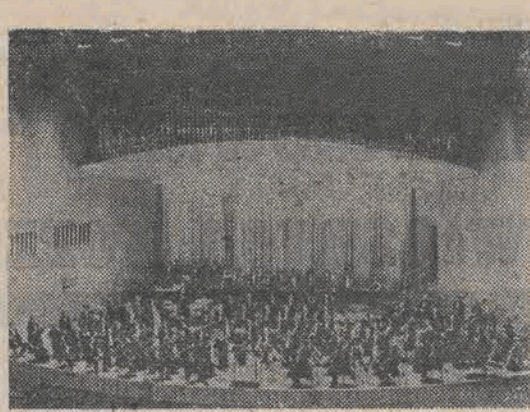
Ukończył Poznańską Akademię Muzyczną. Niemal jednocześnie studiował grę na skrzypcach, dyrygenturę i kompozycję. Bardzo szybko zaczął mu się szczęścić w zawodzie. Zaraz po ukończeniu studiów został najmłodszym w Polsce dyrektorem zawodowej Orkiestry Symfonicznej w Słupsku. Miał 25 lat. Był to czas głębokich doświadczeń zawodowych. Obecnie ma 32 lata. Przez cztery lata (1976-1980) kierował tą orkiestrą, która brała udział w rozmaitych festiwalach, konkursach, nagrańach radiowych w kraju i za granicą. Szybko zaczął odczuwać brak świeżości. Marzył o współpracy z najlepszymi orkiestrami i dyrygentami na świecie. Wyjechał na dalsze studia do Stanów Zjednoczonych, do Estman School of Music i do Tanglewood, gdzie orkiestra symfoniczna miała swój letni sezon. Jest to szkoła dla najlepszych muzyków z całego świata. Obowiązuje tam bardzo surowy konkurs, aby dostać się do programu koncertowego. Nowakowi udało się. Tam spotkał się z Seiji Ozawą, Leonardem Bernsteinem, Erichem Leinsdorfem, Igorem Markevitchem i innymi. W 1984 r. Grzegorz Nowak wziął udział w jednym z najważniejszych konkursów dyrygentów w Genewie i wygrał go. Otrzymał Grand Prix Patek Philippe (firmy produkującej zegarki światowej sławy), Nagrodę Rolex – za najlepsze wykonanie szwajcarskiego utworu Nagrodę Swiss, Nagrodę Patronatu Amerykańskiego i wiele innych nagród, które wpadły do jednego worka triumfów młodego dyrygenta, właśnie na tym konkursie.

Konkurs genewski trwał trzy miesiące. Wstępne eliminacje odbyły się w: Genewie, Tokio i Nowym Jorku. Grzegorz Nowak do eliminacji wstępnych przystąpił w Nowym Jorku. Do każdego z wyżej wymienionych miast udawało się jury aby dać szansę wzięcia udziału w tym konkursie każdemu dyrygentowi. Zgłosiło się 217 kandydatów z całego świata. Po wstępnych eliminacjach, do Genewy zaproszono jedynie 30 osób. Do drugiego etapu dostało się już tylko ośmiu dyrygentów, zaś do trzeciego – tylko trzech zostało zakwalifikowanych. Nasz rodak zajął pozycję najlepszą.

Światowe orkiestry bacznie śledziły wyniki konkursu oraz recenzje. Nie bez powodu. Jest to okazja do nawiązania współpracy z najbardziej obiecującymi i utalentowanymi młodymi dyrygentami. Nie ulega wątpliwości, że właśnie genewski konkurs stworzył Nowakowi drzwi do światowej kariery. Już w czasie eliminacji światowe orkiestry zapraszały naszego rodaka na koncerty. Szkoda, że konkurs laureatów, choć transmitowany przez Eurovizję nie znalazł się w programie polskiej telewizji. Byłaby to sprzyjająca okazja do utrwalenia jego nazwiska w świadomości Polaków, jeszcze jednego człowieka godnie reprezentującego nasz kraj poza granicami.

W 1985 r. Grzegorz Nowak otrzymał Europejską Nagrodę Muzyczną Płse o tym wszystkim dlatego, że mimo bardzo napiętego kalendarza swoich koncertów, zaplanowanych z dwuletnim wyprzedzeniem, dyrygent przyjechał do Polski wraz z niemiecką orkiestrą symfoniczną, w marcu 1986 r. Być może znajdują się chętni, którzy sami zapragną uczestniczyć w koncercie orkiestry pod jego batutą.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA



Göteborgska Orkiestra Symfoniczna



Kronika

OD 25 PAŹDZIERNIKA DO 5 LISTOPADA br. odbywały się w Łodzi Ogólnopolskie Dni Kultury Greckiej. Nieprzypadkowo organizacją tej imprezy, mającej po raz pierwszy charakter ogólnopolski, powierzono naszemu miastu. Dział w nim bowiem jeden z najaktywniejszych oddziałów Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Greckiej, zrzeszający ponad 2000 członków.

Uroczysta inauguracja Dni odbyła się w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Obecni byli m.in. ambasador Grecji w Polsce – Kostas Allanos oraz Aleksander Lambrianidis przyrodni brat Jerzego Szajnawskiego Agenta nr 1 antyhitlerowskiego podziemia bohatery dwóch naszych zaprzyjaźnionych narodów. Bogaty program imprezy artystycznej obejmował m.in.: galowy koncert w Teatrze Wielkim, Festiwal Filmów Greckich wystawę fotografii A. La'Brianidisa poświęconą bratu, ekspozycję malarstwa twórców pochodzenia greckiego – a także i widowisk w SDK „Relax”.

Do szczególnie wzruszających spotkań zorganizowanych w ramach Dni Kultury Greckiej, należały: spotkanie z władzami Uniwersytetu Łódzkiego Greków – absolwentów uczelni polskich oraz wychowawców i wychowanków Państwowych Ośrodków Wychowawczych w Domu Kultury „Lutnia”.

DLA UCZCZONYCH 50-lecia wybuchu II wojny światowej Krakowskie Muzeum Historii Fotografii wraz z Krakowskim Towarzystwem Fotograficznym przygotowało wstrząsającą w swojej wymowie ekspozycję o „Zginieł w Katyniu”. Wystawa o tej tematyce nigdy dotąd nie była w naszym kraju pokazywana.

Otwarcie ekspozycji odbyło się 2 bm. w Dniu Złoty, w Galerii Hetmańskiej (Rynek Główny 17). Towarzystwo mu Hejnał z Wieży Mariackiej.

Na ekspozycję składa się ponad 400 fotografii oraz kilka tysięcy zdjęć, namalunków i dokumentów, nadesłanych przez współtowarzyszy broni kolegów i rodziny zamordowanych. Przechowywano je do niedawna w korytarzach w ukryciu. Jako najdroższe relikwie rodzinne.

Planowana jest również druga część wystawy w kwietniu-maju 1990 r. – w 50 rocznicę zbrodni katyńskiej.

Ekspozycja otwarta będzie do 15 grudnia br. Pozostała część nie jest w innych miastach oraz ośrodkach polonijnych.

W TYM SAMYM MUZEUM czynna jest inna ciekawa wystawa – „Mogili i cmentarze obronców Ojczyzny z września 1939 r.”. Prezentuje ona bogaty zestaw unikatowych zdjęć (w tym słynna szarża pod Krakotami) wykonanych i zebranych przez Stanisława Świątkowskiego – historyka z zamożną.

W KINIE LDK 6 bm. odbył się pokaz promocyjny nowego filmu Janusza Kiljowskiego „Stan strachu”. Jego akcja rozgrywa się w środowisku aktorskim – w latach 1981-1982.

POLECANA LEKTURA: bardzo interesująca rozmowa Adama Domańskiego z dyrektorem Łódzkiego Teatru Wielkiego Sławomirem Pietrasem w „Życiu Literackim” (nr 44 z 5 listopada br.).

„Jeżdżymy często za granicę – powiedział m.in. S. Pietras – nie proszę nie myśleć, konieczność to napisać, że zaplanowaliśmy naszą łódzką publiczność i Dzieńki wędrownicy z doskonałą orkiestrą Filharmonii potrafiąmy tak zorganizować sezon, że jednego dnia możemy dać spektakle w różnych miejscach świata. Tak zdarzyło się w niedzielę 19 marca tego roku: balet rockowy „Proba” galii w Solingen w RFN. Faust z rock rock” w Operze Budapeszteńskiej a tu w Łodzi mieliśmy premierę „Kawaleri epireńskiej” w Teatrze Wielkim.

Zapewny i czas pozostawiamy na życie prywatne, stwierdził: Żyję w teatrze pełnym ludzi i nie muszę uciekać do życia prywatnego aby się realizować w czymś, czego nie zapewnia mi moje życie zawodowe”.

TEATR LUDOWY W NOWEJ Hucie – pod nową dyktando Jerzego Federowicza – zapowiedział wystawienie w tym sezonie „Człowiek z marmuru”. w reżyserii Krzysztofa Orzechowskiego. Główna nowela Aleksandra Słoboda-Ryńskiego, sfilmowana przez Andrzeja Walde, zaadaptuje na scenę Joana O’Keeffe-Ronkera.

WYSTAWA FOTOGRAFICZNA PN „SLADY”, poświęcona synowi wileńskiego cmentarzowi na Roscie, otwarta została 2 bm. w lokalu Shop „Tronie” (ul Karłowicza 1). Autorem zdjęć jest Władysław Wasilewski – prodziekan Wydziału Reżyserii PWSFTiit w Łodzi.

Podczas trwania ekspozycji odbywać się będzie kwesta na remont zabytkowego wileńskiego cmentarza.

NADZWYCZAJNY Walny Zjazd ZASP, który 31 października br. zakończył w Warszawie obrady, wybrał Andrzeja Łapickiego nowym prezesem tego stowarzyszenia.

SWEGO CZASU GŁOSNA BYŁA sprawa warszawskiej lekarki – Barbarę Makowskiej-Witkowskiej, niesłusznie oskarżonej wraz z zalogą karetki pogotowia o pobicie i okradanie pacjenta. Strzyżowska lekarka, która spędziła w reszcie śledczych 13 miesięcy, została uwolniona.

O swoich przykrych doświadczeniach napisała książkę pt. „Wzwanie”. Na podstawie tej książki Zbigniew Bauer napisał monodram. Jego premiera odbyła się 29 października br. w 6 rocznicę aresztowania lekarki w nieodwołalnej scenierii. krakowskiej Stacji Pogotowia Ratunkowego. Reżyserowała go i wystąpiła w monodramie Nina Repetowska. Na premierze obecna była dr. Barbara Makowska-Witkowska.

W ŁÓDZKIM TEATRZE WIELKIM 4 bm. odbyła się premiera „Gier” Debussy’ego, w choreografii Emila Wesolowskiego. Spektakl ten będzie prezentowany jako jedna z trzech części specjalnego wieczoru poświęconego Wacławowi Niżyńskiemu, w którego choreografii 15 maja 1913 r. miała miejsce światowa premiera „Gier”.

W SĄDZIE WOJEWÓDZKIM W ŁÓDZI zarejestrowany został Chrześcijańsko-Demokratyczny Klub Polityczny im. Stefana Karłowicza. Wśród założycieli klubu znaleźli się m.in.: Józef Janusz, Maciej Walicki, Barbara Masłowska, Jarosław Roliski.

Działalność Ch-DKP onierzać się będzie na zasadach nauki społecznej Kościoła. W ZBIORACH jednego z łódzkich kolekcjonerów znajduje się bardzo rzadki, unikatowy papierowy bon opiewający na 2 kopieci (z 1929 r.) ze stalinowskiego łagru (naprawdę podobnie! z obywateli w Wypach Solowieckich). Bony te o nominalach 2, 5, 10, 50 kopieci oraz 1, 3, 5 10 rubli były wydawane przez Oboz Specjalnego Przeniesienia OGPU (Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny). Opracował: JAK

Dwa lyki Ameryki... i fortepian widmo

Tradycyjnie już, od sześciu lat, w ramach festiwalu „Jazz Jamboree” odbywają się łódzkie edycje tej imprezy. Trzeba przyznać, że zestaw zapraszanych do Łodzi wykonawców nigdy nie był reprezentatywny dla głównej festiwalowej sceny. O wyborze spośród gości festiwalu tych a nie innych nazwisk zawsze decydowały nie ich notowania na światowych listach rankingowych, poziom artystyczny a proza życia, czyli możliwości finansowe łódzkiego oddziału PSJ A. W tym roku również nie przyjechały do nas główne amerykańskie gwiazdy festiwalu, a to mieliśmy i my swoje dwa lyki Ameryki. A to za sprawą naszych światowej sławy jazzmenów, od kilkunastu lat na stałe zamieszkujących w Stanach Zjednoczonych, a mianowicie Urszuli Dudziak i Adama Makowicza.

W pierwszej części koncertu wystąpiło trio pianisty Adama Makowicza ze Szwedami Palle Danielssonem na kontrabasie i Rune Carlssonem na perkusji. Po dwunastu latach pobytu w USA Adam Makowicz po raz pierwszy odwiedził Stary Kraj wiosną tego roku, kiedy to wystąpił w koncercie poświęconym pamięci Krzysztofa Komedy. Wtedy pokazał zaledwie próbki swych możliwości w trzech utworach, teraz zaprezentował się warszawskiej i łódzkiej publiczności w sumie na trzech koncertach, w o wiele szerszym programie.

Zwolenie talentu najlepszego polskiego (choć w tej chwili już obywatela amerykańskiego) pianisty mieli nareszcie okazję skonfrontować jego

aktualną grę z nagrańmi płytowymi. Niestety, nie w pełni było to możliwe, bowiem koncert ten zdominował właściwie jeden temat – stary, zdezolowany fortepian-widmo. Artysta tylko przez szacunek dla publiczności zdecydował się znieść za tak wyeksploatowany instrument, jaki zaproponowali mu organizatorzy i dyrekcja Teatru Muzycznego, po czym przez blisko godzinę nie tyle grał, co walczył z nim o wydobyć z niego dźwięk. W tych skrajnie trudnych warunkach nie opuszczał go jednak poczucie humoru i starał się przekazać słuchaczom całą energię i radość, jakiej dostarcza mu granie. Mogłoby podziwiać jego byskotliwą technikę, podbudowaną dużą wyobraźnią muzyczną, zarówno w kompozycjach własnych, jak i utworach George’a Gershwina czy prawdziwej perele wirtuozerskiej – balladzie Billy’ego Strayhorna „A Flower Is A Lovely Thing”.

W zmaganiach z oporną materią, które przypłacił uszkodzeniem palca, towarzyszyli mu muzycy skandynawscy. Szczególnie kontrabasista Palle Danielsson okazał się partnerem godnym mistrza fortepianu. Miejsmy nadzieję, że żywa reakcja publiczności choć w części zrekompensowała naszym pianistom dyskomfort gry na tak skandalicznym, pozabawionym duszą” sprzęcie. Wypada też wyrazić życzenie pod adresem Teatru Muzycznego w Łodzi, aby szybciej niż za dwadzieścia lat wzbogacił się o nowy w pełni profesjonalny instrument (tyle bowiem ponad czeka się u nas na fortepian).

Pechowo zaczął się też pobyt w naszym mieście dla drugiego gościa z Oceanu Urszuli Dudziak, która odwiedziła nas w tym roku powtórnie podobnie jak poprzednio przyjechała ze swoją „magiczną skrzyneczką”, tj. syntezatorem cyfrowym do rejestracji i przetwarzania głosu. I właśnie to urządzenie podczas próby przed koncertem mó-

wiąc językiem muzyków, „spaliło się”. Na szczęście słynny wokalistę, nazwanego przez Gila Evansa w czasie wspólnego koncertu w Peru „Magia Lady”, pozostał jeszcze własny, naturalny instrument głosowy, który potrafił się posługiwać dużo lepiej niż zmontowanym komputernym. Tym razem koncert więc nie uciekał, tym bardziej że artystka mogła liczyć także na czołową w tej chwili polską formację jazzową – resorol Walk Away. Na wstępie z właściwą sobie werwą zagrali on kilka własnych kompozycji, pochodzących z ostatniej płyty. Po raz kolejny sprawdziła się recepta lidera i założyciela grupy, Krzysztofa Zawadzkiego, na sukces. Mieszanka różnych stylów: jazzu, rocka, funku, soulu i popu, w dobrym profesjonalnym wykonaniu trafia nawet do mniej wybrednych muzyków nie słuchaczy Muzyki tej grupy, czerpiąc z różnych źródeł na równi fascynującą się ostrą rockową gitarą Eddiego Van Halena, jak eleganckim, wyrafinowanym brzmieniem trąbki Marcelisa. Ten jazz środka szczególnie dobrze odbiera się na żywo również ze względu na specyficzny, estradowy image zespołu.

Wszystkie te walory dostrzegła również Urszula Dudziak, nawiązując z zespołem Walk Away stałą współpracę w kraju, czego efektem jest nagranie wspólnie płyty koncertowej – „Magia Lady” notabene sprzedawanej w foyer teatru przed koncertem. Mówi się również o rychłej promocji grupy na rynku amerykańskim.

Wyjście na scenę najlepszej polskiej wokalistki jazzowej wywołało ogromny entuzjazm wśród publiczności. Rozpoczęła brawurą „Sambo Ula”, kompozycję Michała Urbanika, by potem śpiewać, a właściwie opowiadać głosem, traktując go instrumentalnie, zarówno kompozycje własne, jak i słynną kolysankę Krzysztofa Komedy do filmu „Rosemary’s baby”, kończąc na bis porwijając wokalizą do utworu zespołu Walk Away – „No Elze, Thank You”. Kiluminutowa owacja na stojąco powinna wystarczyć za cały komentarz do tego występu. Nawet nieszczerzy fortepian, mimowolny bohater pierwszej części koncertu, usunął się nieco w cień... ale problem pozostał.

MARIOLA KNAGA

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

owa równowaga może zostać zachowana – nad naszą duchową obecnością w świecie gromadzą się powoli czarne chmury. Wydaje się, że promocja polskiej kultury na granicy znalazła się w szczególnym punkcie zwrotnym i wymaga zasadniczych przewartościowań. Oczywiście, jeżeli zależy nam na tym, by z naszymi umiejętnościami móc dalej mówić i pisać o „ambasadorach”, „rozstawianiu” czy „zbliżaniu”. Stosując terminologię batalistyczną można rzec, iż promocja kultury polskiej odbywa się na wielu frontach. Przede wszystkim w ramach międzynarodowych unii o współpracy kulturalnej. Takie dokumenty mamy obecnie podpisane z 63 krajami na świecie. Nie ma wśród nich m.in. USA, Australii i Szwecji. To zresztą wcale nie znaczy, że kulturowo jesteśmy w tych krajach mniej obecni niż np. w Kenii czy Kostaryce, z którymi umowy mamy podpisane...

PONAD TYSIĄC PROJEKTÓW

1200 architektów uczestniczących w międzynarodowym konkursie na projekt nowego muzeum w którym znajdą pomieszczenie narmury ze świątyni w Akropolisie przedstawiło swe prace Komitetowi Organizacyjnemu

GALERIA PRZODKÓW

Rzeźbiarce pomogli archeologom i antropologom zrekonstruować wygląd naszych przodków. W niewielkiej miejscowości Biron w Dordogne, gdzie odkryto wiele szczątków pracownika, powstaje archeologiczny skansen, w którym zostanie odtworzone całe drzewo genealogiczne człowieka. Na podstawie zachowanych kości czaszek można wywnioskować i przedstawić w rzeźbiarskiej formie wygląd poszczególnych osobników. W skansenie znajdują się m.in. antropologiczne

„gwiazda” Lucy – samica australopitheka znaleziona w Afryce Wschodniej. „Chłopiec z jeziora Turkana” także z tego rejonu Afryki, człowiek jawański i pekiniński, neandertalczyk i kromanińc, aż do człowieka współczesnego.

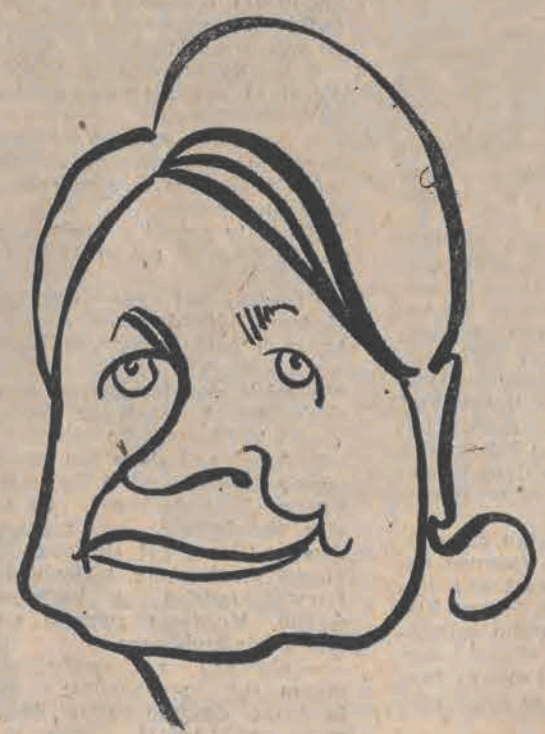
RÓŻE DLA OSTATNIEJ Z RODU

Bukiet z 95 róż otrzymała Anastazja Cwietajewa w dniu swoich 95 urodzin. Uroczystość odbyła się w Muzeum Sztuki Pięknych im. Aleksandra Puszkina, które założył w 1912 r. jej ojciec – Iwan Cwietajew. Temu też muzeum ostatnia z rodu Cwietajewych przekazała w darze archiwum ojca.

Los surowo obszedł się z córką wybitnego rosyjskiego uczonego i siostrą jednej z najwybitniejszych poetek Rosji – Maryny Cwietajowej. Był areszt w 1937 r., było więzienie i zsyłka. Kilka powieści, które napisała, przepadło bezpowrotnie przy aresztowaniu. Po latach została udana jej się powrócić do rodzinnej Moskwy, nie przestała też pisać. Niedawno ukazały się „Wspomnienia” Anastazji Cwietajowej opowiadające o jej życiu i ludziach, których napotkała oraz zwaną również z jej życiem książka „Moja Syberia”.

Galeria pisarzy

MARIA SIWIŃSKA



Krys. Sławomir Arabski

Karczowanie własnych korzeni

JACEK KUBITSKY

Prezentujemy kolejne fragmenty z książki Jacka Kubitsky'ego „Szwecja od środka” wydanej w Polsce przez PIW w 1987 roku. Autor urodził się na Pomorzu w 1944 roku, studiował na Uniwersytecie Warszawskim i od 1966 roku mieszka na stałe w Szwecji, posiada szwedzkie obywatelstwo. Pracuje w Sztokholmie jako psycholog kliniczny.

Budowniczości nowej Szwecji zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że nową generację obywateli można i należy kształtować w klasach szkolnych. Monolit obywateli wymagał monolitu systemu edukacyjnego. W celu zapewnienia sobie monopolu państwo przystąpiło do systematycznego tępienia, a następnie likwidacji licznych szkół prywatnych. Środki masowego przekazu po uprzednim otrzymaniu odpowiedniego instruktażu jęły zrazu insynuować, że system panujący w szkołach prywatnych nie jest wyścigiem egalitarnym, że nie kształtuje w sposób zadowalający postaw i umysłów młodych obywateli.

Po krótkim czasie władze komunalne przestały udzielać szkółom prywatnym finansowego wsparcia, co w praktyce równało się ich kasacji. Socjotechnicy zdawali sobie jasno sprawę z zagrożenia ideologicznego, jakie stanowili absolwenci szkół niepaństwowych. Wiadomo, że szkoły prywatne nie wspierają „wyrównawczych” poczynań państwa, że otwierają faworyzując różnym jednostek, a nie kolektyw, że otaczają względami uczniów niepospolitych, że w końcu wyrabiają nawyk samodzielnego myślenia. Zaledwie kilka miesięcy po pierwszych atakach w środkach masowego przekazu przystąpiono do zamykania szkół prywatnych. Obecnie nie ma ich w Szwecji, mimo że bogata Szwecja z powodzeniem mogłaby sobie pozwolić na taki luksus i mimo że wielu rodziców, zwłaszcza cudzoziemców, pragnęłoby umieścić swoje dzieci właśnie w szkole prywatnej.

Nie ma posłuszniejszego narzędzia w ręku władzy jak jednostka nie znająca własnej historii, swojego miejsca w czasie i przestrzeni dziejów. Człowiekiem bez korzeni można łatwo manipulować. Osoba wyjątkowa z tożsamości narodowej łatwo daje się zaskończyć i bez trudu ulega czarowi koniunkturalnych prawd. Pierwszym krokiem na drodze tworzenia „homo suecicus” było zreformowanie nauczania historii. Materiał uległ ostrym cięciom, a miejscami nawet pewnym przeinaczeniom. I tak zapewniano uczniom, że Szwecja wyłoniła się z mgławicy dziejów na początku tego wieku, co z kolei dziwnie się zbiegło w czasie z powstaniem szwedzkiej socjaldemokracji. Odstąpiono też od zasady ciągłości i zaczęto wyrzywać z kontekstu wydarzenia „na czasie” lub pod kątem potrzeb politycznych. Te fragmentaryczną wiedzę okraszono tanim marksizmem i zabarwiono pigmentami utylitaryzmu. W ten sposób pozbawiono uczniów narodowej świadomości, wytrącając im jednocześnie z rąk instrument krytycznej analizy świata współczesnego.

Dzieje zamierzcie omawiano, owszem, lecz wykorzystując je jako pretekst do wyliczania wszelkich okropności i nieprawdliwości, bohaterstwo wyeliminowanych przez państwo współczesne. Wszelkie przedstawione od najmniejszej strony. Wyprawy dzielnych wikingów służyły za punkt wyjścia do dyskusji na temat łask systemu emerytur, bezpłatnej opieki lekarskiej i innych dobrodziejstw. Modły to odprawiano przy każdej niemal okazji. Z tych pouczeń zawsze płynął jeden zasadniczy wniosek, a mianowicie obowiązek wdzięczności wobec mocarstwa i dobrego opiekuna. W przypadku, gdy całkowite potępienie przeszłości zakrawałoby na jawne fałszerstwo, przystawano opornie na pewne pozytywne, lecz w podsumowaniu nigdy nie omieszkało wyakcentować koszmarną ubóstwa i peł niewoli społeczeństwa stanowego. (...)

Przeróbki i poprawki kart historii nie są żadnym novum. Proceder ten uprawiany jest z powodzeniem w wielu krajach. Do specyfiki szwedzkiej należy fakt, że obywateli — a zwłaszcza rodziną — nie wykazuje specjalnego zainteresowania tymi przeinaczeniami i nie przejawiają najmniejszej woli skorygowania przemilczanych bądź tendencyjnie przedstawianych zjawisk. Pod tym względem rodzina szwedzka różni się od rodzin żyjących w innych krajach.

Nauka religii w klasach szwedzkich nie ma nic wspólnego z katechizacją i przypomina raczej religioznawstwo porównawcze. Jednak czynnik oficjalny uznany ten przedmiot za mało prawomocny i postanowiono go wyliczyć z programu nauczania. I tutaj chodziło władzom o dobranie się do sumień obywateli. Osoby wierzące — bez względu na rodzaj wyznania — zajmują w sprawach światopoglądowych stanowisko oparte na wierze i odwołują się do czysto racjonalnych kanonów myślenia. Każda religia może ponadto być skutecznym antidotum na niektóre formy propagandy. Wiara stawia w centrum uwagi sumienie jednostkowe — zwłaszcza w tradycji protestanckiej — co nie zawsze przypada do gustu rzecznikom moralności państwowej. Władze czuły się zagrożone kolportowaniem światopoglądu i norm różniących się nieco od lansowanej ideologii.

Wśród wielu młodych Szwedów panuje już teraz przekonanie, iż religia lub uczucia religijne są swego rodzaju nieszkodliwą formą obłędu czy nerwicą natrętną. Nauka religii znalazła się całkowicie w cieniu, a z kolei wiedza o społeczeństwie urosła do roli autentycznej religii. Uczestnictwo wierzących Szwedów w nabożeństwach, chodzenie w niedzielę do kościoła traktowane jest przez rządzących z lekką ironią i zrozumiałą pobłażliwością, natomiast branie udziału w zebraniach związkowych nabrało rangi najświętszego sakramentu. (...)

Do ciekawostek szwedzkich należy zwyczaj czytania zaledwie urywków dzieł literatury pięknej. Tylko nieliczni uczniowie czytają rodzimą bądź obcą klasykę od deski do deski. Delegacje nauczycieli ze Szwecji nie mogą się nadziwić, że zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie młodzież czyta dzieła Homera i Szekspira w całości. Ta fuzerka praktykowana jest nawet na humanistycznych kierunkach uniwersytetów. Przyszli nauczyciele języka ojczystego polkują w czasie studiów kilka stron Rabelaisa, ustępu z Dantego, jeden akt z Hamleta itd. Młodzież zatracca poczucie różnicy między Kaczorem Donaldem a Boską Komedią. Niektórzy nauczyciele nie widząc innej rady zmuszeni są proponować ziewającym klasom czytanie klasyki światowej w komiksach.

Znajomość literatury światowej ogranicza się do kilku nazwisk, głównie z obszaru języka angielskiego. Ciekawy jest również dobór sylwetek pisarzy. Są to głównie przedstawiciele realizmu. Romantyzm czy surrealizm nie są popularne w Szwecji. Giganci literatury światowej, stawiający jednostkę w centrum swoich rozwiązań: Dostojewski, Camus, Dürrenmatt, nie są przez młodzież czytani i pozostają jej nieznani. Indywidualiści wielkiej miary: Joyce, Hesse, lub iślarze czynu, np. Hemingway, nie są popularni. Ten ostatni wręcz nie lubiany. (...)



rys. Janusz Szymański-Grańc

Kłeska komisarza George'a Oldfielda

Człowiek, który rozplynał się we mgle

JAN BABIŃSKI

Mleczarz Johnson dostrzegł w maziastych oparach mgły ciemną i podługną plamę w krzakach. Zdjęty ciekawością zjechał na pobocze. Ciemny zarys przypominał kształtem ludzką postać. W kałuży krwi leżało nieruchome ciało młodej kobiety.

Był to widok zaciskający serce. Zmrażająca czaszka. Zmasakrowane piersi. Wybebeszone wnętrzności. Ofiarą nieznanego zwyrodnialca padła Wilma McCann. Mieszkała w pobliżu Leeds w dzielnicy Chapeltown, cieszącej się złą raczej sławą. Wilma puszczala się, miała fatalną reputację. Była prostytutką. Toteż śledztwo zaczęło się od przesłuchania jej 30 stałych klientów. Każdy z nich przedstawił mrowinę alibi.

W ciągu czterech kolejnych lat ów zbrodniarz uśmiercił w Leedsie, Bradfordzie i Huddersfield jeszcze 12 innych młodych kobiet. Wszystkie uduł, roztrzaskał im głowy i wypruł wnętrzności. Rozmawiał się potem we mgle, nie pozostawiając nawet pyłki. W hrabstwie Yorkshire pojawiło się monstrum okrutniejsze od „Psa z Baskerville”.

Na scenę wkroczył Kuba Rozpruwacz II. Ten pierwszy — Jack the Ripper mordował w czasach dobrej królowej Wiktorii. W ponurych kątach londyńskiego East Endu zarżnął w latach 1888—89 pięć młodych bardzo ułecznie. Wszystkim rozpruł wnętrzności. Nigdy nie założono mu kajdanek. Zrobił swoje i wyparował. Pozostał po dziś dzień anonimem. Przeniósł się w zaświaty nie ujawniając żadnego ze swych sekretów.

Kuba Rozpruwacz II zamordował 13 kobiet i powiedział z chętną dumą:

— Na dobrą sprawę jako rekordzista powinienem znaleźć sobie miejsce w księdze rekordów Guinnessa...

Słowa te nagrał na taśmie, a kasety przesłał policji w czerwcu 1978 r.

Przesłuchiwał ją komisarz George Oldfield, jeden z najlepszych policjantów na Wypasach Brytyjskich. Mordercy nie miał dotąd szans w jego hrabstwie. Wylała ich wszystkich A tu kłapa na całego.

Puszczając nadesłaną mu przez pocztę kasety po kilka razy dziennie. Wsłuchiwał się w głos zbrodniarza z napiętą uwagą. Głos był chropowaty, głuchy i zdławiony, jakby nadlatywał gdzieś z krańców świata. Morderca zwracał się wprost do komisarza.

— George, z przykrością muszę cię powiadomić, że bardzo ci do tego daleko, żeby mnie przyskrzynić. Będzie jeszcze z tobą długo bawił jak kot z myszką. Jeszcze nie wiem, gdzie uderzę następnym razem. Może w Manchesterze?

Bardzo bym chciał tam pojechać. Tego towaru tam w nadmiarze. Pod każdą latarnią stoi jakaś dziwka. George, chyba nikogo nie uprzedzisz, że się tam wybieram...

George Oldfield wysoki, postawny mężczyzna odłożył szpadel w swym przydomowym ogródku i spoczął w altance na drewnianym bujaku. Co za przekleństwo, tyle się natrudził i nadal blaka po manowcach. Wali głową w mur. Ten cholerny głos wciąż mu dźwięczy w uszach.

Po przesłuchaniu taśmy specje od fonetyki i językoznawcy orzekli zgodnie, że:

— To pewnie trzydziestoparoletni pracownik fizyczny, wywołujący się raczej ze społecznych dołów. Sądząc po akcentie urodził się w Castle-town, prawdopodobnie mieszka tam nadal.

W ruch wprawiono bezzwłoki ogromną maszynę policyjną. Kierował nią osobiście komisarz George Oldfield.

W Castletown przetrząsnęto od góry do dołu kilka tysięcy budynków mieszkalnych. Plon był żaden. George Oldfield poczuł się upokorzony. Zgorzkniały i przybity opadał coraz częściej na bujak w altance. Przez te cztery lata poznał charakter pisma zbrodniarza, wiedział jaką ma grupę krwi, słyszał jego głos z taśm. Nie mała, a jednak nie ruszył o krok. Jakby dla przelania kielicha gorczy sadystyczny maniak z pychy i zarozumiałości przesłał mu onegdaj kawalek odciętej kobiecej nerki.

— George, udław się tym! Komisarz wpadł na pomysł, żeby kasety odtworzyć w radiu i telewizji. Czy ktoś pozna ten głos? Głos był monotony, chrapliwy i nosowy. Jak go odróżnić od innych? Może ktoś celowo chrząkał? Może gadał przez chusteczki?

Psychiatra Stephen Shaw oświadczył:

— Dlatego to aż tak trudny przypadek, że za mordercę kryje się przeciętniak i szaraczek. Takich jak on dziesiątki tysięcy. Niczym z tłumy nie wystaje. Psychopata, jasne, ale umie doskonale nad sobą panować. Na pewno nie „biały kołnierzyk”. W normalnym życiu jest zwykłym śmiertelnikiem. Ze zwykłą zwyczajnością sprawa, że nie budzi podejrzeń. Niejedna poszła za nim pogodna i wesola, nie przeczuwając nic złego. A przecież to dziewczyna, uważna, na każde męskie spojrzenie, mają szóstą jakby zmysł. Bez trudu wywieszą mężczyznę pokretnych i dla nich niebezpiecznych. Nigdy nie wejdą do auta, jeśli kierowca wygląda coś nie tak i zachowuje się podejrzanie. Maniak nie ma najmniejszych szans. Rozpoznają go na kilometr, nawet gdyby przybierał nie wiadomo jakie maski. A

przecież to kręteński jakby minotaur, składa kobiety na ołtarzu swej krwawej i okrutnej lubieżności.

A motywy? Czym się kierował? Może chęcią zemsty? Kto wie, czy nie zaraził się kiedyś od prostytutki. Prawdopodobnie leczenia zaniedbał. W przypadku lusa wiąże się to z długą i kosztowną kuracją. Właściwie jest się pod obserwacją do końca życia. Może więc poprzysiął zemstę córkom Koryntu?

Zachodzi i taka ewentualność, że to maniackalny sadysta. No tak, w każdym drzewie iskrą sadyzmu. Niejedni lubi, gdy kobieta się opiera...

Znany psychiatra Stephen Shaw oświadczył, że:

— Morderca jest zimny i wyrachowany. Być może to jeden z tych mędrków i nieudaczników, co nie umieją przystosować się do otoczenia i mają o wszystkich pretensje do wszystkich. Szumi im w głowie i szumi, aż ranem w nocy następuje eksplozja. Niezwykle kluczone, że jak „duśiciel z Chicago” jest żonaty, ma dzieci i jest na co dzień spokojny i towarzyski. Cechuje go okrutna zawziętość i duża siła fizyczna...

Komisarz George Oldfield był innego zdania.

— Kiedy tak wstuchuję się w jego głos z taśm, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to człowiek smutny i nieszczęśliwy. Najchętniej złożyłby pewnie głowę na czyimś ramieniu i zapłakał...

W zachodniej części hrabstwa Yorkshire zbadano i przesłuchano przeszło 150 tysięcy mężczyzn w średnim wieku. Komisarz George Oldfield nie wpadł na żaden trop.

Kogo mordował?

Czy tylko damy lekkiego prowadzenia? Zatem „good time girls” jak to się powiada w Yorkshire? Owszem szeptało sobie na ucho, że ten szaleniec uśmierca wyłącznie te dziwki spod latarni. Czy aby na pewno? Nie, skądże, w Chapeltown zgładził i wypatrzył śliczną ekspedientkę.

Dziewczyna wdępnęła wieczorem nierozważnie na deptak, gdzie w blasku latarni krążyły zwykle wesole panienki. Później zaczął się w szynkownej dzielnicy Leeds. Stały tam okazałe rezydencje wyższych urzędników, bankowców, w ogóle ludzi, którym w życiu się powiodło. Na niewielkim skwerku wyskoczył z zarośli i zadusił młodą sekretarkę. Po miesiącu w tej dzielnicy zamęczył i rozpruł studentkę medycyny. Jakby było tego mało zbrodniarz podrzucił ciało studentki pod próg komisariatu.

Nad zmasakrowanym ciałem studentki pochyliły się grupy ekspertów. Ogledziny zwłok trwały długo. Przeszukano też każdą piędź ziemi w pobliżu.

Odchylono każdy krzaczek. Przetrząsnęto w okolicy wszystkie pojemniki na śmieci, i nic.

Brytyjska policja nie ma zbyt łatwego życia. Było nie było, to kraj najstarszej demokracji. Każdego chroni tu przed zatrzymaniem od długich wieków „habeas corpus”. Policjant dźierzy „mandat w dłoń, lecz nie waży się wejść z nim do niczyjego domu. Nie wolno. Stoi przy furtce i podaje dokument przez ogrodzenie. Nie może chwycić za brzoń palną. Wpierw musi zadzwonić na komisariat o pozwolenie. Dopiero gdy je uzyska, wolno mu sięgnąć po pistolet, leżący w schowku w policyjnym wozie. Nigdy wcześniej. Aby kogoś aresztować, trzeba mieć dowody jak beton w ręce. Inaczej prokurator nie kiwnie palcem. Komisarz George Oldfield podejrzewał wielu, nikomu wszakże zbrodni nie udowodnił.

Na prostytutki w Chapeltown padły białe strach. Z pełnego grozy trójkąta śmierci „Leeds — Bradford — Huddersfield” wyniosły się w inne rejony, głównie do Nottingham. Wyparowały dorabiające sobie na boku damy z półświatka. Zniknęły też „call-girls”. Po Chapeltown zaczęły się snuć hordy tajniaków. A dbający o swą opinię dżentelmeni bardzo nie lubią, gdy są brani pod obserwację.

Za głowę Rozpruwacza wyznaczono w końcu 30 tysięcy funtów nagrody. Przy telefonach dyżuruowało w dzień i w nocy prawie stu policjantów. Na prozno. Wszystkie meandry okazały się błędne i fałszywe. Nic w tej sprawie nie drgnęło. Wreszcie jeden z dziennikarzy zapytał komisarza George'a Oldfielda, czy nie byłoby dobrze uciec się do pomocy Scotland-Yardu. Komisarz skrzywił się ironicznie.

— Wpierw spytajmy, czy Scotland Yard schwytał Kubę Rozpruwacza numer jeden.

Ta przekięta mgła, to ona sprawiła, że nigdy nie udało się uzyskać dokładnego rysopisu mordercy. Porobione na-predece portrety pamięciowe wprowadziły do śledztwa tylko zamęt. Wreszcie zaniechano ich publikacji. Otóż źródłom wynurzał się ze swej kryjówki tylko wówczas gdy do twarzy lepiła się mazista gesta mgły. Zaczajony w zafku uderzał w ciemności. Gdy dochodziły go czyjeś kroki, zniknął z oczu i rozplynał się momentalnie we mgle. Mżawka zacierała ślady, mgła czyniła go niewidzialnym.

W 1978 r. zaszło coś niespodzwanego. Kuba Rozpruwacz II zapadł się pod ziemię i już nie pokazał. Wyemigrował? Oczekiwał w zaświatach?

Zbliżała się północ, kiedy dobiegł do Aleksandrowa Łódzkiego. Korzystając z tego, że weszli w rodzinne strony, nosił się z zamiarem odwiedzenia moich rodziców i siostry, którzy mieszkali w Zgierzu, a konkretnie tuż za Zgierzem w Krzywiu. Zamiar ten mogłem zrealizować pod warunkiem, że nasza trasa z Aleksandrowa do Warszawy będzie prowadziła przez Zgierz, a nie przez Łódź. W Aleksandrowie powiedziałem chłopcom, że jeżeli skierują nas na Zgierz, to biorę rower i jadę pierwszy, aby odwiedzić i pożegnać rodziców, bo przed wyjazdem na front nie miałem możliwości. Powiedziałem, że będą na nich czekać za Zgierzem, przy szosie do Warszawy, i żeby mnie tam wypatrywali. Gdy więc po przejechaniu Aleksandrowa skierowani zostaliśmy na Zgierz, wzięliśmy rower i pojechaliśmy.

Rowerów w naszej grupie mieliśmy dość. Zbieraliśmy je, porzucone na drogach, i łądownaliśmy na wozy. Przydawali nam się zawsze do krótkich wypadów po prowiant, papierosy itp.

Ledwie wyjeżdżałem za miasto, a tu szosa zatrasowana pojeżdżającymi zakorkowanymi gdzieś na skrzyżowaniu. Na poboczu i w rowach śpią żołnierze, zmęczeni bitwą i marszami. Nie da się jechać. Wziąłem rower na plecy i przecisnąłem się z trudem. Nie mogę absolutnie jechać, ani prowadzić roweru, bo bym musiał ciągnąć go po ludzkich głowach. Skrzyłem w pole i dźwigałem rower, a pot spływa mi po twarzy i plecach. Nareszcie przedostałem się poza „korek” i już swobodnie, choć nie zupełnie, poruszam się do przodu.

Około czwartej, czy piątej nad ranem dobiegłem do Zgierza. Przejeżdżam przez ulicę Łódzką, obok szkoły powszechnej, do której uczęszczałem przez siedem lat. Obok kościoła i magistratu, które stoją okazałe jak dawniej. Nie widzę nigdzie śladów zniszczeń. A więc oszczędzili Zgierz, i nie bombardowali go, mając chyba na uwadze to, że połowa mieszkańców miasta to ich ziomkowie. Z rynku Starego Miasta skręcam w ulicę Długą. Ulice puste, spokój i cisza. Ludzie jeszcze śpią, nie przeczuwając, że za kilka godzin wkroczą tu Niemcy.

Przejeżdżam ulicę Szczęśliwą i oto widzę zbombardowany kościół ewangelicki. Stanąłem i przyglądam się, nie wierząc własnym oczom. Co za curiosum, zburzyli swój własny kościół. Kościół, obok którego skupiało się całe ich niemieckie życie. Tuż przy kościele było gimnazjum niemieckie oraz różne instytucje i inne związki niemieckie. (...)

Stanąłem za oknami mieszkania moich rodziców. Drzwi wejściowe do budynku zamknięte na klucz. Okna zaryglowane okiennicami. Pukam więc ostrożnie w okiennice, aby ich nie przestraszyć, ale nikt się nie odzywa. Pukam do drugiego okna, to samo, w mieszkaniu głucho. Zaczynam się denerwować. Za chwilę słyszę skrzypnięcie drzwi wejściowych od budynku, i widzę, że ktoś wystawia głowę za drzwi. Był to gospodarz domu Roman Steinke, u którego rodzice wynajmowali mieszkanie. Dowiedziałem się od niego, że moja matka z siostrą Marią udały się za Stryków — do Bratoszewic. Ojciec natomiast poszedł wczoraj wieczorem do swego brata Jana, który mieszkał w pobliżu, na parceli, dalej od szosy. Wsiadłem więc na rower i pojechałem na parcelę. Ojciec i stryj byli bardzo uradowani, gdy mnie ujrzeli, bo nie mieli pewności czy jeszcze żyje, a ponadto dość dawno nie widzieliśmy się. (...)

Ojciec ze stryjem ciekawi byli, jaka jest sytuacja na froncie i co mają robić? — pytali, bo wszyscy opuszczali swoje domy, przeważnie mężczyźni, i uchodzili przed Niemcami. Nie wiedziałem, co im poradzić. Wiedziałem wprawdzie, że w pobliżu Zgierza frontu nie będzie, więc nie ma się co bać kul karabinowych i armatnich. A o stosunku wojsk hitlerowskich do ludności cywilnej, też nie nie mogłem powiedzieć. Pożegnałem stryja i poszedłem z ojcem do domu, bliżej szosy, aby nie przeoczyć naszych wojsk, gdy będą przejeżdżały. (...)

Gdy stałem przed domem, czekając na moją taczankę, doszedł do mnie Roman Steinke z Alfredem Hoffmanem, mieszkającym też w tym samym domu i zaczął namawiać mnie, abym pozostał i nie jechał dalej. Mówili mi, że to już nie ma sensu, abyśmy szli dalej, bo wojska niemieckie są już pod Zgierzem, od północy w Łucmierz, a od zachodu zbliżają się do miasta. Oburzyłem się na to i powiedziałem, że składałem przysięgę walczyć do ostatniej kropli krwi i nie będę zdradzał. Odwróciłem się od nich i poszedłem do ojca do mieszkania. Ciekawe, skąd oni mieli takie dokładne informacje o sytuacji na froncie. Bo taka mniej więcej sytuacja była tam rzeczywiście w tym czasie.

Wszyscy oni potem (a mieszkali ich tu niemało), po wejściu wojsk hitlerowskich wstąpili do żandarmerii, i pełnili służbę w Zgierzu i okolicach aż do dnia wkroczenia armii radzieckiej, w styczniu 1945 roku. Byli to: wspomniany już Roman Steinke, Otto Reich, Otto Haschke, Becker, Menzel i wielu innych. Otto Haschke, mieszkający też w tym samym domu, co moi rodzice, wyświadczył mi później bardzo istotną przysługę.

Autor — zgierzanie, mieszkający obecnie w Krakowie — w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku był dowódcą radiostacji polowej w I dywizjonie 10 Pułku Artylerii Lekkiej, który to pułk wchodził w skład 10 Dywizji Piechoty należącej do Armii „Łódź”. Swoje wojenne wspomnienia H. S. Roźniata spisał w pamiętniku „Taczanka”, którego maszynopis udostępnił „Odgłosom”. Poniższy fragment pochodzi z tych wspomnień.

ZGIERZ: — Wspomnienie sprzed 50 lat.

Sam na szosie

HENRYK STANISŁAW ROŹNIATA

Po powrocie z kampanii wrześniowej, w końcu października 1939 roku, zostałem aresztowany przez hitlerowców wraz z moim kuzynem Tadeuszem Roźniatą oraz kolegami: Wacławem Nowakiem, Zygmuntem Kubackim, Bronisławem Postem i jeszcze jednym, którego nazwiska nie pamiętam. Znajdowaliśmy się wówczas w mieszkaniu teściowej mego kuzyna, pani Ożogowej w Zgierzu, przy ul. Średniej (?), gdy nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wtargnęło kilku żandarmerii z przygotowanymi do strzału karabinami. Po przeprowadzeniu rewizji w mieszkaniu, wyprowadzili nas na podwórko, a tam oczekiwało dalszych kilku żandarmerii, a wśród nich, nie umundurowani jeszcze, ale z karabinami i ze swastykami na rękach, miejscowi potomkowie kolonistów niemieckich, a nasi niedawni koledzy szkolni i znajomi, którzy już rozpoczęli praktykę w hitlerowskiej żandarmerii. Razem było ich około dziesięciu. Obstawili nas dookoła i wyprowadzili na ulicę, a następnie poprowadzili śródkiem jezdni ulicy Długiej z Nowego Miasta na Stare, gdzie przy końcu ul. Długiej znajdowała się komenda żandarmerii.

Tam właśnie, w komendzie ujrzałem urzędującego już Otto Haschkego. Tego samego dnia, po przesłuchaniu, zostałem zwolniony. Mojego kuzyna natomiast, i pozostałych aresztowanych kolegów wysłano do obozu, na Radogoszcz pod Łodzią, gdzie przebywali ponad sześć tygodni. Przed Bożym Narodzeniem 1939 roku zatowano ich do pociągu towarowego, i po tygodniowej tułaczce (po Generalnym Gubernatorstwie), w nie ogrzanych wagonach bydlęcych, wypuszczono ich w Krakowie. „Oświecimą” i „Majdanką” wtedy jeszcze nie było.

Wiosną 1940 roku dołączyłem do kolegów w Krakowie, gdy musiałem uchodzić z domu, bo groziło mi powtórne aresztowanie. Przed Świętami Wielkanocnymi przyszła do mojej matki jakaś nieznaną kobietą i powiedziała, abym uciekał z domu, bo jestem na liście i mam być aresztowany. Wyszedłem więc zaraz w Wielki Piątek z domu, pojechałem do Łodzi, i tam ukrywałem się przez kilka tygodni u siostry mego matki Rozalii Cynkier, mieszkającej z rodziną na Bałutach. Skorzystałem z okazji, że jeden z kolegów Zygmunta Kubackiego przyjechał do Zgierza po swoje rzeczy, i razem z nim udałem się przez zieloną granicę do Krakowa. (...)

Podobno Roman Steinke będąc żandarmem w czasie okupacji był stosunkowo względny dla Polaków. W czasie rewizji w tramwajach, lub podczas innych łapanek, krzychał i robił wiele hałasu, ale krzywdy na ogół nikomu nie robił. Znał język rosyjski. W czasie pierwszej wojny światowej służył w wojsku rosyjskim. Został aresztowany w styczniu 1945 roku przez wkraczającą do Zgierza oddziały Armii Radzieckiej. Pewnego dnia, wiosną 1945 roku, przyjechał w eskorcie oficerów radzieckich do swego domu, do Krzywia, zabral ze strychu przechowywane tam kosztowności oraz inne wartościowe rzeczy, i odjechał z nimi. Od tego czasu ślad po nim zaginął.

Otto Reicha widziano natomiast ostatni raz w dniu, kiedy hitlerowcy palili więźniów w obozie, w Radogoszczu pod Łodzią. W tym dniu Otto Reich wzywany był do Radogoszcza do obozu, gdzie pełnił służbę żandarma. (...)

Otto Reich od tego czasu zniknął z horyzontu Krzywia i okolic. Dał o sobie znać dopiero po kilku latach z Niemiec. Ożenił się podobno po raz drugi (żona zmarła po okupacji w obozie dla internowanych Niemców) ze swą krewną Erną Reich, także mieszkanką Krzywia. Paradoxem będzie, jeśli dodam, że tenże Otto Reich w czasie pierwszej wojny światowej, w okresie odradzania się Państwa Polskiego, służył w Legionach Józefa Piłsudskiego, w jednym ze szwadronów pułku ułanów, który pod wodzą pułkownika Beliny Prażmowskiego, wraz z Dywizją Legionów, dowodzoną przez gen. Edwarda Rydza-Śmigłego, stoczył zwycięską bitwę o Wilno z wojskami Armii Czerwonej na wiosnę 1919 roku. Opościł mi nieraz o tym i pokazywał medal wojskowy, jaki otrzymał z okazji zajęcia Wilna w Wielkanoc 1919 roku.

Żandarm Becker, został zastrzelony na szosie pod Łagiewnikami Łódzkimi, kiedy usiłował uciec przed wkraczającymi w styczniu 1945 roku wojskami radzieckimi. Menzel natomiast, wraz z żoną i ułomną córką, popełnili zbiorowe samobójstwo w chwili wejścia na teren Krzywia żołnierzy radzieckich. Alfred Hoffman i Otto Haschke zniknęli w tym dniu z terenu Krzywia i przedostali się prawdopodobnie do Niemiec. Po zakończeniu wojny Alfred Hoffman powracał kilka razy do Zgierza w charakterze „emisariusza”, i zabierał do Niemiec pozostawione tu bez opieki dzieci poniemieckie, których ojcowie pouciekali, oraz niektórych Niemców. (...)

Wspomnieć trzeba i o takich potomkach kolonistów niemieckich, jak pastor gminy ewangelickiej w Zgierzu Aleksander Falcman, oraz kapitan Wojska Polskiego Karol Swatek, który, będąc obywatelami polskimi, pochodzenia niemieckiego, odmówili przyjęcia obywatelstwa III Rzeszy, i pozostali wiernymi narodowi polskiemu aż do swych męczeńskich śmierci w hitlerowskich obozach. Zostali obaj zamordowani w obozach zagłady, pastor Aleksander Falcman w Dachau w roku 1942, a kpt. Wojska Polskiego Karol Swatek w Oświęcimiu, o kilka dni później.

Na cmentarzu ewangelickim w Zgierzu, na jednym ze starych ewangelickich grobowców, umieszczona jest symboliczna tabliczka, z mocno zatartym już, trudnym do odczytania napisem: „Karol Swatek kapitan Wojska Polskiego zginął w Oświęcimiu w roku 1942”. (...)

Nazwiska Aleksandra Falcmana i Karola Swatka przewijają się ciągle w książce pt. „Wszystko co mogę ci powiedzieć”, napisanej (pod nazwiskiem Konczarek) przez innego potomka kolonistów, Niemca Ludwika Reinholda Kuntze, pedagoga gimnazjum niemieckiego w Zgierzu, który u schyłku

swego życia, pozostawszy w Polsce po ucieczce hitlerowców, rozlicza się w tej książce ze swego życia, swej rodziny i swego środowiska, podkreślając bardzo mocno zbrodnie popełnione na Polakach i Żydach w Zgierzu, w okresie okupacji hitlerowskiej. Twarda i bezlitosna jest jego „spowiedź”, kiedy pisze o swoim synu, który w tym okresie pełnił służbę żandarma hitlerowskiego.

„Nagle zobaczyłem, że Cezaka (Jakub Stefan Cezak, dyrektor Szkoły Handlowej w Zgierzu — przyp. H.S.R.) prowadzi mój syn Manfred, tam gdzie gromadzone aresztantów. Usłyszałem, jak zawołał do niego. Ty parszyszywa polska świnió!”

I pisze dalej o swoim synu.

„Otto, człowiek, który wczoraj jeszcze był panem życia i śmierci, siedzi w samej tylko koszuli, boso po śniegu, ulicami miasta, w którym się urodził i wychował... Podobno nie wykonał żadnego gestu samoobrony ani protestu. Ukląkł na śniegu, jak mu kazano i tak czekał, aż go zastrzelono. Była to śmierć, na jaką w pełni zasłużył. Tak mówię ja, Ludwik Reinhold Kuntze, jego ojciec. Tak musieli stać, by zostali przywrócone prawa ludziom, a życiu sens”.

Jakub Stefan Cezak — to wielki, wspaniały człowiek, wszechstronnie wykształcony, władający kilkoma językami, autor książek i wydawnictw naukowych. Wydana przez niego „Geografia Gospodarcza”, służyła jako podręcznik do nauki geografii gospodarczej w szkołach handlowych przedwrześniowej Polski. (...)

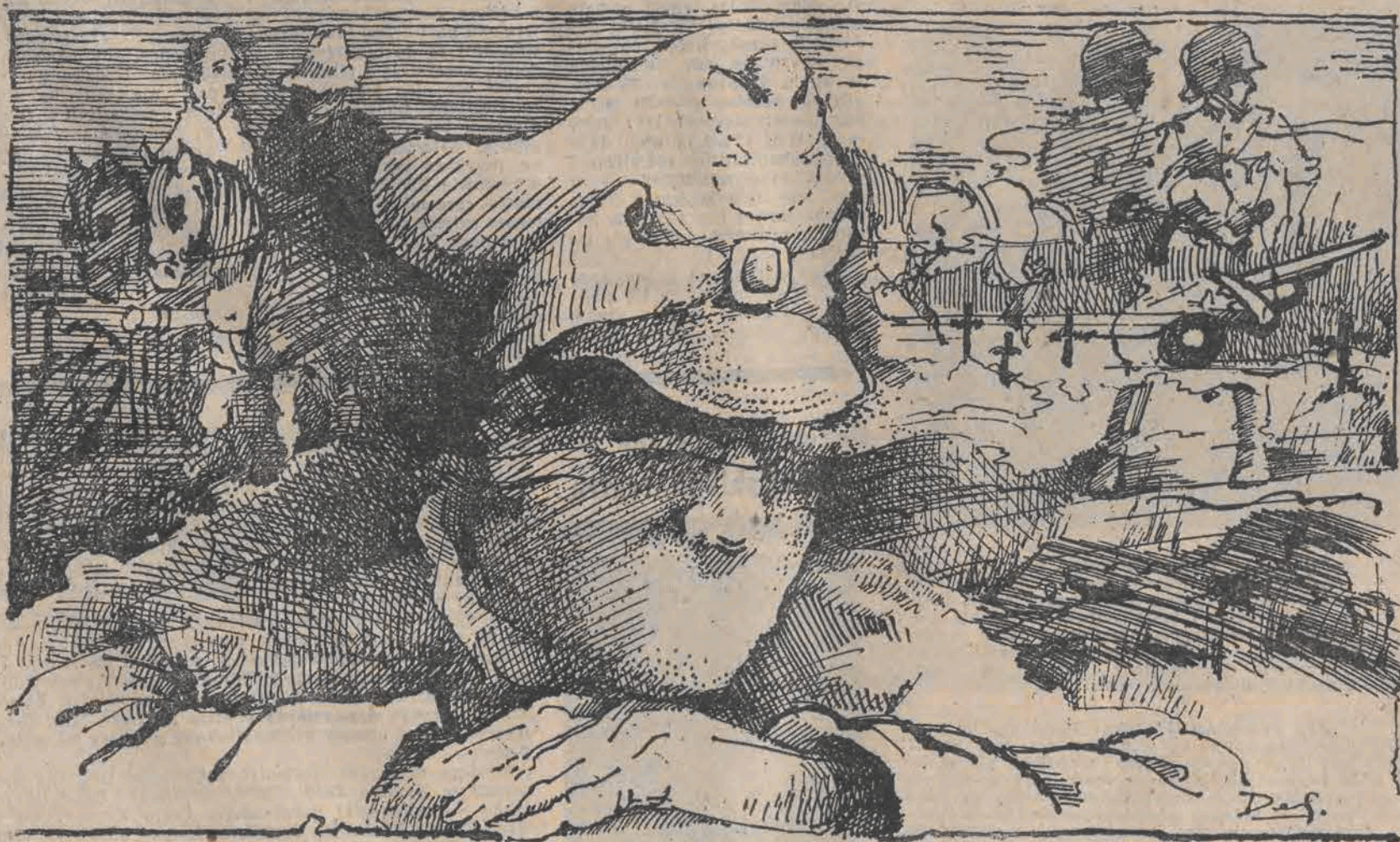
Opowiadał mi ówczesny pedagog Szkoły Handlowej w Zgierzu, a po okupacji dyrektor Liceum Ekonomicznego w Zgierzu i Krakowie, Jerzy Kosowski, że po wkroczeniu wojsk hitlerowskich, kiedy nadszedł czas, gdy trzeba było zniknąć z terenu Zgierza, ze względu na represje i aresztowania wśród społeczeństwa polskiego, a szczególnie inteligencji miasta, namawiał dyrektora Cezaka, aby opuścił Zgierz i udał się razem z nim do Krakowa. Dyrektor Cezak odmówił jego propozycji. Nie chciał opuścić swego ukochanego miasta. Wołał dzielić los jego mieszkańców do końca.

Wkrótce został aresztowany i wywieziony do obozu zagłady. Zginął w październiku 1940 roku w obozie hitlerowskim w Mathausen.

Dochodził dziesiąta przed południem, a mego wojska nie widać. W dalszym ciągu natomiast idzie pełno żołnierzy i trochę cywilów, ale nikogo znajomego wśród nich nie ma. Na szosie wybuchła awantura. Żołnierz, prowadzący rower, został zaatakowany przez drugiego, który chciał mu ten rower odebrać. Szamocąc się na szosie i dochodząc do bójk. Podbiegło do nich kilku idących obok żołnierzy, rozdzielili ich, a rower zwrócili temu, który przedtem go prowadził.

Denerwuję się coraz bardziej. Wychodzę co chwilę na szosę i wypatruję, czy od strony Zgierza nie nadjeżdżają moi. Pozostawiłem ich przecież zaledwie około dziesięciu kilometrów przed Zgierzem, i powinien dawno już tu być. Na szosie zaczyna się przemieszczanie. Idą widocznie ci najbardziej spóźnieni, chyba ostatni przed napierającymi hitlerowcami. Między nimi widzę artylerzystę. Idzie krokiem szybkim śródkiem szosy. Poznaję go. Jest to mój dobry znajomy z lat szkolnych. Chodziliśmy w tym samym czasie do szkół, z tym, że on uczęszczał do gimnazjum, a ja do szkoły handlowej. Staliśmy razem w 10 Pułku Artylerii Lekkiej w Łodzi. On jako podchorąży, a ja żołnierz.

Podbiegam do niego i pytam o naszą jednostkę. Okazało się, że nasza kolumna udała się ze Zgierza bocznymi drogami, przez Chelmy do Łagiewnik. Droga dłuższa, ale bezpieczniejsza dla zaprzęgów i taborów, bo od Zgierza przez Chelmy ciągnie się las, a przy drogach rosną drzewa, dające pewną osłonę przed lotnictwem nieprzyjacielskim. On sam odwiedził w Zgierzu swoich rodziców, i podąża teraz za naszą kolumną.



Rys. Dariusz Romanowicz

POLEMIKI

LISTY OPINIE

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

SPÓR W SIERADZKIM MUZEUM TRWA

W 42 numerze „Odgłosów” z 15 października 1989 roku ukazał się artykuł „Spór w muzeum tylko zawieszony”, w którym Eugeniusz Iwanicki przedstawił konflikt pomiędzy Muzeum Okręgowym w Sieradzu i NSZZ „Solidarność” przy tymże Muzeum. Skądże, że autor spieczęć się na urlop nie zechciał poczekać tych paru dni, by uzyskać pełne informacje od Komisji Zakładowej, a poprzestał tylko na jednostronnych informacjach Dyrekcji Muzeum. Ułotka bowiem z oczywistych powodów przedstawiała tylko niektóre problemy nurtujące pracowników Muzeum.

Co do wyjaśnienia udzielonych przez dyrektora Marię Wiśniewską, to pragniemy skonfrontować je z postanowieniami podjętymi przez Dyrekcję i Komisję Zakładową przy współudziale Komisji Interwencyjnej z Urzędu Wojewódzkiego 6 września 1989 roku, a więc prawie dwa tygodnie wcześniej niż miała miejsce wizyta Eugeniusza Iwanickiego.

Po pierwsze Wydział Kultury UW postanowił po odejściu na emeryturę obecnego wicedyrektora całkowicie zrezygnować z obciążenia tego stanowiska. Kwestia przyjęcia rysoznicy do działu archeologii nie została rozstrzygnięta jakkolwiek dyrektorka Wydziału Kultury zajęła stanowisko nieingerowania w sprawy kadrowe muzeum. Wiążące sformułowania dotyczyły pozostałych postulatów Związku, lecz nie miejsce tu, by je szczegółowo omawiać.

W kwestii zaginionej w MO broni postanowiono: dyrektor muzeum Maria Wiśniewska zobowiązała się wystąpić o rewizję w tej sprawie. Jeśli rewizja nie będzie możliwa — to do wystąpienia o zwrot kosztów za ww. broń. Oczywiście musi nastąpić ponowne oszacowanie eksponatów zgodnie z aktualnymi cenami. Komisja Zakładowa uważa, iż nie można pozostawić tej sprawy na dotychczasowym etapie, a więc godzenia się na umorzenie śledztwa i rezygnacji z odszkodowania.

Postulat o zapewnieniu odpowiednich warunków magazynowych eksponatów nie dotyczył, jak sugeruje dyr. Wiśniewska, warunków pracy, jakkolwiek trudnych, lecz właśnie uczynienia wszystkich co możliwe aby zgromadzone zbiory nie niszczały w zawilgoconych piwnicach. Pomimo podpisanych 6 września 1989 r. zobowiązań, nic się w tej kwestii nie zmieniło. Czy dyrektor Wydziału Kultury była przebiegła wydzierżawiając część pomieszczeń Oddziału w Tubądzinie — być może wypowie się sama. W porozumieniu napisano zaś, iż jeśli istnieje możliwość porozumienia z firmą produkującą kafelki na dogodnych dla muzeum warunkach, to należy z niej skorzystać.

Co do bazy remontowo-budowlanej to rzeczywiście potrzeba włożyć w nią wiele pracy, chodzi tylko o to, że nie robi się do słownie nie w tym kierunku. Jeśli chodzi o regulamin premii stwierdzono „Regulamin premii winien być opracowany nowy — w oparciu o już istniejący plus propozycje związku zawodowego”.

Rozpatrzone także pozostałe postulaty związku, o których autor artykułu nie wspomina (bo i skąd o nich może cokolwiek wiedzieć). I tak: „w związku z proponowaną organizacją punktu handlowego z wyborami sztuki ludowej ustalono, iż dyrekcja muzeum podejmie działania organizacyjne punktu sprzedaży od strony technicznej, a dział etnograficzny zajmie się zgromadzeniem materiału do sprzedaży”. Niestety do dziś dyrekcja nie załatwiła jakichkolwiek formalności prawnych, w związku z czym przedmioty zgromadzone przez dział etnografii zalegają muzealne magazyny. Z innych spraw dyrektor muzeum została zobowiązana do organizowania zebrań pracowników i narad pracowników merytorycznych. Do 18 października 1989 r. nie odbyło się żadne zebranie, ani narada.

Podsumowując, Komisja Interwencyjna powołana przez wojewodę na prośbę związku, uznała w pełni zasadność wszystkich postulatów. Co w najlepszym stopniu ukazuje porozumienie podpisane 6 września 1989 r. (dokumenty do wglądu u Komisji Zakładowej).

Na zakończenie wyjaśnimy, dlaczego w naszej ulotce umieściliśmy nazwisko Pani Dyrektorki. Otóż we wszelkich rozmowach prowadzonych przed 20 sierpnia 1989 r. dyrekcję muzeum reprezentował wicedyrektor Leon Turajczyk, który zastępował przebywającą na zwolnieniu od 26 kwietnia 1989 r. dyrektor Marię Wiśniewską. Po powrocie ze zwolnienia Pani Dyrektorki zanegowała wszelkie podpisane wcześniej porozumienia i swą postawą uniemożliwiła prowadzenie jakichkolwiek rozmów.

Mamy nadzieję iż wyjaśnienie nasze ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów” w pełni ukazując przyczyny sporu w sieradzkim muzeum.

Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” przy Muzeum Okręgowym w Sieradzu
przewodniczący JAROSŁAW KALISZ
wiceprzewodniczący Wiesława Jordan

ANTYSTALINIZM W HARCERSTWIE?

Od pewnego czasu w szeregu Związku Harcerstwa Polskiego toczy się zacięta walka ideologiczna, która sprowadza się do coraz większego rozłamu w działaniach społecznych kadr instruktorów, a tym samym wpływa ujemnie na młodzież. Zaniepokojeni takim stanem rzeczy uczestnicy „okrągłego stołu” zgodzili się na to, że interesy harcerstwa będą reprezentować dotychczasowi liderzy ZHP, którzy zobowiązali się jednak do dokonania głębokiej demokratyzacji w swoich szeregach i tym samym uznać głosy nie tylko racji przeciwników.

Jednak we władzach ZHP już od dawna panuje taki zwyczaj, że „jak śmierć u drzwi”, to zgadzają się na wiele ustępstw. Trwa to jednak do chwili, aż ustąpi głębokie zagrożenie ich istnienia. Gdy to zagrożenie mają, ujawniają się ich „racje” jako „jedyną i niezaprzeczalną”. Taką sytuację obserwowaliśmy wtedy, kiedy powstał swego czasu krąg instruktorów im. A. Małkowskiego w trudnych warunkach „zimny stulecia” ogłosili „pogotowie harcerskie” polegające na udzielaniu pomocy ludziom starym, niedołężnym, niepełnosprawnym.

Władze harcerskie ZHP uznały ten pomysł za „własny” powołując „konkurencyjne” pogotowie w administracyjnych przez siebie drużynach. Działali w ten sposób dwa „pogotowia” wzajemnie się zwalczając, „podbijając”, „klientów”. Czy działania te przyniosły spodziewany skutek i efekt?

Można zapomnieć o tych wydarzeniach, gdyby nie to,

że podobna historia powtarza się w tym środowisku co pewien czas. Ponieważ były lata, że GK ZHP odmawia udziału w naszych „szaro-szeregowych” uroczystościach i imprezach organizowanych z okazji jubileuszy walk, czy przypomnienia tego lub owego wydarzenia, organizowaliśmy je we własnym gronie nie oglądając się na „poczenia, czy zakazy”. Tego rodzaju imprezami było odsłonięcie tablic z nazwiskami poległych kolegów i towarzyszy broni. Tablice te z konieczności wmurowywane w ściany świątyn były „soją w oku” dla oficjalnych władz państwowych i harcerskich. Z czasem GK ZHP zaczął się przyznawać do uznawania działalności „Szarych Szeregów”, uważała tylko te milgawki z historii, które wcześniej zostały zaakceptowane przez władze (np. akcja pod Arsenalem).

Widząc te manipulacje byli członkowie „Szarych Szeregów” zamknęli się w sobie i sami przygotowywali własne ogólnopolskie spotkania. W ostatnie chwile miejsce tego spotkania zostało zmienione. Zamiast w Łaskach odbyło się w Wesołej koło Warszawy. Tego spotkania nie mogły „przeoczyć” władze i dziennikarze prasy harcerskiej. Szkoda tylko, że było ono opisane fałszywie, w ten sposób, że głównymi jego bohaterami stali się ci, którzy najmniej wkładu włożyli (patrz „Motyw” nr 41).

W tym samym numerze ukazał się artykuł Andrzeja Glassa pt. „Pozostałości stalinizmu w ZHP”. Mimo, że stalinizm pisało już wiele, pismo to dopiero po raz pierwszy — jak gdyby wstydząc się swoich dotychczasowych posunięć — poruszyło sprawy „pogrobówców stalinizmu” w harcerstwie i ich „wkład” w działalność ZHP.

Czy stalinizm w ZHP jeszcze istnieje? Na pewno tak! Objawia się on rozmaitymi formami, nawet i tymi, że wszelkie formy dyskusji o wychowaniu bezkolizyjnym młodego pokolenia, o których nieraz pisaaliśmy do organu ZHP są pomijane milczeniem. I potem mają do nas pretensje, że staramy się to rzeczy publikować w pismach neutralnych.

MIECZYSLAW KOZAK

PS. List ten piszę m.in. na prośbę starych instruktorów harcerskich — „Szaro-Szeregowców”, którym przestało się podobać milczenie organu GK ZHP na temat interesujących nas wszystkich spraw bezkolizyjnego wychowania młodego pokolenia, tego któremu mamy oddać w ręce przyszłe losy Polski.

M. K.

SKĄD BIERZE SIĘ MARAZM W SPÓŁDZIELCZOŚCI?

Sądzę, że między innymi i stąd, iż członkowie nie widzą żadnej możliwości oddziaływania na aparat administracyjny oraz „etatowy” zarząd spółdzielcy z roku na rok „wybierany” w tym samym składzie. Proste, drobne sprawy, problemy zgłaszane indywidualnie bądź zbiorowo na zebraniach, naradach i odprawach nie mogą znaleźć konkretnego rozwiązania, nie są załatwiane.

Komu dziś sił i czasu wystarczy, aby móc walczyć bez przerwy te same sprawy, problemy wracające niczym bumerang na posiedzenia, zebrania. Komitety domowe, sklepowe, osiedlowe, samorządy, rady nadzorcze, rady osiedli są owszem wybierane na okres ściśle wyznaczony. Narzekamy nieraz, że nie przejawiają żadnej działalności. Istnieją, ale tylko na papierze. To również prawda. Jeżeli w początkowej fazie nie udaje się im załatwić bodaj najdrobniejszej sprawy, problemu nurtującego ogół mieszkańców — zniechęcają się. Coraz mniej ludzi uczęszcza na zebrania, coraz więcej zamyka się w sobie. Trudno jest dziwić się temu.

Z biegiem czasu, wartościowi działacze społeczni widząc panującą stagnację, gromadząc się stosy papierków, pytania i odpowiedzi, z których nic nie wynika — rezygnują z dalszej pracy społecznej. Tylko jedynie to im pozostaje, aby nie narazić się w przyszłości na miano „rozrabiaki” w najlepszym wypadku, a może stać się znacznie coś gorszego, podciągniętego pod działalność podważania autorytetu zarządu spółdzielni, działającego na niekorzyść i w końcu wykluczenie z członków spółdzielni, oczywiście wszystko zgodnie ze statutem. Pozostają jednostki niezdyscyplinowane, słabe, nie mające swego własnego zdania na tę czy inną sprawę. Nie wnoszą nic nowego poza przytakiwaniem zarządowi.

W takiej sytuacji rzecz jasna nie może być mowy o samokrytycznym spojrzeniu na dalszą działalność, operatywność władz spółdzielczych, zgodnie z odczuciem samych mieszkańców, członków spółdzielni. Byłem świadkiem gdzie na zebraniu członków PSS „Społem” mniejszość wybierała większość kandydatów do komitetów sklepowych. Na 30 zgromadzonych na sali osób — wybranych zostało 48 członków komitetów sklepowych. Wybory z odrytanej wcześniej przygotowanej listy, na której figurowali kandydaci z odległych osiedli, „etatowi” działacze spółdzielczości, nazywani społecznikami. Spokojnie spali w domu, wiedząc z góry, że i tak zostaną wybrani. Wątpliwie czy na następne zebranie zbierze się chociaż te 30 osób, stanowiących jedynie tło do obrazu. Przykre, ale prawdziwe.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

KRYŻ NA ŚMIETNIKU

Od szeregu lat w porze jesiennej lubię udać się do lasów znajdujących się po prawej stronie drogi biegnącej z Łodzi do Piotrkowa pomiędzy Głuchowem a Srokiem. Łaski te potocznie nazywane, chłopkami. Te chłopskie lasy tak są paskudnie zaśmiecone i nadal, jak się orientuję są zaśmiecone beztrosko wszelkiego rodzaju odpadami. Nie mogę zrozumieć jak okoliczni mieszkańcy, którzy najprawdopodobniej mają w tym największy udział, sami degradują swoje środowisko.

ROMAN LIPOWSKI

CZY NIE MAMY ZIEMI POD UPRAWY?

Nie pierwszy to raz oglądamy się na pomoc z zagranicy, która ma nam umożliwić przetrwanie i przetrwanie zaczarowanego kręgu niemożności. I o ile jeszcze można zrozumieć wymóg pożyczek mających na celu inwestowanie i ożywienie konkretnych działań gospodarki, to pomoc żywnościowa jest po prostu wstydem.

Czy nie mamy ziemi uprawnej, czy nie ma czym jej obsiać? Nie wierzę. Tylko znów się komuś nie opłaca. Nie opłaca się normalnie pracować. Co nie oznacza, żeby „zagranica” miała robić na wyżywienie Polaków składki.

Podobno prawa ekonomiczne są powszechnie obowiązujące i żadna polityka nie może ich zmieniać. Gdy wspomnę, jak to obcywano, że po zarejestrowaniu R.L. „Solidarność” zaraz będziemy opływali w szynki i słoninę — śmiać się chce.

Pozostaje więc chyba stara zasada: „kto kogo?”. Wiesz miasto, czy odwrotnie?

W. AFELT

POCZTA TA SAMA, ALE LICZENIE RÓŻNE

Już 30 lat mieszkań w sąsiedztwie Urzędu Pocztowego Łódź 36 przy ul. Piotrkowskiej 135 i od 30 lat korzystam stale z usług tego Urzędu. Przychodzę tu zawsze z przyjemnością, bo Panie w okienkach są bardzo mile i życzliwe wobec klientów. I oto w sobotę, 14.X.1989 przyszedłem wysłać do Nowego Jorku przesyłkę zawierającą 18 arkuszy maszynopisu (praca naukowa) pocztą lotniczą. W okienku nr 1 urzędowa nie znała mi młoda panianka. Zważyła mój list, następnie obliczyła na kalkulatorze opłatę pocztową (list był zwykły, nie polecony) w sumie 8.850 zł. Bardzo często wysyłam takie listy, ale nigdy nie zdarzyło mi się, aby żądano tak wysokiej opłaty. Wyraziłem swoje wątpliwości, wobec czego panianka jeszcze raz dokonała obliczeń.

— Ach, przepraszam, pomyliłam się i zamiast do USA policzyłam do Ameryki Południowej! — Należy się 5.850 zł.

Nie pozbylem się wątpliwości, ale przesyłka była na tyle ważna, że postanowiłem uiścić opłatę, choć wydawała mi się za wysoka. Niestety, panianka przesyłki nie przyjęła, bo najwyższy nominalna znaczka, jaką miała, wynosiła 100 zł, więc znaczki nie mieściły się na kopercie. Postanowiłem interweniować u naczelnika Urzędu, ale okazało się, że gabinet naczelnika jest zamknięty naглуcho, a panianka oświadczyła mi, że w sobotę naczelnik nie urzęduje. Nie było innego wyjścia jak wrócić do domu.

W poniedziałek, 16.X, poszedłem z przesyłką do „mojego” Urzędu ponownie. W okienku siedziała dobrze mi znajoma przemila pani. Podałem kopertę nie nic mówiąc. Pani zważyła przesyłkę, na tej samej wadze i obliczyła opłatę na tym samym kalkulatorze, po czym z miłym uśmiechem oświadczyła, że należy się 900 zł!

dr med. TADEUSZ PNIEWSKI

CO MNIE DENERWUJE?

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Dróg i Mostów powołane jest do tego, ażeby ulice, drogi były sprawne dla użytku pieszych i pojazdów. A jak to ma się do rzeczywistości? Stał się „cud”, że to przedsiębiorstwo wpadło na „pomysł”, ażeby przesunąć barierki ochraniające skret z ul. Woj. Polskiego w prawo w Strykowską. Dziesiątki razy barierki te były niszczone przez pojazdy, ekipa z W.P.D. i M unormowała je. Kto liczył koszty?

Żeby nie było za pięknie, nadal pielęgnuje się drzewa-gruszki na wysepce rozdzielającej ulicę Paradną (przy Trybunalskiej) Rozumiem, że z takich drzew może mieć zysk (gruszki), ale jest to bardzo niebezpieczne skrzyżowanie. Przy skrecie w lewo autobusem lub innym pojazdem, napotyka się ścianę zieleni, która zasłania widoczność ulicy Paradnej; po kawałkach szkła można się domyślić, że nieraz był tu wypadek. PZU nie powinno wypłacić ani złotówki, tylko obciążyć przedsiębiorstwo za takie „nowatorskie pomysły”. Sprawa tych drzew, jak i wywlewkę asfaltowych była zgłaszana wielokrotnie przez ZKA-1.

W okolicach pl. Niepodległości kierowcy mają gdzie znaki zakazu, wysypki wymalowane na jezdni przy Pabianickiej. Pracując na liniach autobusowych w tym rejonie, można dostrzec bierną postawę milicjantów. Wystarczy chwila, ażeby „wielki kierowca” pierwszy zaparkował na wysepce (malowanej), a już inni robią to samo. Proponuję odpowiednim władzom, ażeby umieścić w tym miejscu tablicę — „Informacyjno-prosząca” o niełapaniu przepisów drogowych w mieście Łodzi.

Komunikacja miejska jest „puls” miasta. Działa tak jak może i czym może. Za stan dobrego funkcjonowania odpowiada MPK oraz władze miasta. Braki kadrowe to zmora dyrekcji MPK — chodzi o pieniądze. Jeżeli nadal władze miasta będą miały „węzła w kieszeni”, to nie będzie lepiej tylko gorzej, cała nadzieja w obecnym rządzie.

Ludzie jakos nie chcą pracować, bo wbrew opiniom w MPK naprawdę się pracuje. Chcesz mieć więcej, trzeba wyjeżdżać o około 250—300 godzin. Taka jest prawda. Załoga MPK jest oddana przedsiębiorstwu, milczy pracując nadal i liczy, że to docenią „na górze” nawet takim łaskawym gestem jak zaopatrzenie sklepików zakładowych w wędlinę i papierosy.

Nieraz trafia człowieka szlag, gdy widzi w autobusach pocięte, powyrwane siedzenia, napaprane czym się da, uszkodzone wiaty, przystanki, polamane siatki oddzielające tory itp. Ten wandalizm bierze się z głupoty.

Pragnę też poinformować PKP Łódź—Chojny, że śmierć czyha na torach w ich rejonie (dziękuję przejęcie).

JERZY M.

MPK PRZEPRASZA

W odpowiedzi na uwagi Grażyny K. zamieszczone w „Odgłosach” nr 40 z 1.10.1989 r. informujemy, że z motorniczym tramwaju linii 2 przeprowadzono rozmowę, w której został on pouczony o obowiązku przykrogo incydentu zaistniałego 21.09.1989 r.

Autobus linii D wg aktualnie obowiązującego rozkładu jazdy, kursować powinien co 16 min. Zdarzyć się jednak może, że na skutek awarii taboru lub braku kierowców oczekiwanie na autobus wydłuży się.

Przepraszamy PT Pasażerów za niedogodności wynikające przy korzystaniu z naszych usług.

mgr DANUTA SAŁAMACHA
(Rzecznik Prasowy MPK)

ZDANIEM MIECZYSLAWA M. SZARGANA

Należy palcem pokazywać kicz. Najpaskudniejszą odmianą kiczu jest kiczowata karykatura. Nie trafiona. Odwalona. Jelen na rykowisku. Z fotki. Karykatura trafiona ujmą nie przynosi śmiechu uszlachetnia. Karykatura — jelen obraża skarykaturowanego i tego, co karykaturę ogląda. Panu Sławomirovi Arabskiemu znowu zbiegł jelen karykatury i stanął pod zarysem nazwiskiem Stanisława Kaszyńskiego jako podobieństwo zjadłnicę kogo? Tak, Henryka Debicha. I to jest dobra karykatura. Cały Debich we wpół otwartych ustach. Stasiu, uspokój się, przestań przewracać się w grobie. Fee, nieładnie być tak zazdrosnym.

Wszystko to (oprócz przewracania się w grobie Stanisława, ma się rozumieć) zauważyłem w nr 42 „Odgłosów” w rubryczce „Galeria pisarzy” i mam niepielną nadzieję, że redakcja jak zwykle umożliwi mi — ludzi trzymajcie mnie, tego jeszcze nie było — sprostowanie karykatury.

Jeszcze słóweczko do Stanisława Kaszyńskiego. Widzisz, no widzisz Stasiu, mignęło tak niewiele czasu, zaledwie pyłek a już zapomnieli, że miałeś własną twarz. Twarz dobrą do karykatury. Profesorską! Z tą nobliwą, szeroką, przycupniętą na gardle „muszką”. A okulary nosiłeś, owszem, lecz nie generalskie, były to zwykłe szkła do patrzenia, a te czarne to cały Debich, cały Debich we wpół otwartych ustach. Na festiwalu żołnierskiej piosenki w Kołobrzegu!!!

I jeszcze puentujący „Ukwiał”: Zauważcie: są ludzie, którzy mają satyryczne głowy.

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

„MOKRADŁO”

W związku z listem podpisanym przez członków zarządu Zespołu Pracowniczego Budowy Domków Jednorodzinnych „Bawelna” przy PZPB „Pamotex” informuję uprzejmie, że jakkolwiek nie zgadzam się z „wszystkimi zarzutami, jakie w nr 41 „Odgłosów” z dn. 8.X.1989 roku postawiono mi w związku z moją publikacją pt. „Mokradło”, niemniej przyjmuję je za zrozumieniem do wiadomości. Zaznaczam, iż nie było moim zamiarem składowanie dobrego imienia Zespołu. Ponieważ zgodnie z Prawem Prasowym pracownicy mieli możliwość przedstawienia swojego punktu widzenia na sprawę, uznaję to za stan faktyczny i nie widzę potrzeby pisanie odrębnej publikacji. Przepraszam i dziękuję za list.

RYSZARD BINKOWSKI

GIEŁDA NIEZALEŻNYCH

NSZZ „Solidarność” przy Miejskiej Bibliotece Publicznej w Łodzi zaprasza wydawców, kolporterów, bibliotekarzy, kolekcjonerów zainteresowanych sprzedażą, kupnem lub wymianą książek, czasopism, druków ulotnych, znaczków pocztowych na Łódzką Giełdę Wydawnictw Niezależnych, która odbędzie się w lokalu Biblioteki im. L. Waryńskiego, ul. Gdańska 102 dnia 18 listopada 1989 r. Początek — godz. 10.

PIECZATKI

w ciągu dnia (express)

lub

tygodnia (normalnie)

ZAMÓWISZ W FIRMIE

"TAGAR"

Łódź, ul. Kilińskiego 59/63

(HOTEL CENTRUM)

pokój 1311.

55346-g

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAGRANICZNE

"AUSTROTEX"

Z A T R U D N I

na bardzo korzystnych warunkach finansowych

◀ SZWACZKI ▶

Praca jednozmianowa. Nowoczesne maszyny produkcji zachodniej.

Zgłoszenia osobiste, Łódź, ul. Przędzalniana 20.

6935/K

OGŁOSZENIA DROBNE

NIERUCHOMOŚCI

DOM w Grotnikach pilnie sprzedam. Listy 56621 Biuro Ogłoszeń Piotrkowska 96.

LOKALE

M-3 własnościowe sprzedam lub zamienię na dom. Tel. 87-39-23 wieczorem. 56392-g

STUDENT obcokrajowiec szuka mieszkania niekoniecznie z telefonem, najchętniej w centrum. Tel. 36-21-27. 55929-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

MEBLE, komplety wypoczynkowe, ławostoly — Swarzędz oferuje sklep, pl. Kościelny 4. 54776g

GLAZURĘ sprzedam, 43-86-84. 56593-g

NAUKA-PRACA

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UL, zakres szkoły podstawowej, średniej, przygotowania do egzaminów, języków obcych, wtorek, środa, czwartek 10—13, 32-59-63. 6659-k

USŁUGI

ZE SLAJDÓW — odbitki na materiałach zachodnich — wykonuje „STUDIUM”, Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej). 55108-g

MYCIE okien, 55-53-15, Budzisz. 56395-g

ZGUBY

SKRADZIONO pieczęć: Sprzedaż drobiu, mięsa, wędlin oraz kurczaków z rożna, Barbara Kujawińska. 56399-g

KRZYSZTOF Żyłowski zgubił legitymację studencką 60098 PL. 56567-g

MICHAŁ Pierzgański zgubił legitymację studencką 16892/L AM. 56935-g

RÓŻNE

ZAWIADAMIA się, że został obniżony kapitał Spółki z o.o. „Alopec” Łódź, Nawrot 8 z wezwaniem wierzycieli i wniesieniem sprzeciwu. 56419-g

Zainwestuj w swoje dziecko!

AZET

Zespół Psychologów Logopedów Pedagogów oraz Zespół Lekarzy Specjalistów

PRZEDSIĘBIORSTWA DZIAŁAŃ PRZEMYSŁOWO-HANDLOWYCH

Sp. z o.o. (j.g.u.) w Łodzi

POLECA SVOJE USŁUGI

Do Państwa dyspozycji oddajemy doświadczonych specjalistów przyjmujących w gabinetach zlokalizowanych przy ul. Wólczańskiej 23, jak i w domu klienta:

◀ PSYCHOLOGÓW RÓŻNYCH SPECJALNOŚCI: logopedów-pedagogów — prowadzących zajęcia wyrównawcze — psychiatrę dziecięcego i młodzieżowego — neurologa dziecięcego — pediatrę,

◀ LARYNGOLOGA ◀ FONIATRĘ ◀ OKULISTĘ ◀ DERMATOLOGA

Masz wątpliwości, obawy dotyczące dziecka, samego siebie, małżeństwa, rodziny — zasięgnij u nas kompleksowej porady.

Oferujemy badania, poradnictwo, zajęcia wyrównawcze dla klas młodszych; również: badania kierowców, terapię małżeńską.

Informacje i zapisy: * Łódź, ul. Wólczańska 23, IV piętro, tel. 33-82-54 (8—16).

Przedsiębiorstwo zatrudni wysokiej klasy, lekarzy specjalistów w ww. i innych specjalnościach. 3583/K

AKADEMICKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „PUCHATEK”

informuje swych sympatyków i zainteresowanych, iż w swojej strukturze organizacyjnej

U T W O R Z Y Ł A

ZAKŁAD USŁUG POLIGRAFICZNYCH

mieszczący się przy

ul. Armii Ludowej 25, tel. 32-91-74, w. 96

polecając swoje usługi:

- pełna przygotowalnia na maszyny offsetowe typu „Romayor”;
- druk wszelkiego rodzaju druków akcydensowych, etykiet, skryptów,
- skład na maszyny typo.

Usługę wykonujemy na surowcu własnym i powierzonym — karton, papier oraz na papierach samoprzylepnych. Ceny konkurencyjne — umowne.

ZAPRASZAMY DO SKORZYSTANIA Z NASZYCH USŁUG. 3493-k

TOMI
Tego jeszcze nie było!
PROPONUJEMY!

◀ REKLAMĘ FONICZNA w SDH „Central” ▶

szybko, profesjonalnie, a przede wszystkim tanio!

- ◀ organizowanie w szkołach profilaktycznej gimnastyki korekcyjnej dla dzieci i młodzieży,
- ◀ serwis wszelkich typów kserokopiarki firmy „Prexer”,
- ◀ wykonywanie różnego rodzaju plansz reklamowych i informacyjnych.

To wszystko zapewni Ci

SP. Z O.O. „TOMI”
— Łódź, ul. Wspólna 6, tel. 34-33-05.

ZAPRASZAMY!

16 października 1989 r. Nadzwyczajny Zjazd Delegatów Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych dokonał likwidacji WZSM wraz z istniejącym przy nim Spółdzielczym Biurem Mieszkaniowym. Likwidacja tego biura stawia pod znakiem zapytania los 36 tysięcy osób, których podania wraz z opłaconym wkładem leżały dotąd w SBM. Osoby te nie bez podstaw ogarnęły panikę. Zaczęto zadawać sobie pytanie — co teraz?...

1. SBM powstało w 1976 roku jako wynik realizacji koncepcji polityki mieszkaniowej państwa. Chodziło wówczas o skupienie w jednym punkcie wszystkich, którzy ubiegają się o przydział mieszkania. Po zarejestrowaniu w SBM mieli być oni następnie kierowani do różnych spółdzielni mieszkaniowych. Po roku 1980 nastąpił spadek budowanych mieszkań z około 11.000 do 2.000. W 1989 roku oddano 2.500 mieszkań.

W 1980 roku zarejestrowanych było około 120.000 osób pełnoletnich i niepełnoletnich, z tym że czas oczekiwania na mieszkanie rozpoczynał się dla kandydata od chwili ukończenia przez niego osiemnastego roku życia. Z końcem grudnia 1982 roku wstrzymano rejestrację i SBM funkcjonowało już tylko w oparciu o kandydatów dotąd zarejestrowanych. Każdy członek wpłacał początkowo 500 zł, (później 1000), które to pieniądze przeznaczone były na utrzymanie biura. WZSM natomiast utrzymywał się przy pomocy „Inwestprojektu”, który finansował dwie trzecie jego działalności oraz spółdzielni, które uiszczały na rzecz WZSM opłatę w wysokości 20 groszy za 1 metr kwadratowy mieszkania. Po raz pierwszy podano w wotowaniu sens istnienia WZSM w marcu 1989 roku, podczas obrad „Okrągłego stołu”. Punkt 4 postanowień podzielił do spraw polityki mieszkaniowej z dn. 15 marca 1989 r. głosili:

Oczekiwanie na własne mieszkanie może przedłużyć się w... nieskończoność!

Kandydaci na spółdzielców, których nie chce spółdzielczość

„Państwo powinno zapewnić spółdzielczości mieszkaniowej warunki zrealizowania zobowiązań w stosunku do spółdzielczej kolejki mieszkaniowej. Dotyczy to przede wszystkim członków i pełnoletnich kandydatów, którzy do końca 1988 roku zgromadzili wkłady mieszkaniowe. Rezygnującym z tej kolejki należy umożliwić uzyskanie mieszkania przez wykorzystanie innych form budownictwa (jak: inicjatywę własną, młodzieżową, związkową, zakładową), zapewniając uzyskanie promesy kredytowej, dżalek budowlanych i inne zachęty. Osobom rezygnującym ze spółdzielczej kolejki mieszkaniowej należy zapewnić waloryzację wkładów mieszkaniowych”.

2. Kolejnym „ciosem” dla WZSM było usamodzielnienie się „Inwestprojektu”, a potem odmowa podniesienia opłat przez łódzkie spółdzielnie z 20 groszy do 1 zł za metr kwadratowy mieszkania. W tej sytuacji jednym wyjściem z kryzysu finansowego dla WZSM byłoby ponowne opodatkowanie tych osób, które są w biurze zarejestrowane. Opłata powinna być wynosić około kilkunastu tysięcy złotych od osoby. Byłoby to nieetyczne, gdyż SBM nie mogłoby udzielić członkom odpowiedzi na podstawowe pytanie: — Kiedy i gdzie dostanę mieszkanie? Nie było więc innego wyjścia jak rozwiązać WZSM, a przy nim SBM. A co z osobami, których podania wraz z opłaconym wkładem leżały dotąd w Spółdzielczym Biurze Mieszkaniowym?

3. — Część osób została przyjęta do łódzkich spółdzielni mieszkaniowych — mówi prezes WZSM Wojciech Królak — Jest to około 40.000 ludzi. Spółdzielnie przyjmowały kandydatów według roczników, w których ukończyli oni osiemnasty rok życia i stawali się pełnoprawnymi członkami biura. W ten sposób rozwiązano problem do 1980 r. Każda spółdzielnia mieszkaniowa może przyjąć tylko członków, ilu jest w stanie zapewnić mieszkanie. Ludzie ci będą czekać na mieszkania w planowanych perspektywicznie lokalizacjach: Janów, Józefów, Henryków, Podgórze, Milewski i Więczyn. Dla pozostałych mamy miejsca w zachodniej części Łodzi: na Nowym Złotym, Brusie i Pienistej. Niestety nie możemy na razie powołać spółdzielni mieszkaniowych dla tych terenów. Nie są one uzbrojone w wodę, kanalizację, gaz i ciepło.

Już teraz ocenia się, iż Spółdzielnia Mieszkaniowa „Nowe Złoto” będzie liczyła 6.000 członków. Na razie jednak ludzi tych trzeba gdzieś przechować. Powinna zająć się tym jedna z agend Urzędu Miasta Łodzi. Sprawa ta będzie poruszona na najbliższej sesji Rady Mieszkańców W ciągu tego roku utworzona została Miejska Spółdzielnia Mieszkaniowa, zarejestrowana przed dwoma tygodniami. Spółdzielnia ta zamierza przyjmować kandydatów, którzy od 1980 roku są pełnoprawnymi członkami SBM. Przyjmie ona około 6.000 osób, tak więc liczba osób, które zostały „na lodzie” zmniejszy się automatycznie do 30.000. Spółdzielnia ta nie będzie się zajmowała eksploatacją wybudowanych osiedli. Jej członkowie będą to robili sami. MSM będzie się zajmowała wyłącznie zdobywaniem terenów pod budowę, przygotowaniem inwestycji i ich przeprowadzaniem. Wszystkie osoby z rocznika osiemdziesiątego będą przyjęte w poczet członków do końca 1990 r.

4. MSM przyjęła 6.000 osób, przyszła Spółdzielnia Mieszkaniowa „Nowe Złoto” też przyjmie 6.000. Co z resztą? W miarę upływu czasu liczba tych, którzy zostali „na lodzie” będzie się powiększać o osoby, które teraz jeszcze są niepełnoletnie. Co z nimi? — Chcemy by problemem tym zajęli się radni — mówi Wojciech Królak — Na razie trudno nam jeszcze cokolwiek powiedzieć. Na pewno nowstana jakieś nowe ustawy, które uregulują obecną sytuację. W dzisiejszych czasach wszystko stoi na głowie. Co dzień powstają nowe decyzje i co dzień te nowe powstają ulegają zmianie. To wszystko musi się przebiegać kiedyś ustabilizować. Na pewno i ten problem zostanie pomyślnie rozwiązany, choć na razie mamy tylko luźne projekty.

5. Przed pokojem nr 11 czeka kilka osób. To ci nieliczni szczęśliwcy, o których losie nie decydują „luźne projekty”. — Ja się jeszcze zalamam — mówi pani Bogusława Skorpura. — Do SBM należy od listopada 1980 roku. Teraz zostałam przydzielona do Spółdzielni Mieszkaniowej „Bawelna”. Mam obiecane mieszkanie na Olechowie. Cieszę się, że nie zostałam „na lodzie”, chociaż mieszkanie, o które się ubiegam dostanie chyba dopiero mój syn.

„Bawelna” przegarnęła dość dużą liczbę osób podobnie jak SM „Czerwony Rynek” (6.500), natomiast SM „Śródmieście” okazała się mniej „łitościwa” (600 osób).

— To niewiele — przyznaje prezes spółdzielni Tadeusz Witkowski — ale tylko tyle mamy miejsc. Na Śródmieściu brakuje terenów pod budowę. Prace budowlane rozpoczniemy w 1990 roku, a pierwsze mieszkania oddamy w latach 1997—8.

6. Spółdzielczość mieszkaniowa — to temat interesujący wszystkich. Jak do tej pory nikomu nie udało się odpowiedzieć na pytanie: jak będzie wyglądała przyszłość spółdzielni mieszkaniowych, które horkały się z wieloma problemami? Czy jest nadzieja, że czas oczekiwania na mieszkanie skróci się chociaż trochę? Co stanie się z tymi, którzy stali się pełnoprawnymi członkami Spółdzielczego Biura Mieszkaniowego po roku 1980? Czy zajmą się nimi radni?

Do tych pytań należałoby dołączyć jeszcze jedno: — kto i kiedy udzieli odpowiedzi na te wszystkie pytania?

MAGDALENA GROCHOWALSKA

1

Czy komunizm skończył się 4 czerwca?

Minister Jacek Kuroń nawołuje do wzajemnej pomocy. Ma tu na uwadze przede wszystkim ludzi starszych. Trzeba im pomóc, bo to ich właśnie dotyka najmocniej kryzys. Dobrze jednak byłoby, gdybyśmy wszyscy postarali się zmienić, stali się po prostu inni niż dotychczas. Rozumiem, że nie będzie to wcale takie proste. Tkwiących w nas pewnych nawyków niełatwo się pozbyć. Tak mało skomplikowanym wydaje się to tylko pani Joannie Szczepkowskiej (no, może nie tylko jej), która w swoim kuriozalnym wywiadzie dla Dziennika Telewizyjnego ogłosiła komunikat, że 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm. Pani Joanna Szczepkowska zresztą podczas całego wywiadu zachowywała się jak egzaltowana, naiwna panienka, która właśnie przeczytała „Przemięń z wiatrem” lub którą z kolejnych części „Ani z Zielonego Wzgórza” i po owej lekturze nie może zupełnie dojść do siebie.

A swoją drogą, to wielce symptomatyczne, jak duża jest u nas presja polityki, jak silnie owa polityka oddziałuje na każdego, i nawet gdyby się bardzo chciało, to uciec od niej nie sposób. Przed wojną, na przykład, artyści zajmowali się przede wszystkim sztuką. W wolnych chwilach natomiast poplali wódeczkę i uwodili piękne kobiety. Oczywiście upraszczam, ale robię to celowo. Teraz, jeśli już nawet ktoś nie działa bezpośrednio, to jest przekonany o tym, że musi wygłosić jakąś polityczną deklarację, bo to doda splendoru jego wizerunkowi twórcy. A diabeł siedzący w polityce — to przecież jego domena — śmieje się w kuli i co najgorsze wcale nie ma zamiaru przestać podsuwać coraz to innych karkołomnych pomysłów.

Gdyby wszystko rzeczywiście tak pięknie wyglądało, jak próbowała nam przedstawić pani Joanna Szczepkowska, to pomyślałbym sobie „a niech tam”, przyszedłby czas radości i nawet taka odrobina patetyzmu jest potrzebna”. Boję się tylko, że nie pora jeszcze na wielką radość, a wypowiedzi tego typu spełniają rolę odwrotną od zamierzonej. Nie wnoszą bowiem zupełnie nic, a naiwnością swoją mogą wzbudzać tylko niepokój. Oczywiście w tym miejscu może ktoś powiedzieć, czego się czepiasz mówiąc to przecież artystka, a nie polityk. Zgoda, niewielkie to jednak usprawiedliwienie, każdy bowiem nad tym, co ma do powiedzenia powinien się najpierw dobrze zastanowić.

Wróćmy do idei wzajemnej pomocy Jacka Kurońa. To rzecz bardzo potrzebna i ważna. Z tym zgadzamy się chyba wszyscy. Trzeba jednak powiedzieć, że właśnie na tym gruncie często wychodzą i będą wychodziły nasze stare nawyki i przyzwyczajenia. Innymi słowy, owe negatywne cechy, które w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zostały w nas zaszczepione, teraz w różnej formie będą się pojawiały. Oto kilka scenek, które albo zostały mi opowiedziane, albo byłem sam ich świadkiem. Starsza kobieta stoi w długiej kolejce. Kiedy dochodzi do lady prosi o butelkę mleka. Okazuje się, że zabrakło jej pięćdziesiąt złotych. Ekspedientka nie chce dać mleka mimo tego, że kobieta obiecuje przynieść za chwilę zaległą sumę. Nikt z kolejki również nie palił się z pomocą. Owa kobieta opowiadając mi to miała łzy w oczach.

Inna scenka: autobus na Dworcu Fabrycznym jest już

pełny. Próbuje jeszcze do niego wsiąść niemłoda kobieta. Kierowca odpycha ją jednak brutalnie i zatrząskuje drzwiami.

I ostatnia historyjka: znajoma robi zakupy w sklepie mięsny. W całym rozgardiaszu zapomina schować do torby jeden, wcale nie mały kawałek kiełbasy. Przed sklepem zagłada do torby i dostrzeżenie brak. Wraca szybko, niestety nikt nie wie, a kiełbasa rozpiętnęła się najprawdopodobniej w czyjeś torbie lub pod ładą.

Takich historii można by przytoczyć tutaj mnóstwo. Można by też dla przeciwwagi podać jakieś opowieści pozytywne. Dopóki jednak te pierwsze będą występowały w takim wymiarze, jak w tej chwili, do późno trudno jest mówić o jakiejś zmianie w nas samych, a przecież od tego powinno się zacząć.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Pod prąd

Odrobina normalności

Jeszcze do niedawna mówienie o trudnej sytuacji życiowej młodego pokolenia Polaków było w naszej praktyce politycznej w dobrym tonie. Mówiono więc i narzekano ile się dało — w prasie, radio, telewizji, na zebraniach partyjnych, kongresach, zlotach, w radzie. Czynili to przedstawiciele organizacji młodzieżowych, czynili „dorosli” politycy. Ba, powoływano nawet specjalne urzędy i komisje, które miały się zajmować problemami ludzi młodych, pomagać im na starcie w dojrzałe życie, reprezentować ich interesy.

Dla niektórych osób i środowisk było to poczynanie znaczące i rodzące nadzieję, że sytuacja młodzieży rzeczywiście ulegnie wreszcie pewnej poprawie. Powiedzieli jednak od razu — złudne nadzieje, bo trudno przecież polepszyć byt jednemu tylko pokoleniu, jednej grupie społecznej, nie reformując jednocześnie całej struktury państwa w którym ona żyje. Nawet gdyby intencje były szczerze, a wysiłek ogromny.

Dziś o młodzieży jakby ciszej, Milczą jej niedawni obrońcy z urzędu i z wolnego wyboru, pochowano gdzieś wszystkie ambite programy pomocy i rozwoju, a w każdym razie nie ma już wokół nich takiego jak niegdyś propagandowego szumu i krzyku. I jeśli nie załatwione od lat sorawy dają jeszcze publicznie znać o sobie, to albo dzięki działalności różnych nieformalnych ugrupowań, które potrafią zwró-

cić na siebie uwagę, choć o to coraz trudniej, albo — poprzez takie zjawiska, jak spadek zainteresowania studiami, niechęć do działalności społecznej (przede wszystkim — w dawnym stylu), czy nawet mniejsza popularność muzyki rockowej, której eksplozja nastąpiła na początku lat osiemdziesiątych.

O czym to świadczy? Moim zdaniem — że przestały liczyć się deklaracje, szczytne hasła i zakłęcia, a zaczęły — czyny. Nie chodzi przy tym o to, co robi się dla młodzieży, ale — co młodzież może zrobić sama dla siebie. Bo może i to dużo. Zawsze zresztą mogła. Trzeba było tylko jej to umożliwić. I znów: nie tyle młodzieży, co wszystkim Polakom: starym i młodym, łysym i garbatym. Każdemu, kto chce zrobić coś pożytecznego dla siebie i innych. A żeby wyzwolić w społeczeństwie inicjatywę, często wystarczy nie przeszkadzać.

Otóż można odnieść ostatnio wrażenie, że tych przeszkadzających jest mniej — zwłaszcza „na górze”, która reformuje się i przekształca o wiele szybciej, niestety, niż „dół”, gdzie pokutuje jeszcze po kątach stare myślenie. Myślenie o uszczuplaniu młodzieży na siłę, według naszych „dobrych i sprawdzonych” wzorów rodem z lat pięćdziesiątych.

Oczywiście z pozoru wydawać się to może niesprawiedliwe. Bo jeśli wszystkim stwarza się równe szanse, to jasne, że li- czy się także pozycja, wiedza i doświadczenie. A tego — zwłaszcza u nas — młodzieży często brak. Jest jej więc trudniej. Ale — czy na pewno?

Młodzi ludzie mają czas, jak to się mówi — całe życie przed sobą. I to jest pierwszy ich atut, dla nas — starszych nie do przecięcia. Drugi, to znacznie mniejszy bagaż przeszłości: leków, nawyków, metod. Bagaż, którego niełatwo się pozbyć w wieku pięćdziesięciu, czy choćby już czterdziestu lat.

A zatem pozycja młodzieży nie jest wcale aż tak zła. Dlatego — uważam — nie trzeba jej żadnych specjalnych programów, czy akcji. Młodzież naprawdę sama da sobie radę. A jeżeli już coś mamy jej dać, to odrobinę normalności.

JÓZEF RETMAN

3

Lewym okiem

Sluząca i listonosz

Zwolennik poglądów, do niedawna opozycyjnych, redaktor Krzysztof Wołicki udzielił 14 października 1989 r. w telewizji ostrej repromendy jednemu z redaktorów „Trybuny Ludu” za to, że myśli inaczej niż trzeba: to znaczy myśli inaczej niż ten pierwszy myśli, że trzeba. Nie tracąc czasu na argumenty re-

daktor Krzysztof Wołicki zakończył repromendę słowami: „Z czarną słońcą nie będę gadał”.

I tu pragnę przypomnieć, że czarne słońce to były skrajnie reakcyjne bojówki na usługach carskiej policji używane do organizowania pogromów rewolucjonistów i Żydów; gdyby istniały dziś nie stałyby po stronie „Trybuny Ludu” tylko wręcz przeciwnie.

Ale przejdźmy do innego tematu. W języku urzędowym w nazewnictwie wielu instytucji państwowych i społecznych odrzucamy dotychczasowe, powojenne, sztucznie wydumane terminy i wracamy do form z dwudziestolecia międzywojennego. To bardzo dobrze, to cieszy, bo przecież o ile piękniej nazwać starostę — starostą niż przewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej. Mamy też wojewodów, a w Senacie na wniosek senatora Edmunda Osmańczyka wywołuje się mówców jako senatorów poszczególnych ziem, a nie województw, bo tak mówiło się w okresie międzywojennym: senator Ziemi Łęczyckiej zamiast senator województwa łęczyckiego. Jest z tym zresztą sporo kłopotu, bo granice ziem nie pokrywają się z granicami województw, a mandaty senatorskie, tak.

Nie jest pewne i nikt tego z całym przekonaniem nie powie do jakiego okresu należałoby cofać się w naszych tradycjach. Czy sięgać jeszcze do takich terminów jak: kasztelan, podskarbi, podkomorzy. Nie jest też pewne, czy wszystko przemianowywać na modę międzywojenną. Czy Milicję Obywatelską zastąpić Policją Państwową, bo tak przecież było. Dziś stróża porządku publicznego to przecież nie ochotnicy z opaskami na rękawach tylko zawodowcy na państwowych etatach.

A jeszcze słówko: „stróż”. Mamy teraz „gospodarza domu”, co wcale nie pokrywa się z zakresem działalności odpowiedniego obywatela. Gospodarz zatrudnia wielu dozorców swego mienia i ich zadania są różne. Przed wojną mówiło się „dozorca”, ale troszkę, ledwie parę lat wcześniej panowało powszechne słowo „stróż” i nikogo to nie obrażało. Czy więc cofnąć się do tradycji „dozorcy”, czy troszkę dalej do „stróża”, czy pozostać przy dzisiejszym „gospodarzu”?

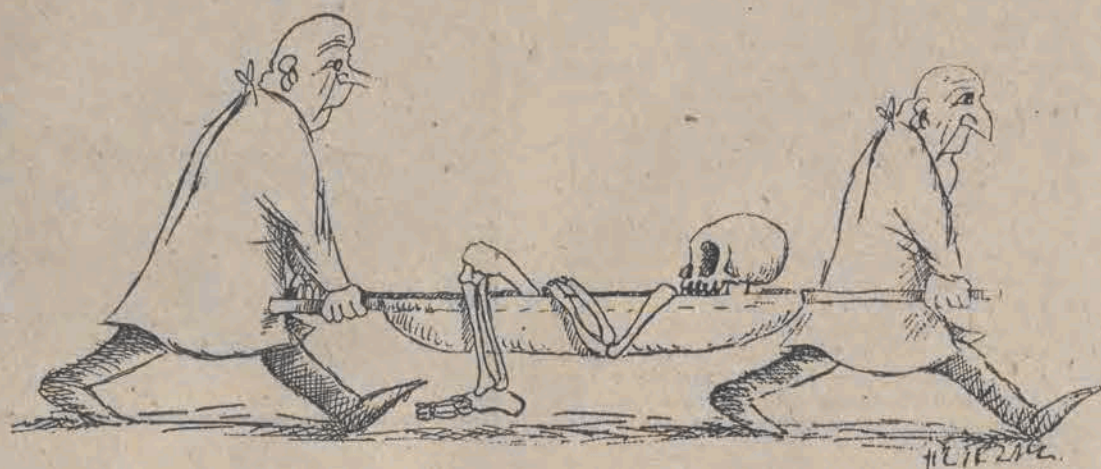
To samo będzie z listonoszem, którego dzisiaj przezwano „doreczeniastą”. Ten „doreczeniastą” rzadko kiedy doręcza czyli oddaje do rąk adresata; są przecież w domach skrzynki, a jeszcze lepiej każe się adresatowi iść na pocztę po odbiór listów. A „listonosz” — to było słowo jak ułai — ładne, dźwięczne, sympatyczne i osobicie wolalbym być listonoszem niż doreczeniastą, który ponadto kojarzy mi się z donosicielem.

Nikt już w prasie nie poszukuje ani służącej ani nawet pomocnicy domowej. Poszukuje się wyłącznie gosposi albo kobiety do dziecka. W tym zakresie nikt nie naciska i nie żąda powrotu do tradycji międzywojennych. Okazuje się więc, że i na tym odcinku, jak na każdym, zawsze i wszędzie, działamy wybiórczo, raz sięgając do tradycji, kiedy indziej przekładając na nią wymogi nowoczesnego patrzenia na świat.

I tak chyba powinno być.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Coś z życia



Rys. Dariusz Pietrzak

Morderczy urlop

RYSZARD BINKOWSKI

(2)

Karol Flis rzucił kapelusz na stolik w holu, stanął przed lustrem i przycesał długie siwe włosy, przylegające gładko do jajowatej czaszki. Był wysokim, chudym mężczyzną o niezdrowej żółtej cerze, z którą wspaniale komponował zrudziałą od nikotyny wąsik. Ukryte za ciężkimi, obwisłymi powiekami oczy były szare i zimne jak kamyczki na grudniowej plaży. Liczył sześćdziesiąt dwa lata i ubierał się z gustem człowieka, który awansował dzięki punktom za pochodzenie.

Kiedy uśmiechnął się do córki, okazało się, iż własnych zębów ma więcej, niż można się było spodziewać. Były długie, żółtawe i zachodziły jedne na drugie.

— Długo czekałaś, kochanie? — spytał. Głos miał wysoki, trochę skrzekliwy.

— Nieważne, ojcze. Przyzwyczaiłam się do tego.

— Kochanie, ja pracuję.

— Oczywiście, Ale z tego powodu nie musisz nazywać mnie kochaniem. Matce mówiłeś to samo: Bywało, że czekała na ciebie z obiadem przez dwie doby.

— Cóż to? Stęskniałaś za matką?

— Nie. Ale nie chciałabym skończyć jak ona.

— Teresko, to wpływ tej paskudnej pogody. Ja też jestem rozdrażniony... — Usiadł blisko córki, rzucił na stół papierosy. Pachniał tytoniem, wodą kolońską, alkoholem. — No cóż — rzekł z ubolewaniem — twoja matka zanadto przywykła do łowieckich wycieczek i dekoracji przyzby na Wielkanoc. Tutaj, trzeba było grać rolę pani domu, przyjmować gości...

— Jasne, to nie izdebka z pisankami. A wszystko po to, żebyś ty mógł awansować, tatusiu. Twoja wiew była biedniejsza, ty jednak dzięki partii zostałeś inżynierem, matka zaś ukończyła zaledwie dwuletnią szkołę rolniczą. Przestała ci dorównywać poziomem...

— No tak, tak... A wraz z tym zgasiła młodzieńcza miłość. I przez to matka najchętniej uciekała do kościoła lub zamykała się w służbowce.

— Nie chciała przynosić ci wstydu. Wykorzystywałaś to w pełni, przebywając wciąż poza domem. A jak już trafiłaś tu jakimś cudem, to nie zawsze sam...

Flis uśmiechnął się z promienną zjadliwością.

— A co robiła wówczas córka? — rzucił skrzekliwie.

— Córka? Ona, niestety, wrodziła się w ciebie. Tatusi stał się dla niej idolem, została więc u jego boku, aby zdobywać sławę poestestów.

— No właśnie!

— Tylko że wtedy, ojcze, było jeszcze coś więcej. Myślała, że byłem o ciebie zazdrosna...

— Nie byłbym twoim ojcem, gdybym tego nie zauważył. To podobno typowe dla dziewcząt, zdaje się, że Freud pisał coś na ten temat. Zdać sobie z tego sprawę przyprowadziłem tu Witolda Sela.

— Aha. Tak się tym przejąłeś, że do dziś nie wiem, który z was skutecznie wybił mi z głowy słabość do mężczyzny. Chcesz herbaty?

— Tak, dziękuję — odpowiedź bez gniewu.

Przymknął oczy i paląc papierosa czekał aż podąży szklanka. Upił łyk, parząc sobie usta, po czym najspokojniej w świecie rozpostarł gazetę i skrył się za nią, jak gdyby córki nie było już w kuchni. Teresa wzruszyła ramionami, wzięła szmatkę i poszła ścierać kurze, aby i ten obowiązek mieć za sobą. Dla świętego spokoju podlała jeszcze rośliny.

Wstąpiwszy do służbówki stwierdziła, że ojcze, chociaż nie było tego po nim widać, musiał nieźle pociągnąć. Gdyby nie głośnie chrapanie, można by powiedzieć, że na leżance spoczywa denat bez głowy. Zakrywała ją płachta zadrutowanego papieru. Teresa usiadła na brzegu i zdjęła gazetę z twarzy ojca. Zamruczał sennie, ziewnął, otworzył oczy i rozłożył ręce, jakby zamierzał objąć ją i uściskać. Zerwała się z leżanki.

— Tylko bez czułości! — wrzasnęła. — Nie jestem jedynym z twoich kociaków!

— Ależ tak, kochanie! Jesteś najmilszym tatusiowym kociakiem.

— Przestań! Nie wydałeś mnie za Sela z ojcowskiej troski...

— Sprzedałem cię za milion, wiesz?

— Nie, ojcze! Ale z pewnością zrobiłeś to z czystego egoizmu. Tak wypadło, bo on był wtedy kimś ważnym, dobrze zapowiadającym się lekarzem powiatowym. Pech chciał, że tego samego roku zlikwidowano powiaty. Pozbyłeś się córki, żebyś się móc swobodnie lajdaczyć. To ty skazałeś mnie na tę wiochę!

— Nie wrzeszcz na mnie. Dziś to już miasto, córeczko. A wtedy, przed ślubem, do niczego cię nie zmuszałem. Zakochałaś się, moja droga... Zakochałaś się w sierocie miłującym wszystkie stworzenia boże. Sek w tym, że on żenił się z córką dyrektora nie tylko ze względu na jej urodę i głęboki intelekt...

— Jesteś podły!

Chwycił ją za rękę, pociągnął w dół. Usiadła z gniewnym pomrukiem.

— Teresko, możesz na stałe przenieść się do mnie — przemówił łagodnie, o ile z jego skrzekliwego głosu dało się wydobyć jakieś miękkie tony.

— Dziękuję, ojcze! — rzuciła z chłodną uprzejmością. — Tylko nie wiem, czy uda ci się ściągnąć Witolda.

— Kto wie? Witold nie jest wybitnym weterynarzem, ale ma niezły łeb do interesów. Jeśli Nowosolną włączą do Łodzi, wartość tamtego domu i parceli ulegnie podwojeniu...

— Ach, gdyby się to spełniło! Mieszkając tutaj i dysponując jakąś okragłą sumką, mogłabym wrzeszcze podróżować, zwiedzać zabytki, muzea, biblioteki.

— Oczywiście. Tylko że Sel ma do spłacenia zaciągnięte w banku kredyty. Tego fiata, którym on jeździ, kupiłem ja. Summa summarum, Witold jest mi winien dwa miliony.

— Skąd wzięłaś tyle pieniędzy?

— Myślisz, że co wieczór zmieniam dziwnie — odrzekła kwaśno. — Nie, Teresko, ja pracuję. Zarobiłem trochę grosza, i to własnymi rękami. Kupiłem nawet działkę. Na wiosnę postawię tam domek...

— Gdzie?

— Dowiesz się, gdy staniesz się właścicielem.

— Ja?

— Zięciowi tego nie przekażę. A jak dobrze pójdzie, wkrótce zapiszę ci moje zielone BMW i mieszkanie. Tylko nie mów mu o tym, na miłość boską! A w ogóle to rozmawiamy jak ojcze z córką i to, co ci przekazuję, powinno zostać u ciebie.

Oczy Teresy zognemniały za szklami.

— Słuchaj, czy Witold jest całkowicie od ciebie uzależniony?

— Hm, nie... Powiedzmy, że połowicznie...

Flis przyłożył palec do ust i zmrucił oko. — Tylko ani słowa Witoldowi o twardy gość, kontroluje się nawet przy wodce.

Teresa zmarszczyła brwi w sposób, jaki widuje się czasem u bohaterów filmowych.

— A nie sądzisz — spytała — że on się boi przeszłości?

— Jakiej przeszłości?

— No, tej wojennej...

— Coś ty! Kiedy to się skończyło, miał chyba za trzy lata.

— Urodził się w Łodzi, a nie wie nic o rodzicach. A może ukrywa to przed nami? Może nawet z tego powodu zmienił nazwisko?

Karol siedział przez chwilę z nieruchomą, zmarszczoną zdziwieniem twarzą. Wzruszywszy ramionami sięgnął automatycznym ruchem po papierosy i zapalił.

— Bzdury! — oświadczył. — Nie ma na to dowodów... Była wojna, tysiące dzieci trafiło do sierocinców. Wiele z nich było bezimiennych, nadawano im z urzędu przypadkowe nazwiska. To poważna sprawa... Myślę, że gdyby Sel od zarania dzieciństwa krążył w ciemności, to nagle wycie z tego labiryntu mogłoby stać się dla was niebezpieczne, a nawet zgubne.

Oczywiście, żeby go rozmiękczyć, można mu coś delikatnie zasugerować. Ale myślę, że wysmiałby ciebie, Teresko. Najlepiej zrobić tak, jak postępują zaniedbywane młode małżatki.

— Rozwód?

— Nie tak nagle, moja droga. Najpierw znajdź sobie kogoś...

Teresa pochylała się nad ojcem, jakby zamierzała okazać mu wdzięczność, po czym zerwała się jak wyrzucona z katapulty i wybiegła ze służbówki.

Przypalając w pokoju papierosa pomyślała, iż ojcze prowadził taki tryb życia, że wszystkiego mogła się po nim spodziewać. Nawet tego, że zachowa się jak stręczyciel. Nie wiedział, że jego propozycja jest spóźniona. To już się stało.

Po opuszczeniu fermy poczuł się w pewnej chwili tak zniechęcony powrotem do domu, że miał zamiar cofnąć się i skorzystać z obietnicy proporcji Kolmanowej. Ale było coś, co nie pozwalało mu na miłe spędzenie czasu, a poza tym ogarniały go znużenie i apatia. Dojechałszy do rogatki zatrzymał wóz na poboczu, aby wypalić spokojnie papierosa i przemyśleć parę dręczących go spraw. Ustawił fiata w ten sposób, że przed sięgał betonowego słupa płonącej latarni, pozostawiając włączoną

światła pozycyjne, i rozparł się wygodnie na fotelu.

Poza kregami blasku rozświetlanego przez nieliczne latarnie stała martwa, zakrzepła ciemność, oblepiająca ziemię niby kleista melasa. Ruch na szosie nabrał takiej intensywności, jakby kierowcom poodbierano naraz prawa jazdy oraz talony na benzynę. W taki wieczór tylko ostatni straceńcy wybierają się w podróż albo zamknęli w blaszanym pudle na skraju szosy medytując nad marnościami tego świata. Normalni ludzie siedzą w domu, grzeją się przy piecu, słuchają radia, oglądają w telewizji sukcesy na drugim etapie i czekają z nadzieją na kryterium uliczne, pieszczą żony i głaszczą psa, albo też bratają się serdecznie ze szklanką podłego trunku. Ale nie wszędzie da się podejrzeć przez okno takie narodowe sceny rodzinne. Są bowiem domy, których nie ogrzeje nawet butelka wódki, do których nie chce się wracać. Domy emanujące atmosferą hali fabrycznej w wolną sobotę...

Ale czy on, Witold Sel, zaskutkuje sobie na taki dom? Według niego zasługi były obopólne. Nie kochał Teresy, tak zresztą jak nie, kochał nikogo, ona zaś na każdym kroku podkreślała swoją zdolność do poświęceń i szlachetność w podtrzymywaniu złe dobrane małżeństwa. Kiedyś, w chwili szczególnego natchnienia, oświadczyła górnolotnie, że to dzięki niej nastąpiła pewnej nocy owa gwałtowna eksplozja, oczyszczająca go z młodzieńczych marzeń i nierealnych wizji. To dzięki niej stał się wtedy mężczyzną. Podstarzała dziewczica przeobraziła się w kobietę i to samo przypisywała partnerowi. Bo cóż ona wiedziała o jego życiu seksualnym przed ślubem?

Założenie w obłoczku poezji, namiętność i egzaltacja pozwalały jej widzieć jedynie siebie, wielbić obraz własnego ciała. Kiedy wyzbyła się dziewczich leków i zasmakowała w zbliżeniach cielesnych, stała się wprost bezczelna. Patrzyła na niego, szepiała w uniesieniu, patrzyła i podziwiała to, czego nigdy nie miała. Kochała te rozchylone piersi, lśniąca biel ud i brzucha, patrzyła w jego oczy płonące w ciemności niby źródła światła. Wariatka...

Później nie układała już takich poematów. Zamieniwszy poezję w seks, uległa już tylko doznaniom czysto fizycznym. A teraz? No cóż, teraz nawet kontakty seksualne stały się sporadyczne. Dzisiaj tamte płonące oczy blyszczą jak sople lodu, włosy posiwiały, a białe plecki brzuch przecięła fałda rozkosznego sadelka. Jeżeli więc nie skorzystał z sytuacji i nie został z Kolmanową, to nie ze względu na miłość, przywiązanie i dochowanie wierności małżeńskiej. Sprawa mogła wyjść na jaw, on zaś nie chciał dawać Teresie pretekstu do rozwodu, a jeszcze bardziej nie chciał psuć układów z teściem, który był mu potrzebny do realizacji jego planów.

Obawiał się tylko, że jeśli Teresa zacznie jałtryć i macieć w przeszłości, to wkrótce może

z tego powodu powrócić do swej młodzieńczej sylwetki. Schudnie, nabierze dziewczęcej linii, wysubtelnieje, lecz przy tym wszystkim jeszcze bardziej posiwieje. Bo on przecież nie zafunduje jej ani bohaterów, ani teściów spod ciemnej gwiazdy, ani też spadku w postaci majątku ziemskiego. Nie pomogą grymasy, wzdargliwa mina i zaciśnięte zęby, ani złośliwe wymówki, że upartość i próżność są wybacalne w młodości, on zaś dobija pięćdziesiątki i udaje twardego mężczyznę, takiego Drzymałę i Ślimaka zarazem, co to nie da się wyrzucić ze swojej placówki. On nie zamierza niczego zmieniać. Zbyt wiele przeżył, nurzając się w cuchnących brudach, aby miał teraz udowadniać, że jest synem ludzi szlachetnych i niepokalanym...

Sel zgasił papierosa i rzucił przez wywietrznik na ziemię. Nie zdążył uruchomić silnika, gdy od Brzeziny wraz z rosnącym szumem ciężkiego samochodu napłynęła fala białego światła. Sel zaklął z cicha, pochylając się nad kierownicą. Czekając, aż tamten przejedzie, a za jego plecami grzmiał warokot sunący na pełnym gazie ciężarówką. Uderzony z tyłu fiat walnął przednim kołem w latarnię, wpadł nieczym kopniętą piłką na żywopłot i dachując stoczył się po skarpie w krzewy na łące.

Zanim jednak staranowany fiat przerwał żywopłot, w betonowy ślup latarni trzasnął z impetem ciężarowy „Mercedes”, łamiąc go jak zaparkę, i nagle zgasło światło... Czerwony „Mercedes” zakreślił się jak wielki bąk, przecięł siłą rozpędu jezdnię i zatrzymał się w nietypowej pozycji, jak gdyby chciał zawrócić do Brzeziny, z maską nad rowem i tylnymi kołami na jezdni...

Pierwszy zatrzymał się na miejscu wypadku kierowca „Stara”. Zajrzał do kabiny i pokreślił ze zgrozą głową. Przez odkrośną szybę wydobywał się słodkawy zapach krwi zmieszany z wonią alkoholu. W głębi leżeli w różnych pozycjach ludzie. Ten za kierownicą szepnął z obłędem w oczach:

— Pomocy... Ten skurwiel uciął mi nogi...

Kierowca nie próbując nawet otworzyć drzwi ruszył na sygnale do Nowosolnej, aby wezwać milicję i pogotowie.

Za kierownicą „Mercedesa” tkwił jego właściciel, przytomny, lecz w szoku, uwieczniony jak w dybach przez zlamaną w dolnej części kierownicę. Kiedy „Star” wrócił, przy „Mercedesie” stało już kilku mężczyzn.

— Łamać to, co jeszcze zostało! — zarządził kierowca „Stara”. — Inaczej go nie wyciągniemy! Szybciej, słyhać już karetę!

Ludzie urwali szczerki układu sterowniczego, wydobyli na zewnątrz niezbyt poszkodowanego mężczyznę i karetka pogotowia zawiozła go do szpitala do Łodzi.

Z lewej strony kabina nie była specjalnie uszkodzona, natomiast z prawej wyglądała mniej więcej jak puszka po śledziach, na którą wdepnął podkuty koń pociągowy. Tuż za miejscem dla kierowcy spoczywał na masce silnika nieprzytomny mężczyzna, dalej nie dająca oznak życia kobieta, a przy zgniecionych drzwiach położył w pozycji półleżącej drugi mężczyzna, wzywający słabym głosem matkę i Pana Boga.

Wyciąganie na siłę ciał zablokowanych pogiętym żelaztem miało doprowadzić do jeszcze groźniejszych obrażeń, a w konsekwencji do zgonu. Można było jedynie zbadać tętno, podnieść za włosy głowy ofiar i upewnić się, że jeszcze żyją.

Kiedy wrzeszcze na miejsce przybyły wezwane przez milicję dwa wozy bojowe i wóz techniczny straży pożarnej, lekarze zaczęli ponaglać strażaków do pośpiechu.

— Spokojnie! — krzyknął szef jednostki strażackiej. — Chcecie mieć więcej trupów?

— Chyba dzięki wam, bo tamci jeszcze żyją!

— A ta zlamana latarnia nie tylko sama zgasiła, ale i uszkodziła linię elektryczną. To grozi pożarem lub śmiertelnym porażeniem...

Strażak podszedł do radiotelefonu, polecił Zakładowi Energetycznemu wyłączyć sieć oświetleniową i ulicę zaalały egipskie ciemności.

Sceneria, w jakiej prowadzono akcję ratowniczą, przypominała kadry z filmów sensacyjnych. Blask krzyżujących się reflektorów, okrzyki rozgorączkowanych statystów, przekleństwa, jeśli rannego przy zmiążdżonych drzwiach, zgryzł pił do cięcia metalu. Palniki acetylenowe pluły snopami iskier i wraz z jadowitym sykiem emitowały strugi trupiego światła, w którym stali beznadziejnie ludzie w białej, w mundurach i cywilu, zapatrzeni w ukazujące się jak w blasku flesza nienaturalnie skrócone sylwetki rannych ze zbroczonymi krwią twarzami...

Uwaga ludzi i wszystkie światła skierowane były na ciężarówkę stojącą po drugiej stronie szosy w odległości dwudziestu metrów od zlamanej latarni. Z chwilą odjazdu czwartej karetki pogotowia, kiedy jej reflektory przebieły ścianę mroku po przeciwną stronę drogi, jeden ze strażaków wrzasnął:

— Ludzie, tam! Ten przerwany żywopłot!

Reflektor wysukał z ciemności przewróconego na bok rozbitego fiata koloru lotniczego, zasłoniętego krzewami u podnóża skarpy.

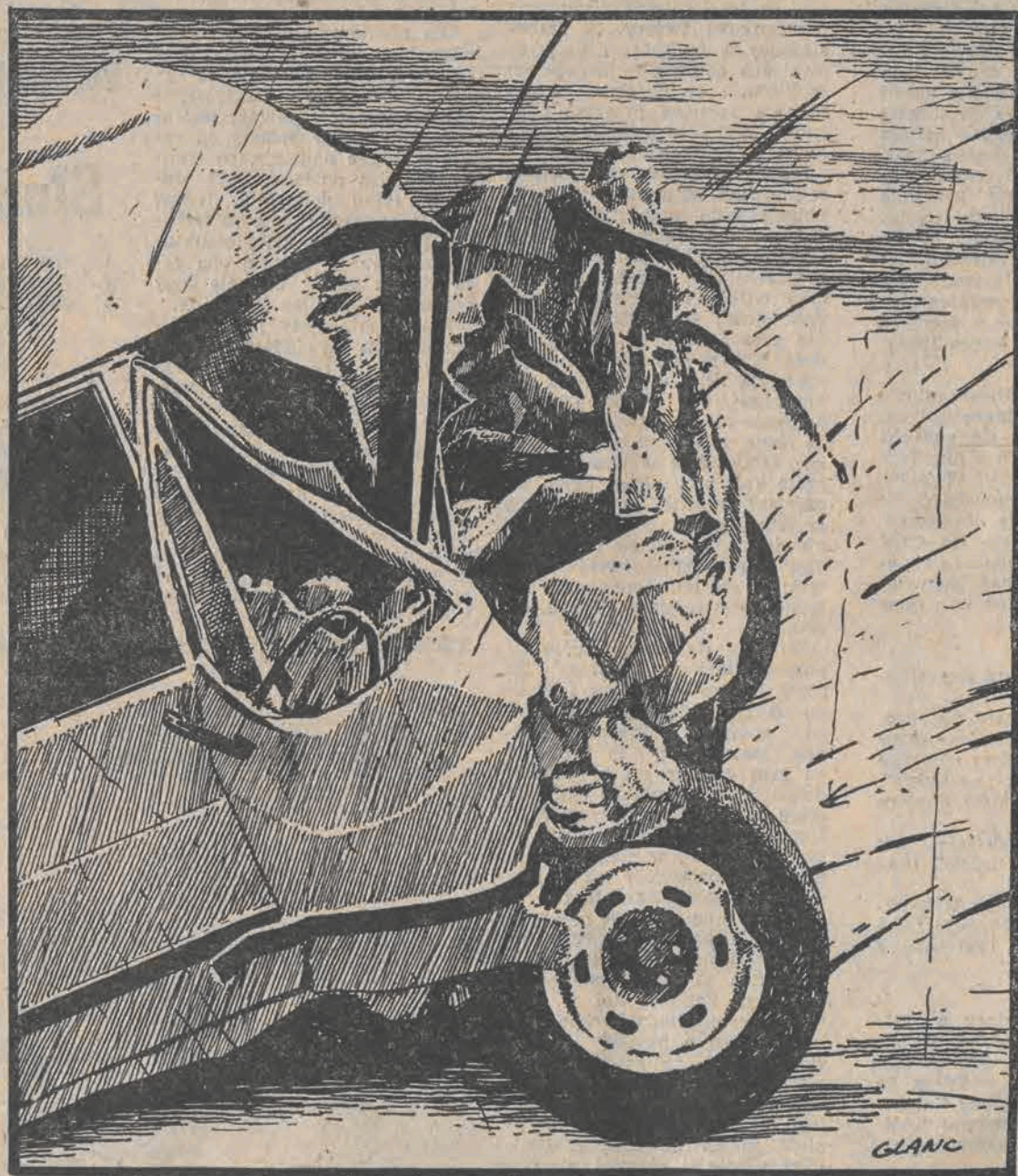
Witold Sel żył. Nogi miał uwieszone w pogiętych blachach, piersi przygniecioną kierownicą, głowę strzaskaną, całą we krwi. Kiedy zaczęto ciąć precyzyjnie karoserię, by nie uszkodzić ciała, odzyskał przytomność i na chwilę otworzył zalane krwią oczy. Poruszył wargami, ale nie wyrzekł słowa.

Później głowa opadła martwo, nie słyszał już syku palników i przestał reagować na ostre bliski światła. Wstał w kraię dzieciństwa... Po kilku minutach odcięto przód fiata, wydobyto bezwładne ciało i położono na zimnej, wilgotnej trawie. W ciemności zawodziła syrena karetki pogotowia. Znalazłszy się na norzach, Sel ponownie odzyskał przytomność. Po to, aby przez tydzień walczyć ze śmiercią.

Za pomalowanym na czarno żelaznym ogrodzeniem na podmurówce białej się gładko otynkowany piętrowy budynek nowej lecznicy. Otaczały go wybetonowane ścieżki, podjazdy, asfaltowe alejki, trawniki zamknięte w ramach krawężników.

C.D.N.

Wszystkie postacie w tej powieści — łącznie z głównym bohaterem — są dziełem fikcji literackiej i nie mają nic wspólnego z realnymi osobami



GLANC

Rys. Janusz Bykowski-Glanc